

ADAM GALIŃSKI

POEZJA POLSKI ODRODZONE

Obraz twórczości poetyckiej
doby współczesnej

1913-1930

Ł ó d ź

Nakładem Księgarni K. Neumillera

1

9

3

1



Poezja Polski Odrodzonej

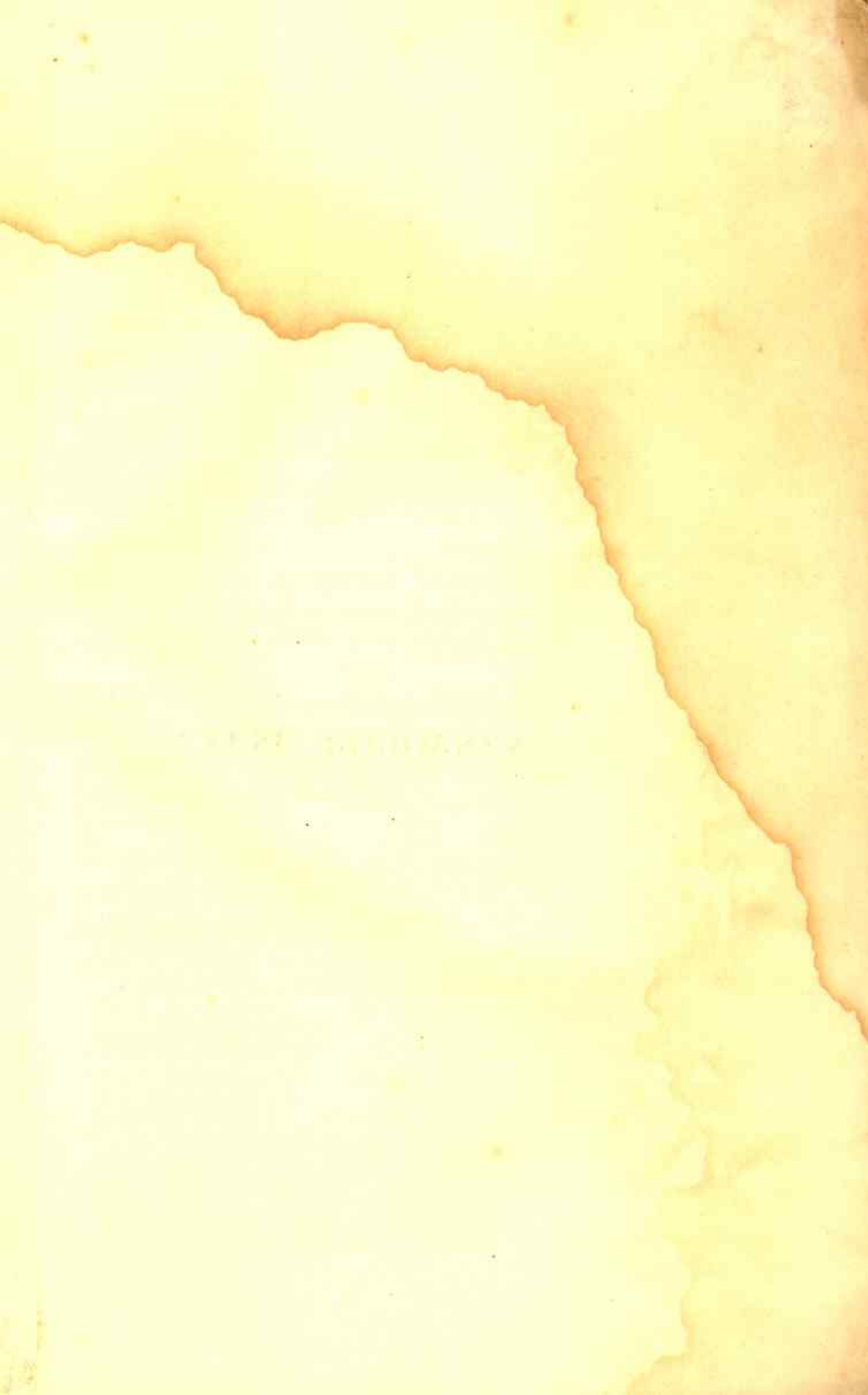
Ze pewne sądy trzeba będzie w przyszłości zmienić, że charakterystyki niektóre będą niezupełne, jestem o tem zgóry przekonany.

Wszak najmłodsza poezja znajduje się jeszcze obecnie w okresie wrzenia, w swego rodzaju „Sturm und Drangperiode“—brak również pewnej perspektywy i tego najlepszego sprawdziana, — którym jest czas.

W każdym bądź razie—mniemam—antologia niniejsza spełni swą rolę jako pomoc w orjentowaniu się w tak bogatej twórczości „Najmłodszej Polski“.

Zadaniem następnego wydania będzie niniejszą próbę uczynić rzeczywistym już obrazem dorobku poetyckiego doby współczesnej.

CZĘŚĆ PIERWSZA



P O E C I O B C Y

WALT WHITMAN

TRUMNO, WĘDRUJESZ...

Trumno, wędrujesz gościńcem, ulicą,
We dnie i w nocy, z wielką chmurą kraj zaciem-
niającą,
Pośród przepychu rozwiniętych chorągwi, wśród
miast,
Wśród wystawności żałobnej całych stanów
(Jakby niewiast zakwefionych krepą),
Pośród wijących się długich procesyj i żągwi
Wśród niezliczonych, płonących pochodni, wśród mil-
czącego morza twarzy i odkrytych głów;
Tam na cię czeka łożo, ty przybywasz trumno, ciemne
twarze, tysiąc głosów brzmi,
Pogrzebne pieśni po nocy, uroczystą tętniące mocą,
Mroczne kościoły i przejmujące dreszczem organy! —
Wśród nich ty wędrujesz,
Zbliżasz się wolno wśród dzwonów łoskotu
I tu — tobie trumno, — co zwolna przychodzisz —
Daję pęk bzu!

*Dziko i wolno płyni wgłąb mej duszy — śpiewaku
cudowny,
Ciebie jedynie ja słucham, lecz jeszcze gwiazda mnie
więzi (lecz już, już odlata)
Jeszcze mnie więzi władny zapach bzu.*

Tłum. Stan. de Vincenz

JAN ARTUR RIMBAUD

PARYŻ SIĘ BUDZI

*Hej, tchórze, na bulwary Paryża! Chodniki
Słońce oddechem płuc swych płomiennych otarło;
Tu niegdyś tłum barbarów panoszył się dziki.
Święte się na zachodzie miasto rozpostarło!*

*Śmiało naprzód! Już wściekłe bałwany płomieni
Nie wrócą! Oto skwery, ulice, bulwary,
Domy na tle lazuru, gdzie blask się promieni,
A wtedy — z bomb czerwone buchały pożary!*

*Nad martwemi gmachami wznieście z desek bude!
W ów dzień straszliwy — przejrzał wasz wzrok osłu-
piały!*

*Oto biódr kręcicielek sunie stado rude:
Szalejcie! Śmieszne będą wasze dzikie szaty.*

*Zgrajo suk, rozjuszona nad ścierwem! Przyzywa
Was okrzyk z złotych domów! Huzia, kraść łajdaczy!
Obzerać się. Noc uciech na ulicę spływa*

Głębokim spazmem: pijcie, rozpaczni pijacy!

*Pijcie! A gdy się światłość potężna rozpali,
Szukając w was przepychu złocistych strumieni,
Nie będziecie-ż w szklanice śliny łać, zdrętwiali,
W białe dale bezmyślnie i tępo wpatrzeni?*

*Żryjcie! Na cześć Królowej o zadzie fałistym!
Napawajcie się pieśnią czkawek i bełkotów!
Słuchajcie, jak się w mroku ciskają ognistym
Chmary starców, lokajów, ochrypłych idjołów!*

*Zgrajo z sercem niechlujnem i potwornym pyskiem,
Puśćcie cuchnące gęby w ruch, a silnie, dziko!
Dawać dla tych zdrętwiałców wina! Grzęzawiskiem
Hańby są brzuchy wasze, o zwycięska kłiko!*

*Wdychajcie mdłość wspaniałą, win zawrotne wonie,
Moczcie gardziele w trucizn okrutnych krynicy;
Na karki wasze kłoniąc skrzyżowane dłonie,
Poeta wam powiada: „Szalejcie, nędznicy!”*

*W brzuchu Kobiety z pasją szperając ohydną,
Boicie-ż się, że zadręga jeszcze kurczem żywym,
Co krzyczy, dusząc waszą czeredę bezwstydną?
Na swej piersi ogromnej w uścisku straszliwym?*

*Syfilitycy, błażni, brzuchomówcy, gachy,
Cóż dla Paryża-dziewki ten cały kram znaczy?
Wasze ciała i dusze, trucizny i łachy!...
Otrząśnie się z was ona, zgnilców i krzykaczy!*

*A gdy z jękiem na własne wyprute jelita
Padniecie przerażeni, płacząc złoto swoje,
Wypierśna nierządnicą, w czerwień bitw spowita,
Zdała od was zaciśnie ciężkich pięści dwoje!*

rzędach; — dwadzieścia pojazdów powiązanych linami, przybranych jak starodawne lub bajkowe karety flagami i kwieciami, pełne dzieci ustrojonych na sielanki podmiejskie. —

Lub też trumny wznoszące swe pióropusze hebanowe pod baldachimem nocy, ciągnięte przez wielkie siwe i kare klacze.

tłum. J. Rytard i J. Iwaszkiewicz

F. T. MARINETTI

TEATRZYK MIŁOŚCI

DRAMAT PRZEDMIOTÓW

(Pokój stołowy. — W głębi dwoje drzwi, przez jedno z których widać bibliotekę. — W ścianie na lewo dwoje drzwi, między którymi stoi Serwantka. — W ścianie na prawo — drzwi, okno i kredens. — Po środku stół i krzesła. — Światło przyćmione).

Dziewczynka — *Mamo, pozwól mi jeszcze pozostać z tobą trochę... Kwadrans... W twojem łóżku. Pozwolisz?...*

Żona — *Nie, nie. Już północ. Musisz wypocząć. Wiesz, że widzieć nie chcę twych oczów zapadłych... Jesteś zmęczona... Idź spać... No, bądź dobra Idź.*

(*Dziewczynka wychodzi powoli przez jedne drzwi po lewej stronie. Matka czeka aż umilknie odgłos*

jej kroków na końcu mieszkania, poczem wychodzi drzwiami po prawej stronie, prowadzącymi do jej sypialni, gasząc światło. — Cisza. — Meble trzeszczą odmierzając półgłosem siły swoje).

Serwantka — *Krik*. Będzie deszcz za trzy kwadranse (cisza) *Griiii*. Otwierają bramę. (Cisza). *Krik krik*. Ciśnienie serwisu srebrnego przewyższa spokojność moja!

Kredens — *Krak* — *krak*. Na trzecim piętze służąca kładzie się do łóżka. (Cisza). Na schodach znajduje się ciężar 70 kg. (Cisza). *Krak*.

Mąż (wchodzi w negliżu z innych drzwi po lewej stronie z małą lampką przysłoniętą abazurem, przechodzi pokój, idzie do biblioteki, którą widać w głębi. — Kręci się przed półkami, wybiera grubą książkę, poczem powraca z nią wolno przez pokój stołowy. — Książka wypada mu z ręki. — Uderzenie o podłogę. — Cisza. — Podnosi książkę, poczem wychodzi przez drzwi, które wszedł).

Żona (wchodzi z prawej strony, nadśluchuje, udaje się na palcach ku drzwiom, prowadzącym na schody, by je otworzyć. Wchodzi *Pierwszy Lepszy*, młodzieniec elegancki, niosący duży pakiet). *Cicho! Ssss... Cicho!*

Pierwszy Lepszy (odwija pakiet i wyjmuje zeń teatrzyk-zabawkę, stawia na stole).

Żona (półgłosem) — *Piękny! Piękny!* z radością i zachwytem dziecięcym, cicho klaszcząc w dłonie). *Dziękuję... Pójdź...* (Prowadzi go ku drzwiom po prawej stronie. Wychodzą. Drzwi się zamykają. Cisza).

Serwantka — *Krik*. *Pada... Pada...*

Kredens — Krak. Plecy pana domu przylegają wolno, wolno do oparcia fotelowego.

Dziewczynka (wchodzi w koszuli przez pierwsze drzwi po lewej stronie, zbliża się w półcieniu po omacku do stołu, przysłuchuje się, poczem udaje się ku drzwiom po prawej stronie (pokój matki) i staje bez ruchu, nadstuchując).

Kredens — Krak.

Dziewczyna (słyszy zbliżające się kroki z wnętrza pokoju swej matki i biegnie, aby się ukryć pod stołem. Otwierają się drzwi na prawo).

Żona (wychylając się z poza drzwi, stoi przez chwilę nadstuchując) — Nie... Wszyscy śpią... (Coś się, zamykając drzwi).

Dziewczynka (wysuwając się z pod stołu, nadstuchuje długo, poczem, wsparłszy głowę na rękę, zasypia na dywanie. Po chwili kiedy teatrzyk został postawiony, osoba ukryta poza stołem, porusza marjonetkami, które się w nim znajdują).

Serwantka — Krik. Pada.

Kredens — Kraak. Paczę się. (Cisza).

(Otwierają się drzwi po prawej stronie. Wchodzi żona roznegliżowana w towarzystwie Pierwszego Lepszego. Nie widzą dziewczynki pod stołem. — Żona udaje się do kredensu, wyjmuje zeń butelkę z likierem i dwa kieliszki, które stawia na stole. On pije. — Całują się. — Pierwszy Lepszy wychodzi drzwiami prowadzącymi na schody. — Żona zauważa dziewczynkę, budzi ją i pokazuje teatrzyk).

Dziewczynka (przecierając oczy). — Piękny! Piękny!

(Mówi te słowa tym samym tonem radości i zachwyty dziecięcego, jakim wypowiedziała je poprzednio Matka. Chwila ciszy).

Sniło mi się.

(Bierze teatrzyk i pozwala odprowadzić się ku pierwszym drzwiom po lewej stronie).

K r e d e n s — Kraak, kraaak!

Zasłona.

„W Teatrzyku Miłości dać chciałem życie nieludzkie przedmiotów. Osobami najważniejszymi są teatrzyk drewniany (którego marjonetki recytują w ciemności bez współdziałania kierownika), Serwantka, Kredens, które nie są uczłowiczone (jak kilkakrotnie uczłowiczonemi były w teatrze pasatystycznym), lecz dają nie po ludzku temperaturę, rozszerzenia swoje, ciężary, które wytrzymują, drgania itd.

Trzy te osobistości żyją w nerwach Dziewczynki nerwowej, podczas gdy ta nadśluchuje u drzwi Matki.

Teatrzyk drewniany jest symbolem małostkowości, przelotności i teatralności uwiedzenia miłosnego, a marjonetki jego działają w ciemności, niewytlomaczalnie, jakby poruszane miłością dwóch osób w przyległym obejmujących się pokoju. Wynikać winna znacząca równoległość pomiędzy radością nielogiczną, jaką wykazuje Matka przy widoku zabawki a radością realną, jaką odczuwa Dziewczynka, kiedy daruje jej ją Matka, prowadząc ją do łóżka“.

tłum. Janina de Witt

BIAŁA PANIENKA

*Biała panienska w błękie chodziła, siała tam białe
stokrotki.*

*Jasne obłoczki dokoła niej wiły długie i białe
swe motki.*

*Biała panienska przeciągłym swym śpiewem białe
zbudziła ogrody,*

*Białe ogrody, wkrąg białych balkonów,
w zamku, gdzie białe są schody.*

*Wiśnie rozkwitłe tam płatki ronily, w miejscach
tych rosły wnet nowe,*

*Sosny się białe wysoko wznosiły, lśniły korony
świerkowe.*

*Puchem zajęczym odziały się ścieżki w sadzie
i w leśnym półcieniu,*

*Uszy zajęcze migaly skroś drzewa w mętnych
spojeniach deseniu.*

*W stado łabędzie łączyły się krząc, białym
płomieniem jaśniały,*

*Z białą panienką bawiły się śmiałe, odbłask swych
skrzydeł nań lały.*

*Biała panienska strząsnęła dmuchawiec: puchem
się rozwiął kwiat biały,*

*Ziemię dokoła otulił szron siwy, śnieżne
gwiazdeczki płały.*

tłum. Podhorski - Okołów.

ALEKSANDER BŁOK

JESIENNA MIŁOŚĆ

Gdy w gąszczu mokrych, rdzawych liści
Jarzębin owoc już zapłonie, —
Gdy kat rękoma nienawiści
Ostatni gwóźdź mi wbije w dłonie, —
Gdy nad ołowiem wód płaszczyzny,
W wilgotnym, szaro-mglistym wyżu,
W obliczu srogiej swej ojczyzny
Znów zakołyszę się na krzyżu, —
Ach wtedy — patrzę wkrag, daleko
Przez łąy, w przedśmiertnej tej godzinie,
I widzę: hen szeroka rzeka
W swym czólnie Chrystus do mnie płynie.
W spojrzeniu jego — też nadzieje,
Na ciele wiszą też łachmany,
I tak żałośnie z nich bieleje
Dłoń jego z krwawym kwiatem rany.
O Chryste! Smutno w mej krainie.
Na krzyżu konam ze słabości,
I czólno twoje, czyż zawinie
Do mej męczeńskiej wysokości?

łum. Podhorski - Okołów.

ROZPĘTAŁA SIĘ WICHURA...

Rozpętała się wichura

Na hurra!

Na całego!

Nie dojrzysz jeden drugiego.

Śnieg się wzbija z mocy złej.

Śnieg się skręca w biały lej...

— Boże, ale też zadyma!

— Pieńka, znów? — toć sensu niema!

Pozłocista ikona,

Też cudów nie dokona!

Zmarkotniałeś, ogłupiałeś,

Byle dureń z ciebie drwi —

Czyż nie dość za Kat'kę miałeś,

Czyś nie umył rąk we krwi?

Bacność! — równaj krok zwycięski!

Nie śpi wróg — czeka twej klęski!

Na bój! na bój!

Hej, ludu, zbrój się, zbrój!

tłum. W. Z. Czarnocki.

WALERY BRIUSOW

OFELJA

Ty nie chyliłaś swej główki nad wieńcem,

W rękę nie miałaś Ofelji kwiatów;

Do okna podbiegłaś z radości rumieńcem,

Rozwarłaś je, niby zew słyszając z zaświatów!

Na dole kołysał się tłum szalejący,

Wśród kopyt postuku i kół ekwipaży,

*Tłum wystrojony, zgiełkliwy, śpieszący,
I ciebie wśród tłumu nikt nie zauważył.*

*Ach, cóż kogo mogła obchodzić twarz blada,
Gdzieś w oknie nieznanym, wysoko, wysoko!
I czegoż szukałaś stęskniona i rada,
Błądzącym swym wzrokiem tam w dole, głęboko?*

*Nikt głowy nie podniósł, — i naraz, ze śmiechem
Rzuciłaś się na dół, na pusty szmat bruku.
I ciężko coś padło, ozwawszy się echem
Wśród dzwonekó w przeciągłych i kopyt postuku.*

*Szarpnęły się tłumy i zwarty, krwi chciwe,
Na biednym twem ciałem w wianuszku koralu...
Lecz życie huczało, jak dawniej zgiełkliwe,
Tramwaje i auta pędziły w oddali.*

Tłum. Podhorski - Okołów.

SERGIJUSZ JESIENIN

T A B U N

*Śród pól zielonych tabun przesadza płoty,
Nozdrzami płoszy dni bożych nalot złoty.
Z uboczny stromej, w zmroku niebieskie ramiona,
Pozogą spada grzyw końskich żagiew strzepiona.
Na cichej wodzie przelewne mącą brózdny,
Księżyc je chwyta w srebrzyste swoje uzdy.*

Chrapiąc z przestrachu przed własnym swoim
[cieniem.
Czekaj jutrzni, by ją powitać rzeniem.

Gdy świt wydzwania wiosnę nad końskim uchem,
Dobrze się życzy nawet natrętnym muchom,

Ale pod wieczór na wielkiej łąk kolebce
Uszami strzygą i pobrykują źrebce.

Wciąż zwawszy pogłos przylega na kopytach,
Lecz ginie w niebie i zwisa na rokitach.

Dopiero gdy się gwiazdy pieszczą z falami,
Muchy, jak popiół, sypią się nad wodami.

Zagasło słońce, legła cisza na łące,
Pastuch na rożku gra pieśni zawodzące.

Konie, podnosząc łby z nad wilgotnej trawy,
Słuchają, co im gra chłopak kędzierzawy.

A echo, wargi końskie musnąwszy przelotem,
Łąkom nieznany zanoszą ich tęsknotę.

Kochając dzień twój i nocy twojej ciszę,
Kraju rodzinny, dla ciebie wiersz ten piszę.

Hum. W. D. Czarnocki

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

LEWA MARSZ!

Rozwijajcie się w marszu!
W gadaniach robimy pauzę.
Ciszej tam mówcy!
Dzisiaj
Ma głos
Towarzysz Mauzer.
Dosyć już żyliśmy w glorii
Praw, które dał Adam i Ewa:
Zajeździemy kobyłę historii —
Lewa!
Lewa!
Lewa!

Błękitnobluzi,
Rwijcie
Za oceany!
Zali się pancernikom na raidzie
Stępiły dzioby ze stali?
Niech się brytyjski lew pręży,
Niech ostrą koroną olśniewa —
Komuny nikt nie zwycięży!
Lewa!
Lewa!
Lewa!

Za górą kłęsk błyszczą zorze,
Słoneczny kraj czeka nowy,
Za głód, za moru morze
Niech zadudni nasz krok miljonowy!

*Choć najemna otacza nas banda,
Choć nas potok stalowy zalewa,
Nie zdusi Sowietów Ententa!*

Lewa!

Lewa!

Lewa!

*Zali wzrok orli zgaśnie!?
Czyż ulegniemy w walce!?
Ciaśniej
Ściśnijcie światu na gardle
Proletarjatu palce.
Naprzód pierś podaj naga,
Niech Flaga na niebo zawiewa!
Kto tam znów rusza prawą?
Lewa!
Lewa!
Lewa!*

tłum. Antoni Słonimski.

TEODOR SOŁUGUB

CZARCIA HUŚTAWA

*Nad rzeką, gdzie koślawe
Chojary w cieniu drzą,
Rozhuśtał czart huśtawę
Kosmatą łapą swą.*

Hej, czarci śmiech ją niesie,

To wprost, to wspak,
To wprost, to wspak,
A deska skrzypi, gnie się,
Sznur naprężony trze się
O twardy sęk, o hak.

Przeciągle skrzypi, stęka
Rozchwianej deski ruch,
A czart ze śmiechu pęka,
Trzymając się za brzuch.

Ja huśtam się i zmagam,
To wprost, to wstecz,
To wprost, to wstecz,
Podnoszę się, opadam,
Omdlałym wzrokiem błagam:
O, czarcie idź-że precz!

Błękitny bies nad jodłą
Chichocze, stroi żart:
— Gdy tu cię lichy zwiódło,
To hulaj, pal cię czart!

Pod jodłą piszcza żwawe
Czeredy czarcich wart:
— Gdy wpadłeś na huśtawę,
To hulaj, pal cię czart!

Wiem! Czart tak długo będzie
Huśtawę huścić, nieść,
Aż skosi mnie w rozpędzie
Zamachem groźna pięść.

Aż pęknie sznur z konopi,
Podnosząc mnie pod strop,

*Aż mi pod chwiejne stopy
Podwinie się mój glob.*

*Przez jodłę fiknę nagle
I łbem o ziemię trach!
Więc huśtaj, huśtaj, djabło,
Wciąż wyżej, wyżej... ach!*

tłum. Jul. Tuwim



POECI POLSCY.

W POLU

*Dwoje nas w ciszy polnego zakątka.
Strumień na oślep ku słońcu się pali,
W liściu, co trafił na krzywy prąd fali,
Wirując, płynie szafirowa łątka.*

*Nabrzeżna trawa, zwisając, potrąca
O swe odbicie zsiwiają kończyną,
Do której ślimak, pęczniąc z gorąca,
Przysklepił muszlę swem ciałem i śliną.*

*W przerzutnym płasie znikliwsza od strzały
Płotka się czasem zasrebrzy na mgnienie.
Pod wodą — spojrzuj! — prześwieca piach biały
I mchem ruchliwym brodate kamienie.*

*Czemu ci głowa na dłonie opadła?
To — pachnie trawa i ten piach pod wodą —
To — wód, polśnione smugami, zwierciadła
Parują ciszą, blaskiem i ochłoda.*

*Tych kilku dębów po nad brzegiem liście
Podziurawione i przeżarte chciwie
Przez gąsienice, trwają tak przejrzyste
Nad własnym cieniem, co utkwiał w pokrzywie.*

*Z tej tu pokrzywy czar dębowych cieni
Zgarnę ku piersiom, co na słońce dyszą,
Ustami dotknę bezmiernej zieleni,
Stęsknionej do mnie swym sokiem i ciszą.*

*Do kwiatów przywrę rozpalone czoło,
Wślucham się w bąki grające i brzmiki,
I będę patrzył, jak lepkie gwoździki
Wśród jaskrów lśniąca ociekają smołą.*

*I będę patrzył, jak maki i szczawie
Mdleją, ciał naszych oburzone wonią,
I będę wodził twoją białą dłonią
Po wielkiej trawie, nieznaney nam trawie.*

W MALINOWYM CHRÓŚNIAKU.

*W malinowym chróśniaku, przed ciekawych wzrokiem
Zapodziani po głowy, przez długie godziny
Zrywalśmy przybyłe tej nocy maliny.
Palce miałaś naosłep skrwawione ich sokiem.*

*Bąk złośnik huczał basem, jakby straszyl kwiaty,
Rdzawe guzy na słońcu wygrzewał liść chory,
Zlachmaniałych pajęczyn skrzyły się wisiory,
I szedł tyłem na grzbiecie jakiś żuk kosmaty.*

*Duszno było od malin, któreś, szepcząc, rwała,
A szept nasz tylko wówczas nacichał w ich woni,
Gdym wargami wygarniał z podanej mi dłoni
Owoce, przepojone wonią twego ciała.*

*I stały się maliny narzędziem pieśzcoty
Tej pierwszej, tej zdziwionej, która w całym niebie
Nie zna innych upojeń, oprócz samej siebie,
I chce się wciąż powtarzać dla własnej dziwoty.*

*I nie wiem, jak się stało, w którym okamgnieniu,
Żeś dotknęła mi wargą spoconego czoła,
Porwałem twoje dłonie — oddałaś w skupieniu,
A chróśniak malinowy trwał wciąż dookoła.*

POWRÓT

Gwiazdo, coś spadła, śnij mi się, śnij!
W progę-m wędrowny porzucił kij,
 Byłem ja leśny,
 Byłem bezkreśny,
 A dzisiaj — czyj?

Dziś — twój, dziewczyno! Dzwon-że mi, dzwon,
Wichrze, zszarpany o wonną błon!
 Jedną pieśczołą
 Znuży się oto
 Dusza i dłoń.

W ogniu, dziewczyno, spal mi się, spal!
Jednaka we mnie radość i żal —
 Czyli ja w zbożu,
 Czy w twojem łożu,
 Czy wpośród łał.

Dwa ciała w mroku! Nie bój się, nie!
Wraz z tobą ginę w tym samym śnie, —
 Kto zwiedził ziemię,
 Ten duchem drzemie
 Na jezior dnie!

FUTURYZM FORMIZM..

TYTUS CZYŻEWSKI

POWRÓT

*Dokąd lecicie tak późno
(o godzinie 24 w nocy)
bracia moi żorawie siostry moje dzikie gęsi
przyjaciele moi łabędzie
płyńcie płyńcie w bezkres
między wyspy gwiazdne
na złote morza błękitnego wyspy
jutro o świcie będzie odpoczynek
kąpanie piór w morzu perłowej macicy
i ja lecę z wami drogie ptaki
w jesienną noc między gwiazdy
uczepiony waszych skrzydeł
(gdyż nędzny robak ziemi
nie posiadam piór do lotu)
jutro o tej wieczornej godzinie
między nowe nadlecimy gwiazdy
niby okręt odkrywcy żeglarza
położyłem ręce na górach
i czuję ich wierzchołki wysokie*

pod prądem magnetycznej siły palców
jak sutki piersi kobiecych
chwyciłem i trzymam w rękę
olbrzymiego ptaka
ponieść mnie ptaku w wyraje
gdzie w czarnej liano - puszczy
na dnie spróchniałej skały
świeci ziarnko radium
niby świętojański robaczek a potem
zanieść mnie
w odwieczny potworny rajski bór
gdzie w gąszczu spoczywa
MÓJ PRADZIAD GORYL
pije wodę z misy
ELEKTRYCZNEJ NATURY
u jego boku
ja chcę pozostać pierwotnym
jakim byłem przed tysiąc wiekami.

KOLENDA W OLBRZYMIEM MIEŚCIE

w olbrzymiem mieście biegną ludzie
w olbrzymiem mieście
w olbrzymiem mieście tańczą kwiaty
w olbrzymiem mieście
hej kolenda kolenda
w olbrzymiem mieście idzie wilja
w olbrzymiem mieście
w olbrzymiem mieście
śmieją się dzwony
w olbrzymiem mieście
hej kolenda kolenda

w olbrzymiem mieście
śmieją się dzieci
w olbrzymiem mieście
w olbrzymiem mieście niosą drzewka

w olbrzymiem mieście śledź polewka
w olbrzymiem mieście

w olbrzymiem mieście szczuta psami
sunie nędza zaułkami
w olbrzymiem mieście
w olbrzymiem mieście
hej kolenda kolenda
w olbrzymiem mieście za szybami
w olbrzymiem mieście
stoją drzeweczka z zabawkami
w olbrzymiem mieście
w olbrzymiem mieście za oknami
stoją łóżeczka z laleczkami
hej kolenda kolenda
w olbrzymiem mieście alejami
w olbrzymiem mieście
jadą saneczki z dzwoneczkami
hej kolenda kolenda
w olbrzymiem mieście po kościołach
w olbrzymiem mieście
śpiewają pieśni o aniołach
w olbrzymiem mieście
hej kolenda kolenda
w olbrzymiem mieście dla uciechy
w olbrzymiem mieście
hej kolenda kolenda
dmą organiści w dudomiechy

*w olbrzymiem mieście posłuchajcie
hej kolenda kolenda
wszyscy do szopy pospieszajcie
hej kolenda kolenda
Marję z dzieciątkiem powitajcie
hej kolenda kolenda
pięknie zagrajcie zaśpiewajcie
hej kolenda kolenda
i Józefowi się kłaniajcie
w olbrzymiem mieście*

JAN HRYŃKOWSKI

SZPITAL

*Łoże mucha dzwoni okno Strach
Ciężkie stąpanie nóg Płacz
Nowy transport nadchodzi Ruch
Przekleństwo szepty Mrok
Miękkie dłonie na twarzy Blask
Szum lasu ojciec matka On
Hura hura spiżowy Krzyk
Pocałunek biały miłosny Dreszcz
Napój z kielicha więzienny Sen*

BRUNON JAŚEŃSKI

ŚPIEW MASZYŃSTW

*słońce pszygnąłszy kolanem, skury dymiące się połce
długo do mięsa obdźerał nasz pokrwawiony scyzoryk.*

w noce bezgwiazdne majtkom na swiata płonącym
[drednouce
twarz wylizaly do krwi nam zozy czerwone ozory.
nam-li wyrostym w trudze pod wśćeklą zdażeń ulewa
bładzić po mozach uńseń w gwiazdne wsluhanym
[kapele?

zgodnym wysiłkiem twardych rąk rozhuštamy w lewo
czarñi, maleńcy ludże žemi olbżymi propeller.

patszyl na wszystko z gury nasz bezpartyjny pan bug.
plakal nad nami deszczem, aź wreszće krwią sę wy-
[smarkał.

gdy walec wiekuw gñutł nas, krwi naszej twardyh
[jambuw

słuhalo stare słońce tyse, jak łeb bismarka.
długo świećilo w ślepia nam. purpurowym mužynom.
w mordy zwęglone w hutach, do których pszyrusł
[kopec.

gdy go, zwleczone na žemie, nuż robotniczy zażynał,
tłum sę na trupa žucil krew buhajacą žlopac.

z żyćem rozgranym pod ręce na swiata szerokie trakty
wyszliśmy rano, śpiewajac, z płahtą koloru flamingo.
paszcz wytoczonych mitraljez suhe rytmiczne antrakty
w krtań zabijemy z powrotem kulą wypluta z brau-
[ninga.

kto nam, kto nam teraz droge zagrodzi samym?
wszystko zmiazdzymy butami piękni, ogromni
[i ludzcy.

miejscu! gromada idże. proletarjacki samum!
czapkami droga wymościl taneczny krok rewolucji.
swiat postawiony pod scane, jak mały, bładny czło-
[wieczek,

*mrugał bezradnie oczkami, gdy kolbyśmy wzniesli do
[ramion,
plakał zmartwiony hrystus o dusze swoich owieczek
gdy salwą gruhnęły luły i śnieg się krwią poplamił.
nam-li dziś skomleć nad trupem, gdy hymnem tętni
[nerw,
czaszką o ziemię gźmoćić i kszyczeć: nie pszeklinaj!?
do wszystkich okien i dźwi już wali kolbami mau-
[zeruw
w łunach wshodzącej zozy wielka świetlana NOWINA!*

JALU KUREK

POCHWAŁA NART i ŚNIEGU

(na zawody narciarskie).

*Ta Muza jest naszą Muzą, drogi przyjacielu!
Przypięte mamy do stóp narty i stoimy w śniegu.
Kocham ziemię tętniącą od Tatr aż do Helu,
ale więcej mi mówi nogi drżącej niespokojnie przegub.*

*Ramiona wyrzuć, rozpręż, krew i wiatr w nie wlej,
napnij kolana, rozprostuj je biegiem!
Wbić chciałbym w twoje narty możliwość nowych
[śnież
i skuć je wolą jak śniegiem.*

*Wystrzel ku mnie poziomem, elastyczną kulą,
odpowiem ci przestrzenią jak uściskiem ręki.
Wielkie obszary bieli, które się w dal tułą,*

tęsknią do naszych kroków długich i cienkich.

*Przypięto nam do nóg platformę nowych uniesień,
wznieśmy się po niej w górę, stworzymy inny wy-
miar!*

*Ta linja za nas mówi, jest wiotka i piękna jak jesień,
szybka, bardziej zwycięska od historii Rzymian.*

*Jeszcze tylko wepniemy w poziom wolę naszych nóg,
a potem nóg nożyce werzniemy w śniegu aksamit
i popłyniemy w dwóch potokach, potokach nowych
dróg.*

STANISŁAW MŁODOŻENIEC

„ZIABIA BALLADA“

*zaziabiało ziąbie w stawiu
jeden kum do kumy prawil —
...czik — czik czik — czik rik — czik czik
umizdzona cudza żona
klap po wodzie plusk po wodzie
...czik — czik rik — czik czik — dobrodziej...
— komuś — czo? czo? czo? kumeńku
bałomiasta kuma szasta —
...pomaleńku... potroszeńku...
klap po wodzie plusk po wodzie
kuma kuma za nos wodzi
tu czik — rik — czik tam rik — czik — czik*

czik... co szkodzi?...
tam się kiwa mąż jak rabin —
na zielonym ziele ziabim
wciąż ciam — riam — ciam —
wciąż riam — ciam — ciam — — —

NIE MÓW DZIECINIE...

— — nie mów dziecinie — malutka —
ze serce boli —
że dnie ci wstają na smutkach — —

i zasypiają na melancholji —

— odejdzie czas, który cierpiał —
radość nam namiot utka —

— że w krtani słowa ci cierpną —
nie mów — — niech nie wie malutka.

WIEŚ

Chałupiny rozrzucone —
jak Bóg dał — —
tu i tam —
ino — ino — —

do tej ziemi przyklejone —
 jakoś tak —
 aby żyć — — — —

Chodzą ludzie dookoła —
jak Bóg dał —
tu i tam
utyłana trudem pszczoła
 — — *jakoś tak* —

Chodzi radość po wygonie —
 jak Bóg dał —
Chodzi smutek po zapłociu —
 jak Bóg dał —
jakoś tak — —
 — — — *aby żyć* — —

TADEUSZ PEIPER

ULICA

Dwa prostokąty z cegły na prostokącie z betonu
Hymn pionu

Przez rogatkę z dachów światło się przemyca,
złodziejom dnia — kara.

Tramwaj, paw z blachy, dzwonkiem... gl-gl... próżność
 swą rozgęgła.

Słońce = tylko benzyna lub para.

Człowiek = ptak z węgla.

KWIAT ULICY

Srebro. Jezdnia. Wiec barw. Chodniki.
Kobiety. Chocholy z woni. Suknie ze zwierciadeł.
Słońce na tęczujących nitkach niewidzialnej lodygi.
Okno sklepowe. Auto. Ja, który niem nie jadę.

Skóra jezdni osnuwa srebrem frak auta.
Chodniki marząc leżą na sukniach kobiecych.
Wystawa sklepowa zapłodniona śliną światła
odezwy słońca rzuca mi na plecy

Srebro, skóra jezdni, pryska w boki auta,
wiozącego radość tłustą jak koło.
Suknie kobiet, pod chocholami z woni zwierciadła
butelkowych snów i ciekłego świata,
odbijają w sobie chodniki, które wesoło
południowa godzina barwami obsiała.
Słońce na sprzedaż się wystawia
w oknie sklepowem i złotą solą
sypie w moje plecy, chciwie ciepła imadła.
Zrywam to słońce z wystawy sklepowej,
wmyślam je w chochoły z woni kobiecej,
owijam w chodniki z kobiecych sukien zdarte,
wlewam w srebro, potem z autem w własną głowę
i, wziąwszy do domu ten nienazwany kwiat ulicy,
w zielniku uśmiechów wlepiam go na pierwszą kartę.

ŚRUBY

*Skute; ustrzęgłe, twarde, w hali, na płytach, podsta-
wach
Żelazowały motorów grubością przestrzeń wgniatają,
Cisną na blaty posadzki. Ciężą. Wazą.
Trwają.*

*Objętość, jak pięść ściśnięta, tęższe w pazurach ku-
bów.
W drzeniu spirali wybuchów, w sprężeniu płomien-
nych śrub*

Pęknie

Runie żywy Ruch!

*Bity piętami tworników, w zwojach miedzianych prze-
wodów
Ryczy zarzając gardziela promienio-aktywny prąd;
Czai się w czarnych komorach, cofa się w sploty ob-
wodów,
Wprzód wznosi łapę kałarów, tłukących bronzowy
grunt.*

*Pod żebra rżężącej hali, w zenit tętniącej kopuły
W takt wali gorące serce o ukrzyżowany bok.
Wystrzeli pożarem ognia, kiedy mu napną mięśnie
Tłoki.*

*Na rozpalonych turbinach, partych miechami na-
tchnienia
Wisi przybity gwoździami, umęczon ciężkości bóg,*

*Kuli się w ekstazie bólu, lizany żarem płomienia —
Padnie, porwany obrotem, huczących śmigami, dróg.
Już gorejący cynober zbliża żegadło ostrości,
Drze się zduszony pompami jaskrawy ugier wszertz,
Drapie się w górę po linach wrogie, dyszące wznio-
słością*

Zwierzę.

*Zdębia się stado dźwigarów, podkową okuć zagraża,
Staje na przednich kopytach elektrotechniczny słup,
Wyrwie się z rytmiki tłoczysk, kuty obuchem żelaza
Na kręgosłupie podartych
Śrub.*

POKÓJ

*z kąta — w kąt, krokami kąty rozszerzam,
tam — napowrót, o pokój sobą kołatam,
chodzę i chodzę, aż się z pokojem rozejdę
i pójdę między ścianami a światem.*

*dzień zszedł na niczem, ku wieczorowi zmierzam,
może tak dojdę swego za nieboskłonem,
już — tylko patrzeć, może już tylko jeden
krok — i rękami trączę tamtą stronę.*

*tam, — księżyc z zewnątrz przez okno się zwiesił
i, cicho o tynk stuknąwszy, odpadł cieniem.
gwiazdy spłynęły po szybie. tam — poza —
przejdę, po śladach podłogi, spojrzeniem.*

*pokój, pełny światła, w sobie mnie nie zmieści,
jak on we mnie, w ciele czuję się dwukrotnie.
odejdę od siebie i zatrzyma mię groza
w niebie zaoszczędzonym w jednym oknie.*

SŁOŃCE W BRZUCHU

Choć łamie w kolanach na niepogodę
Przecie jestem jasny zwierzęcy i zdrów.
Brzytwą podcinam leciuchną pagodę,
Z bambusów turkusów i snów.

Żadnego z rozśmieszzeń na mych ustach niebrak
I krzyczy krew moja coraz goręcej.
Szerokim jak góra. Lecz bardziej swe żebra
Rozedrę, aby rozparło mnie więcej.

Do swojej piersi wepchnąć świat cały
Żył swych prężnych oplatać sznurami,
Złoty gwiazd wielkie dymiące kawały
Przełknąć ze słońcem co skrami gra mi.

Tęcze mostów żółte budować z piszczeli
Z waszych szkieletów o biedni ludzie!
Ukręcić łby wam byście już nie piszczeli
I na czaszek waszych stanąć grudzie.

Białe wsie, dżingis, palić w zębów błysku,
Przypiec pięty wam śniącym w bezruchu!
Gdy niebiosą dano mi na półmisku
Niedziw że słońce żarzące mam w brzuchu

Wódkę ostrą młą z wysuszonych tykw pić,
Wić nic rubinową w cieniu mat i palm, —
Na ustach jawianki kulę słońca śnić
Gładząc dłonią pasa jej madapolam.

W noc białą na czaszek stać piramidzie
Obrywać gwiazdy czerwone jak wiśnie,

*W swe serce które na lśniącej tkwi dzidzie
Patrząc czy ostrze przezeń nie wytryśnie.*

*A potem rozbić swe dzbany rubiny,
Głowę schylić, zgiąć barki, — i znów
Pewnej szarej począć wznosić godziny
Leciuchną niebieską pagodę
Z bambusów turkusów i snów.*

KOŁYSANKA

*Moja córeczka
w tym domku mieszka,
o modrym zmierzchu
śpi w tym orzeszku.*

*Oczko prawe,
śpij!*

*Trzepoce rączkami —
kłania się mamie,
nóżkami swemi
kłania się ziemi.*

*Oczko lewe,
śpij!*

*Oczy jej wiąże
snu złota trawa,
nad nią księżyc —
niania nababa.*

*Oczka oba
śpią.*

CZCICIELOWI MASZYN

powiadasz: spójrz-no uważnie ta fabryka to dom
w którym wykuwają JUTRO nieśmiertelne maszyny
powiadasz: i ty maszyną jesteś maszyną tylko — cho-
ciaż
pod wielu względami ustępujesz tym żelaznym anio-
łom
radzisz mi się przyjrzeć jak hangaru podnosi się ra-
mię
a transmisyjne szerokich marzeń pasy
szumią w tej jasnej hali nie gorzej niż w głowie
tak tylko że w pewnej chwili ujrzysz wyraźnie róż-
nicę
ujrzysz drobną różnicę pomiędzy maszyną a mną
w tej chwili
gdy leżąc na wznak
z trudem wykszuszę z siebie wielką flaszę
pełną mistycznej — tak! — mistycznej pełną męki
flaszę
i skrawków lijowych spojrzeń
i kantorów domu handlowego „SMITH & C-NY”
i słów ze stłumionem R
i zjedzonych przez mole akwizytorów
i ukamienowanych szpulkami bawełny wyniszczonych
dzieci
i niewiadomo czemu
i niewiadomo czemu —
(o czarnoziemie twórczego nieporządku!
klasycyźmie podświadomego!!)
— niemych krzyków
tego mostu z rozpaczliwie

załamanemi rękoma
który biegnie w znieawidzoną
— znieawidzoną? —
pełną jaskółczego świergotu i lotu złotych krzyżów
i chmur
nieskończoność
tego nie dojrzysz
w najnowocześniejszej
amerykańskiej maszynie

ADAM WAŻYK

NIEDZIELA

W dzień, za miastem, na rzece, która się już nie pieni,
łodzie, czy mewy z żaglami, z krzykiem nadbiegną
zewsząd.

Połykasz śmietankę obłoków, za miastem, nad rzeką,
w zieleni
soczystej jak biodra rozkwitłych dziewcząt.

W noc, ledwie wzejdzie most, już latarnia
prosi o łaskę pieszczoty dla ulic.
Ciało, nagie, rozległe, oddala się i przygarnia:
ustami przylgnąć, rękami przytulić.

Suty i miękki pieszczot aksamit,
nagość uprawiona w trzepot i kołys.
serce rozsadza ci piersi jak dynamit,

*lecz jeszcze dotąd cię straszy ciał, które śniade są,
połysek.*

*Jak drżą arterje w przegubach,
jak miękką drogę noc ustom mości...
Dwa reflektory, źrenice,
prześwietłą cię falą miłości.*

ADAM BEDERSKI

IMPROMPTU EROTYCZNE

Szkarłatny tan —

*O — twarde niewolnic pięty biją w kotłów skóry,
Gongów tententy rdzawe budzą echa,
Gór niebieskie olbrzymy.*

*W jaskrawe rytmy obłąkańców sprośnych
kadłub tarzam po ziemi*

*(Matko, oto syn Twój pokorny,
oto serca udręka,
Matko, całuję Twe łono)*

*Twarz tłustego błota maskę wzięła żrącą —
i ślin puszystych w warg łuk lepki ciek.*

*Skaczą wysmukły derwisz w szklistej, ostrej pustce,
Wiernych nie widzę, ni Boga,*

Na horyzontach tylko ciężki oddech tub serafinowych,

*I serca mego łopot,
— pogasną łuny —*

I serca łopot —

SPLEEN

Pamiętam:

*dłonie dziecka samotne i miękkie
darły się żywym mięsem o stale sine
i ostre dalekiego nieba,
czerwienią mażąc celów wyblekłość.*

Głos, co wypadł z ust

*ku płomieniom wystrzępionym rozziółkłego zycia
ginał,
by obcy i zimny legnąc w rozpadlin niechcianych
martwicy.*

Pochodnie zapalane krwią w dni trwogi,

*i śmierć głupia, bez myśli, bez skurczy bolesnych,
bez nadziei.*

Czarny krzew mych myśli powłókl się

stęchłym białem natarczywego grzyba —

*ręce powolnie rozkładam, szepcząc blademi wargi
jak mamrot rzeki szeleszczące,*

puste słowa —

WITOLD HULEWICZ (OLWID)

DO DUCHÓW-PRZYJACIÓŁ

*Szeregiem stanęli zvarci — jeden — a w jednym ich
tysiąc. Już nie Ginęcemu Światu na pogrzeb sypać
gradem dźwięcznych łez. Już nie roztaczać nam*

plaszczą w posagowe fałdy, na wieszczów podobieństwo udrapowane.

Trzęsieniem pękniętego globu zadygotały ginących słupów granity —

ich wieże padają wśród duchów weselnego krzyku!

A nam stać!

A nam stać!

Stać — a rozegrzmieć stugromnym dzwonem trwogi na ich gruzów pogrzebanie.

Stać — a wylunąć się w ognia fontannę i pożarem im bryznąć w gasnące oko, a z piersi zdychającego Ciała ostatnią gwałtem wyszarpnąć iskrę, a porwać ją z nami w szal biegu, co się poczyna!!

Co było — niech nam za plecak służy w naświetlowe jazdy niezbyt uciążliwy.

Co jest — my!

Oto gwałt, oto przemoc i oto pychy cielca obelisk rozwalony.

Oto utoczona gładko i czysto lśniąca kolumna za zdrości — strzaskana. —

Nie odpychaj, bracie, lekkim wzdrygiem ramion. Nie dopędzimy strasznej mety, gdy łańcuch się duchów rozzerwie, że w nim jednego nie stanie ogniwa.

A kiedy z junacką śmiałością szarpnąć zapragniesz wrzeczadkami, co zamykają przepaść wszystkich przepaści — ja nie później od ciebie targać będę a ręce krwawić.

A kiedy przez bramę rozwaloną (nie kluczem, a potęgą naszą z zawias wyszarpiętą bramę) ty wejdziesz,

ty jeden,

tylko ty —

*niechaj się wtedy radością spalę, niech dogasającego
pożaru ogonem jak gwiazda spopielona runę na twą
drogę i tobie kobiercem się rozścielę.*

BIBLJOFIL

*On książki nie czyta, lecz namiętnie ją kocha,
pożera ją całą żarłocznością molocha.
I rzadkość szacuje i papieru kierunek
i strojność graficzną i welinu gatunek.
Lub trzyma pod światło tom czerpany i gładki:
jak pod spodem grzyba drżą śmietankowe płatki.
Obraca i pieści, gładzi ręką lubieżną
i mlaska językiem i na płaszczyznę śnieżną
mruży oczy chytrze ten łakomczuch przemiły
i krwi czuje słoność, co wzdęła stare żyły.
I cieszy się strasznie, że nikt nie ma, o n tylko;
kogóżby nie zdeptał w pogoni za pupilką!
Pyszni się jak bogacz i skacze jak żak żaków
ten warjat kochany, najcudniejszy z manjaków...*

JAN STUR

AT PATRIA?

*Trąbią trąby, bębny biją. Idą.
Karoce, psiawiara, szable.*

Stańczyk ręce załamuje; — śmieje się pół- djabie —
Blask złotawy
Ropą zlany,
Myśmy pany!
Błysk a łzawy —
Sztandar zgniły
Wsiąkły w ily,
Trawy.

Targowica! szal —
Trąby, kotły
sens wymiotły!
Hej! Fantary i sztandary,
Teatr stary!
Głupi Maćku, Bartłomieju,
Niech się wszystkie ludy śmieją,
Czapkę zdejm!

Oto szlachta! Pan i stan
Winem schlan!
Niepodległość! A ty sługa!
Wkoło szlachta! Karabale,

Noca druga.
Gadu, gadu — słówek wiele —
To-ci brać:

Tak powstali, jak szli spać!
Bębny biją. Trąbią trąby. Droga szeroka
Mary wielgaśne, królewskie, potężne,
Orężne, pawężne
siermiężne,
się wloką.

Basetla, drumla, harmonja i zgrzyty!
Toczą się wzgórza, wznoszą się szczyty.
W dumę serdeczną całun spowity.

*Takie to ciało
Na mem ramieniu przed wiekiem konało?
Dusza to taka
Znajdzie w Anhellim swego rodaka?*

*

*Inne powstanie, inna mogiła,
Memu kochaniu inna odpowiedź,
Mojej wolności inna obrona,
Mojej tęsknocie Polska wzruszona
się śniła!
I Polska dobra, chlebem karmiąca
Wszystkie swe dzieci! Serce, co świeci,
Wichr, który leci,
Tchnieniem rozżagwia zagasłe słońca,
Komety ściga, aby szerzyły
ciepło na ziemi!
O! Sprawiedliwa! Dłońmi białemi
Żywych ochrania! Schodzi w mogiły
I myjąc lice grzesznej przeszłości,
Chaty w pałace zamienia!
Raju mój, raju!
Nie prosisz w gości
Tych, co się potąd trudzą w ciemności,
Bowiem nie mieli ojczyzny?
A dziś ją mają?
O biedni, biedni,
Tak samo biedni.
A dziś ją mają??*

LAMENT

*Podziurawiona nasza dusza,
Podarta na strzępy, jak szmata
Z pysznego niegdyś proporca!
Kule, bagnety ją poszarpały, —
Gdzież jest ten krawiec doskonały,
Co ją napowrót połata?*

*Jak ocet — kwaśną mamy duszę,
Jak Martwe Morze — słońca,
A jednak przenajśłodsze winem
Stwórca przedwieczny z swoim Synem
Po brzeg nappełnił nam łono!*

*Gniją nam wszystkie zmysły!
Zbyt długo grzechom służyły!
Oczy widziały, uszy słyszały,
Wargi poczuły, ręce tykały —
I nie krzyczały i nie szalały,
Nie pękły, nie pękły nam żyły!*

*Gdzież jest ten zbawca, co zbawi?
Gdzie lekarz ten, co uleczy?
Kowal, co skrzepi, garncarz, co zlepi
Serca pęknięte, dusze przeklęte,
Zmysły plugawym trądem dotknięte,
Cały ten rodzaj człowieczy?...*

O Boże!

INTERMEZZO NOCY WIOSENNEJ

Słysz — słysz —

Ziemia oddycha.

Rozłogi wstają, nadśluchują, wzdychają —

Coś w tobie szeptem się odzywa:

Budzi, zrywa —

Słysz:

Drzewa o czemś głęboko dumają,

Do szczęścia tęskni zaorana niwa.

Coś w ciszy tej za struny chwyta

Powoli, tak powoli —

Słysz:

Coś w ciszy tej za struny chwyta

I nic cię już nie boli. —

Lecz nagle coś za struny chwyta

I rwie i targa

I w piersi twojej woła skarga

I w sercu twojem coś się pyta:

Dlaczego teraz kwiat rozkwita,

A potem usycha?

I on, i twoja warga,

I wszystko?!

STANISŁAW BALIŃSKI

ELEGJA O ZIEMI RODZINNEJ

*Gdzie jesteście białe domy, zielone ogrody,
Łąki szare, stawy siwe, — gdzie jesteście?
Pod powieką was widzę, jak we śnie,
Długie, długie kresowe wody.*

*Tam powrócę przez las i tę stację,
Gdzie czekają wiejskie konie i pojazdy, —
Będę chodził, będę wspominał wakacje,
Kiedy był lipiec, noc, gwiazdy.*

*Na polance stanę aksamitnej,
W słońcu rannego obłoku;
Tutaj zbierało się grzyby
W tysiąc dziewięćset dziesiątym roku,*

*Po drodze pójde nowogródzkiej,
Zachodu okrytej szalem:
Zgubiłem tam raz pugilares,
Nigdy nie mogłem go znaleźć,
Na gościńca poluskiego mosty,*

W las wyjdę zielonociemny:
Z mostów pięć mil i trzy wiorsty
Liczyło się do Niemna.

Tam pojechać, to było: marzenie,
I las nawet pachniał, jakby rzeką,
Podróżami wiało z tamtej strony,
Lecz mówiło się: to zadaleko.

Będę chodził, będę dreptał w kółko,
Jak ta myśl, co mi duszę przewierca,
Że w trzech milach ziemi kwadratowych
Nie można zamknąć serca.

Będę łowił te białe wspomnienia,
Które, będąc jeszcze chłopcem,
Odkładałem przezornie na przyszłość,
By ten kraj mi się nie stał zbyt obcy.

I powrócę. I odjadę. Znow wrócę, —
Ale każdy mnie powrót oddali, —
Bo nie umiem kochać tej ziemi,
Bez której umarłbym z żalu.

EDWARD BOYÉ

RYBAK

Chciałym was powieść—o przyjaciele,
Nad wielkie morze,
Gdzie pozłociste i purpurowe
Rodzą się zorze.

*Chciałbym wam wskazać na widnokręgu
Dwa żagle złote,
...Płynie tam rybak mojego serca
Łowić tęsknotę.*

*Coraz to niżej i coraz niżej
Spuszcza niewody,
Może wyciągnie perły przejrzyste
Z niebieskiej wody.*

*Bowiem jest dola, bowiem jest dola
Rybaka mego:
...Szukać i błdzić, błdzić i szukać
Siebie samego!...*

MIECZYŚLAW BRAUN

RZEMIOSŁA

*Pochwalam żmudną pracę wszelkiego rzemiosła:
Dłonie twarde, jak ręce żeglarzy od wiosła,
Nożyce, szydło, pędzel, obcęgi i piłę,
Dojrzałą sztukę palców, z których twórczą siłę
Czerpie każdy, schylony nad światem warsztatów,
Podobnych do skrytego gdzieś warsztatu światów.
Prędkie, żywe narzędzia, spadające krzywo,
Rzucają się w rozpędzie na bestję nieżywą,
Krają, sieką, zszywają, łamią, żują, toczą,
Aż wyjdzie to, co dziwny plan oddawna począł,*

Wyokrągli się z palców, wykształci, wypławi,
Jak muszla, wyłupana w zastygniętej lawie. —
Na nowe tory, muzo, twój dyszel wykręcę!
Śpiewać mi będziesz kształty, tworzone przez ręce,
Pracę palców i myśli wcielenia tysiączne,
Jej walki, jej zwycięstwa, klęski nieodłączne, —
Te słowa bowiem, walcząc, tak samo ci kreślę,
Ja — sam czeladnik pierwszy w twym świętym rze-
mieśle.

ŁÓDŹ FABRYCZNA

Warkocze dymów kłębami nad Łodzią czarną płyną,
Robocza kurzawa ulic w niebo uderza ołtarń,
Czeszą je w górze szczerbate grzebienie wzniosłych
kominów,
Wszystkie warsztaty turkocą, palą się wszystkie
latarnie.

W kościołach czerwonych fabryk krążą pospiesznie
i gwarnie
Pasy szumiące i dźwignie i dyszą płuca olbrzymów,
Spieszą się tkalnie, przedzalnie, wrą kolorowe far-
biarnie

Pieśnią twórczego rozpędu, tryskają strofami hym-
nów!

Kwitnie w motorach i syczy błękitny sen — acetylen,
W południe dzwoni hejnałem tysiąc blaszanych syren,
Na czarnych walcach owite rosną radosną potęgą:

Sukno, alpaga i korty, grube włochate marengo, —

*W halach fabrycznych włókniarze stęsknione unoszą
twarze,
Przy nabożeństwie warsztatów turkocą maszyn ołta-
rze.*

JAN BRZECHWA

ODEJŚCIE JANA KASPROWICZA

*Niech nasze świece płoną, bo noc się zbliża,
Wiatr przez otwarte drzwi płomienie smaga,
Na okna pada cień — czarny cień krzyża,
Pod złym ciężarem ugina się struchlała waga.*

*W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha
Otwórzmy Księgę Proroka,
Kto z nas modlić się umie niech trwa i słucha:
Wylania się oto z nocy boża powłoka.*

*Salve Regina! Salve! Salve! Salve!
Trzeba przestąpić ten jeden, ten jeden próg,
Za progiem widać mak, widać słonecznik i malwę,
A dalej czuwa Krzyż, ziemia i Bóg.*

*Boże Święty, Boże mocny, człowieczą sławę-ć
Niesiemy w tym Twoim śnie powszednim,
Pomiędzy przełęczami, z krawędzi na krawędź,
Mosty same kładą się w milczeniu przed nim.*

*Klonowe drzwi naprzestrzał smucą się pustką,
Przywarliśmy do szyb usta i oczy,*

*Zmierzch powiewa obłokami, jak lnianą chustką,
Noc złotemi obręczami z za gór się toczy.*

*Za górami klęczą ludzie nieprzebudzeni,
Za oknami klęczą ludzie zdjęci żalobą,
Umówioną cierpką wonią górskiej zieleni
Nawołują się niebiosą pomiędzy sobą.*

*Niech nasze świece płoną, bo noc się zbliża,
Umarłemi stronicami milczy Księga Proroka,
Na okna pada cień — czarny cień Krzyża,
Rozpostarła się na cieniu ludzka powłoka.*

JULJAN EJSMOND

PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚĆ

*Wspominała raz Przeszłość dawne, dobre czasy,
gdy ziemia, młoda i miła,
radosna i szczęśliwa,
rodziła
dziwiwa!*

*Świat był zaczarowany
cały...
Pod obłoki wlatwały
fruwające dywany
nad góry i nad lasy...*

*Światła cudowne paliły się nocą,
kierując w zwarty, niebezpieczny mrok,*

za wróżki życziwej mocą,
zblakanych wędrowców krok...

Czapkę-niewidkę włożywszy na głowę,
niknąłeś z oczu wrogom,
podobnie bogom...

Obuwszy buty zaś siedmiomilowe,
przebiegałeś w parę chwil
siedem mil!

A jeśli cię nagrodzić chciały czarodzieje,
trafiałeś do krainy szczęśliwości wiecznej,
gdzie świat w jasności słonecznej
dnem i nocą radośnie się śmieje!...

Rosły tam zakłęte drzewa
ponad zakłętym strumieniem...
I słyszałeś ze zdumieniem,
jak drzewo i strumień śpiewa...

Dziś wszystko przeminęło — jakby świat ktoś urzekł.
Niema czarów ni cudów, złych ni dobrych wróżek...
Nigdy już żywych baśni na świecie nie będzie!
Została nam tylko żalność,
małość

i smutek, po zmarłej na wieki legendzie!

Gdy tak Przeszłość płakała, z rozpaczą i żalem,
rzekła jej Teraźniejszość: „Płacz twój jest skan-
dalem!

Czem były twe dywany mizerne, do góry
w bajkach jeno wzlatujące,
w porównaniu do moich chyżych samolotów,
z których każdy gotów
lecieć ponad chmury
w słońce!

*Przeszłość nieśmiała
paliła skrzydła Ikarów —
zaś Teraźniejszość, dumna i wspaniała,
i pełna czarów,
nie lęka się złamanych skrzydeł ni bezmiarów!*

*Czem były światła twe niby czarowne,
niby cudowne,
co zapalały się, kędy mrok gości,
z nakazu duchów—
aby olśniewać ludzki ród —
jeśli porównać z niemi złoty cud
elektryczności!*

*I czem były twe grające drzewa,
i twe śpiewające strumyki —
dziś, gdy całe powietrze, cała ziemia śpiewa
i całe niebo jest pełne muzyki!*

*Gdy wielka pieśń natchniona,
szczęśliwa,
z ziemi poczęta,
wniebowzięta,
leci — i sływa
radośnie
w wyciągnięte ku niej miłośnie
anten ramiona!"*

MOJA PIEŚŃ PORANNA

*W poranku złotej godzinie,
gdy wszystko o słońcu śpiewa,
gdy szczebiot ptasząt rozbrzmiewa
w gęstwinie rosistych krzów, —*

*o tobie marzę jedynie
moje ty słodkie kochanie,
o tobie marzę w altanie
pełnej jaśminów i bzów...*

*A moja dusza jest taka
jak ten poranek wiosenny
poranek senny promienny
pełen jaśminów i bzów...*

*A moja miłość jest jako
spojrzenie słońca niewinne
na kwiatów buzie dziecinne
zbudzone z pachnących snów...*

WIEŚCI CZARNOLESKIE

*Niechaj mi wiatru powiew wiadomość przyniesie,
co się dzieje w Czarnolesie?*

*Czy żyje stara lipa, w której wonnym cieniu
poeta marzył w natchnieniu?*

*Niema już bujnej lipy. Pracowite pszczoły
przerwały brzęk wesoły...*

*I świerszcz polny, co „łajał słońcu“ w dni gorące,
ucichł na kwietnej łące.*

*Przestało ryczeć bydło, co szukało cienia
i ciekącego strumienia...*

*I pasterz dawno zamilkł, który chodząc za niem,
budził lasy swoim graniem...*

*Umilkli już na wieki słowicy i szpacy
i rozliczni inni ptacy,
którzy ongi tak bardzo wdzięcznie narzekali...
Śpiew ich zamarł w oddali...*

*Ucichł i śmiech radosny i głosiczek słodki
Orszulki, lubej szczebiotki,
która, jako ów ptaszek rozkoszny a mały,
świegotęła dzień cały...*

*Wszystko przeszło i tylko śmierci się nie lęka
czarnoleska piosenka...
Żyje w niej lipa, która umarła przed laty...
Pachną miodem jej kwiaty...*

*Ile pszczół wśród nich brzęczy! Ile ptaków śpiewa
pod cieniem tego drzewa!
Słowików narzekania, szpaków wdzięczne głosy
jak ongi płyną w niebiosy...
I trwa w niej i trwać będzie słodszy nad głos inny
Orszulki szczebiot dziecinny...*

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

LIPIEC

*Żytnie kłosa blade,
Spali słońce niskie —
O niebiańskie sady,
Obłoki wy bliskie!*

*Mijacie nade mną
Lekko i wypukle —
Zwijając się w kłębki
Niby włosów pukle.*

*W niebieskim ogrodzie
Wolno i przyjemnie,
Obłoki jak łodzie
Przeptywają we mnie —
I wszystko się zlewa
W łagodną pogodę.
Lipiec miodem śpiewa
Złoci żyto młode.*

NOC W POLU

*Jadą, jadą. Konie tupocą. Nocą jadą.
Blżej, dalej. Jaśni panowie. Chłopy drogą.
Gdzieże wezmą — moją niebogę, gdzie schowają?
Jarem jadą. Białym gościńcem. Czarną rolą. —
Wołam, wołam. Oni wołają. Nic nie słyhać.
Konie wrone. Konie, koniki! Nie chcą pryhać.
Wozy stare. Osie lipowe. Aj, mój Boże!
Któż was teraz, moi panowie, zgonić może.*

PIOSENKA DLA ZMARŁEJ

*Wszystko jest bez sensu,
Wszystko pogmatwane,
Jak te winorośle
Gąszcze cmentarniane.
Wszystko, — co się złączy
Znowu się rozłączy,
Nakształt pogmatwanych
Na cmentarzach pnączy.*

*Wśród wielkiej miłości
Wszystko jest poczęte
I wszystko — bez sensu —
Lecz bardzo jest święte.*

*Która leżysz w trumnie,
Pomiędzy kwiatami
Wiedz, że Dionizos
Modli się za nami.*

*Wiedz, że przyjdzie święty,
Ramieniem ogarnie,
Wszystkie wytlomaczy
Przebyte męczarnie.*

*Bo sens nie w szarpaniu
Ani jest w radości,
Ale w cierpliwości
I wielkiem czekaniu.*

*Niech cię więc nie dziwią
Obłoki ni zorze,
Wszystko jest na chwilę
I wszystko jak morze.*

*Wszystko jest od Boga
I do Boga droga
Jak ta Jakubowa
Drabina uboga.*

*Niechże ciebie w grobie
Nic nie niepokoi:
Nocką mroźny miesiąc
Nad mogiłą stoi.*

*A wiosną — co wiosny
Przez lata i wieki*

*Kwiaty na mogile
Podniosą powieki.
Wnet pogasną liście —
Wszystko trwa tak krótko
Ja się też przytulę
Do ziemi cichutko .
Zapomnieni dawno
Wyrośnięm kwiatami,
Bowiem Dionizos
Modli się za nami.*

MIECZYŚLAW JASTRUN

Na śmierć Żeromskiego

SZKLANE DOMY

*Z piasku wybrzeża, z prądu wód, z woli świadomej,
Tam, gdzie się Wisła z morzem zielonem spotyka,
Wytopi grube tafle szkła, olbrzymie złomy,
Piramidy świetliste — inżynier Baryka.*

*Pod ciosami kafarów, pod młotów brzemieniem
Osada szklana w ziemię zagłębi się z hukiem,
Szkło pojedna się z ziemią, jak uśmiech z cierpieniem,
Jak grom przebiję niebo gorejącym łukiem.*

*Gdzie w dolinach dymiących żytniemi strzechami
Ryczą gnojne obory, gdzie mitręzą radła,
Szklana wieś jak sen szklany nad nocy łakami,
Wielościenne ku niebu obróci zwierciadła.*

W kryształach ścian dzwoniących pod chłodnym na-
tryskiem

W czas kłosami upału kłującego żniwa,
Odetchnie wodospadem, co jak tęcza spływa
Miasto oczu oszklonych widzeniem świetlistem.

Już noc upaja wonią, mlekiem — świt pogodny,
Barszczem czerwieni — zorza wieczorna nakarmia
Już dla serc obojętnych, już dla oczu chłodnych
Rośnie w przestrzeniach nocy szklana marzeń armja!

Fontanny fioletowe, kaskady gwiazdziste,
W szklach załamane fale elektrycznych świateł,
Na powieki, rzesami snu jeszcze skrzydlate,
Spływają lekkie, świecące i czyste.

W szkle rżniętem — płyną, dyszą pełnemi piersiami
Rzeki wierne i słodkie, szumią zdroje ciemne,
Lecz gdy ich spragnionemi dotkniemy wargami
Nikną, giną, jak wody pustyni podziemne.

Oczom naszym odbitym w przejrzystym kryształu,
Gdy zabłyśną na chwilę i po chwili zgasną,
Złudę, jakże bolesną i jak bardzo własną
Odślaniają rozbite pięścią słońca fale!

Odartym z płaszcza złudy, okrytym żalobą
Kłeski, co krwawi sercem najbardziej człowieczem,
Kochać, jak Ty kochałeś, tem samem powietrzem
Oddychać nam i dumać i płakać wraz z Tobą.

Kiedy nas znuży walka, co krwią naszą broczy
W pustkowiu, w którym żaden głos nie odpowiada.
Gdzie najlepszych — nienawiść, wiernych — czeka
zdrada,

Gdzie przez łzy patrzą najjaśniejsze oczy,

Gdy runą szklane domy, gdy mrok nas obejmie,
I złowrogo zatrzeszczą lodu kruche łodzie,
Gdy przyjdzie nam wśród nocy tułać się o głodzie,
Kijem pielgrzymim kroki podpierając chwiejne,
Ty, któryś odszedł od nas z wszechmocnem widzeniem
W oczach, groźny, wsluchany w szum puszczy wy-
sokiej,
A dzisiaj u nóg ludzkich, w gęstym, dusznym mroku,
Raz jeszcze pomyśl o nas — ogromnem milczeniem.

ZYGMUNT KARSKI

LUDWIK SPITZNAGEL

To będzie dramat życia nieskłamany w niczem,
To będzie naga prawda z blaskiem rozwiedziona,
Historja z półtragicznem, marzącem obliczem,
Gdzie krewia najżywszą splywa ciało Endymjona.
Jako drogman wyjeżdżał w kraj bez zim, bez wiosen,
Jechał stepem, step szumem dziwował się czajce —
Błady chutor popłynął wśród topoli wiosel,
I popiół zwolna wygaś w turkusowej fajce.
I zajechał do dworu w skrzypiące wierzeje;
Otworzyły się wrota i psy zaszczekały,
„Kto jesteś?” — „Jestem rodak; zanim dzień zadnieje,
Wyjadę, a tymczasem chcę pić smutek biały”.
Wszedł do domu (ja nigdy nie śpiewałem z wami),
Drzwi naocież otworzył (i przeczuł Szopena):
On jest mistrz, co mej pieśni sens wydarł z nutami,

*Jestem, jak wy, lecz we mnie drży jątrząca wena.
Zakochał się w dziewczynie. Niech będzie Marylka
Imię tej, którą ujrzał w drzwi gościnnych progu...
Co może zatopionych w sobie oczu chwilka?
Czemu anioł kobiety pięknem bluźni Bogu?*

*Wszyscy siedli za stołem, czekają wieczerzy.
Nagle wiatr lekki zawiał... Kozak lampę trzyma...
A Spitznagel przed lustrem w blade czoło mierzy:
Padł strzał. Boże! Zbaw duszę biednego pielgrzyma.*

GABRJEŁ KARSKI

KWIAT AKACJI

*Kiedym czekał na pociąg, oparłszy się o mur stacji
nie wiem skąd spadł mi pod nogi biały kwiat akacji.
...Nic już nie pomnę dokładnie, nie mógłbym dziś
opowiadać
o naszej rozłące. Nie wiem czyli słoneczne złoto
spływało wtedy z nieba... a może deszcz zaczął
padać...
czy to było śród zieleni wiosny... a może w liści
jesiennych chrzęście...
ach, nie wiem...*

Lecz mniejsza o to...

*Pamiętam tylko, że byłem na cichym śpiesznym po-
grzebie:
wzrokiem odprowadzałem swe szczęście, —
wpatrzony za powozem, co unosił ciebie,*

znaczyć kołami na miękkim piasku alei
i na mem sercu ślad — dwie brózdy beznadziei...

Kiedy stałem samotny, pod murem brudnej stacji,
upadł mi cicho pod nogi biały kwiat akacji...

...Majaczy mi się nasz romans, ten romans napół-
dziecinny,
taki naiwny, niewinny, od wszystkich innych tak inny,
utkany z niewyraźnych zapatrzeń się i rozmarzeń,
romans kart nierozciętych i nieuchwytnych zdarzeń,
romans, którego pamięć tknąć się dzisiaj wzbrania,
tak nikły, że niema po nim nic prawie do wspomina-
nia.

Pozostał tylko jakiś urok nedorzeczny,
ów wdzięk, jaki mają przedmioty ukryte na dnie
szufladki
(jakieś liche drobiazgi i zasuszone kwiatki) —
tem droższe dla nas im bardziej zbędne i nieuży-
teczne...

...Kiedy stałem samotny, pod murem brudnej stacji,
do moich stóp cichutko spadł kwiat biały akacji.

...Niekiedy wraca do mnie, powraca na chwilę krótką
ów blady czar wspomnienia. Czasem nieśmiało, ci-
chutko
zbliży się i me serce przyciśnie — jak guzik dzwonka
podbiegam drzwi otworzyć... — pod drzwiami już
niema nikogo...

A potem pamięć się błąka
na ścieżkach półsmętnych zamysleń
i wraz mi boleśnie i błogo
i w oczach białło — jak w sadzie pośród kwitnących
wisien...

O czym wspominam? sam niewiem... toż wspomnień
mam tak mało...

Czy stało się co? Nic przecie. A jednak — coś się
stało...

Natężam pamięć. Tak trudno pochwycić jakiś wątek..
Choć jedno zdanie, choć słowo, choć słowa tylko po-
czątek...

O, teraz słyszę, słyszę... szept jakiś blisko, blisko...
nawet nie szept, — westchnienie... lecz w niem już
wszystko, wszystko...

...Kiedy stałem samotny pod murem brudnej stacji,
nie wiem skąd do stóp moich przyfrunął kwiat akacji...

JAN LECHOŃ

MOCHNACKI

Mochnacki jak trup blady siadł przy klawikordzie
I zwolna jął próbować akord po akordzie.
Już ściany pełnej sali w żółtym toną blasku,
A tam w kącie kirasjer w wyłączanym kasku,
A tu bliżej woń perfum, dam strojonych sznury,
A wyżej, na galerji — milcz serce — mundury!
Tylko jeden krok mały od sali go dzieli,
Krok jeden przez wgłębienie dla miejskiej kapeli, —
On wie, że okop hardy w tej przepaści rośnie,
Więc skrył się za okopem i zagra o wiośnie.
Rozpędził blade palce świergotem w wiolinie,

*I mały smutny strumień z pod ręki mu płynie.
Raz wraz rosa po białej pryska klawiaturze,
I raz po raz w wiolinie kwitną polne róże.
Rosną. Większe, smutniejsze, pełniejsze czerwienią,
Coraz niżej i niżej, uschną, w bas się zmienia!
Nie. Równo, równo rosną w jakiś smutny taniec,
Rozdrganą klawiaturę przebłagał wygnaniec,
I nagle się rozplakał po klawiszach sztajer,
Aż poszedł szmer po sali, sali Biedermayer.*

*Głupio, sennie, bezmyślnie kręci się i kręci,
Jakieś myśli chce straszne wyrzucić z pamięci.
Do piersi jakąś białą przytulił pierś drżąca
I czuje tuż przy piersi nieznośne gorąco,
I tysiąc światel w oczach, w czyjejs twarży dołki.
I zapach... białej sukni, ubranej w fiołki.*

*Nagle złoty kirasjer poruszył się w kącie.
Sto myśli jak kanonier stanęło przy loncie,
Stu spojrzeń obcej sali przeszły go miecze,
Wstyd idzie ku estradzie — czuje, jak go piecze.
Więc do basu ucieka i tępo weń tłucze.
Po tym tańcu szalonym niech ręce przepłucze,
Z tych czerwonych, duszących róż otrząsa płatki,
Rozsypuje po sali w tysiączne zagadki,
W sto znaków zapytania, sto szmerów niechęci.
Nie pyta. Już jest w basie. Już tam się wyświęci.
Raz, dwa, trzy, cztery — wali. Niechaj mu otworzą,
Niechaj wyjdą z chorałwią, wyjdą z Matką Bożą,
Niech mu końskie kopyta przelecają po twarzy,
I niechaj go postawią gdziekolwiek na straży:
Na ulicy stać będzie z karabinem w dłoni...*

...Słyszysz sala: ktoś idzie, ostrogami dzwoni — —

Ostrogą spiął melodję, a akompanjament
Szaleje, krzyczy w basie, rośnie w straszny zamęt —
Ku sali bagnietami już mierzy, już blisko —
I ton jeden uparcie wybija — nazwisko!!!
Wciąż czyste, w rozszalale wplątuje się głosy
I wali, wali w basie murem Saragossy,
Oszalałych Hiszpanów wyciem, darciem, jękiem,
I znów wraca ku górze załzawionym dźwiękiem —
W mazurze — nie — w mazurku idą wszystkie pary,
By całą klawiaturę owinąć w sztandary.
Zatrzymali się wszyscy w srebrzystych kontuszach,
A klawikord im ducha rozplómienia w duszach,
I wzdłuż długich szeregów przewija pas lity,
Tysiąc głów podgolonych podnosi w błękity,
I wszystkie karabele jedną ujął dłonią,
I uderzył w instrument tą piekielną bronią,
Aż struna się ugięła, ta w górze, płacziwa,
I cisza jest w wiolinie. Cisza przeraźliwa.

Po martwej, głupiej strunie, po fijołków woni,
Po czyichś smutnych oczach, jakiejś białej dłoni,
Jakichś światłach po nocy i szeptach w komorze,
Po księżycu, po gwiazdach! Mój Boże! Mój Boże!
Gdzieś się gubi i zwija, przeciera pas lity,
Po księżycu, po gwiazdach, po Rzeczpospolitej.
Po sali idzie cisza przeraźliwa, blada,
I obok tęgich boszów w pierwszym rzędzie siada.
Wzrok wlepia martwy, ślepy w jakiś punkt na ścianie
I patrzy w Mochnackiego, kiedy grać przestanie.

A on, blady jak ściana, płacze, zrywa tony
I kolor z pod klawiszy wypruwa — czerwony,
Aż wreszcie wstał i z hukiem rzucił czarne wieko

*I spojrzal — taką straszną, otwartą powieką.
Az spazm ryknął, strach podły, i z miejsc się porwali:
„Citoyens! Uciekać! Krew pachnie w tej sali!!!”*

PIŁSUDSKI

*Czarna Rachel w czerwonym idzie szalu drżąca
I gałęzie choiny potrąca idąca —
Nikogo nie chce budzić swej sukni szelestem,
I idzie wprzód jak senna, z rak tragicznym gestem,
I wzrokiem, błędnym wzrokiem gasi mgieł welony,
I świt się robi naraz. I staje złękniony.
Poblądle Robespierre cisi, smutni, czarni.
Wychodząc, z hukiem drzwiami trzasnęli kawiarni.
Na rogach ulic piszą straszną ręką krwawą,
Uśmiechają się dziwnie i giną na prawo.
Tylko słysząc nóg tupot na ulicy pustej
I szept cichy. Trup jakiś z białąmi usty.
I gdzieś kończy muzyka jakiś bal spóźniony.
Pod lila abazurem mrugają lampiony.
Białych sukni w nieładzie senność, ciepło, zmiętość,
I piersi, krągłych piersi obnażona świętość,
I mazur, biały mazur w oglupiałej sali:
Dziś! dziś! dziś! Wieś zaciszna i sznury korali.
Roztańczyła się sala tęgim nóg tupotem,
Hołubce o podłogę walą, biją grzmotem,
Białe panny i panny niebieskie, różowe
Przelotnie a zalotnie przechylają głowę
I mówią czarnym frakom: „Przyjdźcie do nas jutro!”
I podają im usta za podane futro.
A kiedy świt różowy przez żaluzje wnika,*

*Dla siebie, nie dla gości, gra jeszcze muzyka.
Menuetem się cichym wiolonczela zali,
I białe margrabiny przychodzą w oddali.
Na liljowych oparach spływają bez słowa,
I pannier rozłożyła markiza liljowa.
Kawaler podszedł blady. Pani tańczyć każe!
I tańczą harfy, sprzączki, koronki, pliumaże.*

*A w klarnet, flet i skrzypce, w ukłony margrabin
Czerwoną, rozwichrzoną wpada nutą Skriabin.
Drze ciszę dysonansem, wali w okiennice,
Muzykę wyprowadza przed dom, na ulicę,
Na płace rozkrzyczane w potępieńcze ryki,
I rzuca w twarz akordom zgłodniałe okrzyki,
Na ziemię je obalił i kopie z rozpaczą:
Otworzyć wszystkie okna!! Niech ludzie zobaczą!!*

*Wielkimi ulicami morze głów urasta,
I czujesz, że rozpękną ulice się miasta,
Że Bogu się jak groźba położą przed tronem
I krzykną wielką ciszą... lub głosów miljonem.
A teraz tylko czasem kobieta zapłacze —*

— — — — —
Aż nagle na katedrze zagrali trębacze!!

*Marjackim zrazu cicho śpiewają kurantem,
A później, później bielą, później amarantem,
Później dzielą się bielą i krwią i szaleństwem,
Wyrzucają z trąb radość i miłość z przekleństwem,
I dławią się wzruszeniem i płakać nie mogą,
I nie chrypią, lecz sypią w tłum radosną trwożą,
A rano, mroźny rano sypie w oczy świtem,
A konie? Konie walą o ziemię kopytem.
Konnica ma rabaty pełne galanterji.
Lansjery-bohatery! Czołem kawalerji!*

*Hej, kwiaty na armaty! Żołnierzom do dłoni!
Katedra oszalała! Ze wszystkich sił dzwoni.
Księża idą z katedry w czerwieni i złocie,
Białe kwiaty padają pod stopy piechocie,
Szeregi za szeregiem! Sztandary! Sztandary!*

A On mówić nie może! Mundur na nim szary.

ŚMIERĆ

*Albo jak boski Goethe, jak stary pan włości,
Gdy zimą kryje pola biała śniegu warstwa,
Do domu poniechawszy wracać gospodarstwa,
Albo jak słodki Shelley umierać w młodości.*

*O! nie dożyć tych zmarszczek, które brózdzą czoło,
I tej zgody na wszystko, co nam w serce wrasta:
Odejść raczej stąd całkiem, niż wyszedłszy z miasta,
Martwym jeszcze się cieniem włóczyć po nim wkoło.*

*O! mój blady hoplito! Napnij swoje nerwy
Wszystkim wrogów naporom i losu pociskom,
Wichrom, które w nie siekają, błyskawic rozblyskom —
Zrób je lirą auzońską, drgającą bez przerwy.*

*Za żadne skarby nieba nie oddam mej świętej
Pogardy dla wszystkiego, co wzrosło z tej ziemi;
Do końca bić się będą z falami wściekłemi,
A śmierć niech mnie potarga — jak żagiel rozpięty.*

PTASZKI ŚW. FRANCISZKA

Ptaszki lecę pytać się, com
widział w niebiosach; duszy-
czki wasze bardzo tęskniące.
Tadeusz Miciński

O szybę błękitną
Bijemy codzien, Panie,
Wątlami skrzydełkami.
Po drzewach stłoczeni,
Czekając, śpiewamy
Za Twemi drzwiami.

Słońce oglądamy,
I nad drzewem fruujemy
I śpiewamy od zorzy.
Czy już tak na zawsze
Zostaniemy tutaj,
Na świecie bożym?

Niemasz na nas kary,
Nie będzie i nagrody?
W swój śpiew zasłuchani,
Któregoś dnia w roku
Na drzewach pomrzemy,
W liście wplątani.

Wiatr tylko nas trąci,
Tylko ziemia odbierze
Skrzydełka zasuszone.
Czyż żaden z nas, Panie,
W niebiosach nie zaśpiewa
Przed Twoim tronem?
Bo przecież śpiewanie

*Miłe jest Tobie, Panie?
Przecież nasze czekanie
Za wiele rzeczy stanie?
Weź, Panie, od niepewności
Ptaki na wysokości.*

*A z wszystkich zakątków świata
Okrągłego, ogromnego,
I z lasu brzoźowego,
Domu naszego,
Polecimy, sfruniemy
Do boku Twojego.*

*Bo jaka by nie była Twa wola —
Dla ptaków niepojęta —
I na niebie i na ziemi
Tobie podobać się chcemy,
Tylko dla Twego uśmiechu
Śpiewamy po drzewach słończeni.*

BOŻA NOC

*Pokąd mnie będziesz gnębił, gniółł,
Smolisty stropie — smołą trwożył?
Rozdawco plag, szafarzu cnót,
Bezgwiezdny szpiegu boży!*

*Dokąd mnie wołasz? Wzywasz — skąd,
Kogucim śpiewem o północy,
Z za szyb w świetlicy każdy kąć
Hyzopem wpływasz nocy?*

*Budzisz mnie, grozisz — czegoś chcesz,
Nieludzki, od mych spraw człowieczych?*

*Powiedz, o jaką stoisz rzecz —
Ty — ciemny Sens Wszechrzeczy?
W smolistej pustce głos twój brzmi,
Kołuje, dzwoni przenikliwy.
Za co mnie ścigasz? Płoszysz sny,
Trapisz, żywiole mściwy!
Wiesz dobrze — nie od dziś ten spór
Trwa nierozumny między nami.
Dość! Dość już! Niech raz zmilknie kur,
Złowróżbny ptak otchłani.*

STEFAN NAPIERSKI

POEMAT

*Wam poświęcam tę strofę, nieznani przyjaciele.
O jakżeż nauczyliśmy się kłamać słowami!
Którzy nocą tłumaczycie romantyczne nowele,
A rozpacz chwyta was za serce, gdy lampa dogasa.
Bóg z wami.
Zegar tyka i wiecie: śmierci wszędzie jest tyle
I obłudy. Możecie umrzeć za chwilę
Nieznani, kiedy inni kłamać będą dalej.
A jednak was samotność oświeca i natchnienie pali,
Ze jesteście jak świeca, którą tchnienie najcichsze
zagasi.
Ludzie są obcy, niezrozumiali w wirze oszustwa. To
wrogowie wasi,*

*Za których najchętniej wytoczylibyście krew i sko-
nali na krzyżu,
Bo to łatwiej, niżli żyć w obliczu
Ciągłej zdrady, ciągłego zaprzaństwa. I w cóż w koń-
cu uwierzycie?
Kiedy was budzą, was jednych, rolety błędące
o świetle,
Jak Aniołowie, schodzący do was jednych, choć ludzi
tak jest wiele.
I padacie w uścisk przyjaźni, jak w otchłań słodczy
bez dna. O marzyciele!*

SŁOTA

*Długo przy szarem oknie czytać Mickiewicza.
Widzieć: ponad drzewami obłok nisko wisi.
Liczenie godzin czyni, że jesteśmy cisi,
Jakby kto mokre snopy na polu przeliczał.
Tak niesfornie koguty przed deszczami pieją.
Chłupot kropel rynnami monotonnie dźwięczy.
Zachód chmury szarawe złoci barwą tęczy.
Rankiem witac, wieczorem — żegnać się z nadzieją.*

PODHORSKI OKOŁOW

W WIECZÓR WIGILIJNY

*Przystąpił do nas na ulicy,
Był w miękkim i szerokim futrze,*

*Wzrok, pełen słodkiej tajemnicy,
O jakimś bliskim mówił jutrze.*

*Z krytego wysiadł samochodu
W tej wielkowiejskiej swojej szacie,
I głosem, drżącym nieco z chłodu,
Zapytał: „O czym rozprawiacie?”*

*„Mówiliśmy o cudów mocy,
„O małym żłobku pełnym siana,
„O Betlejemskiej modrej nocy...
„A zresztą — wszak nie znamy pana?”*

*Lecz on uśmiechnął się boleśnie
I zwolna futra brzeg odchylił...
Któż zgadnie: czy to było we śnie,
Czy też na jawie wzrok nas mylił?*

*Pod futrem płaszcz był purpurowy,
Na śniegu bose stopy stały,
Błękitne błyski wokół głowy
Pierścieniem ciekim migotały.*

*„Mający oczy — nie widzieli!”
Jęknęło drzwiczek zatrzaśnięcie.
Bez słowa staliśmy w zachwycie...*

Samochód trąbił na zakręcie.

O TY — DALEKA...

*O ty — daleka, ty — niezastąpiona,
Zielona moja ziemia białoruska.*

*Gdzieś tam, jak niegdyś, równin twoich łona
Westchnieniem sennem wiatr wiosenny muska.*

*Gdzieś tam, nad modrą łak zalanych tonią
W zadumie złotej i w szeregi drzemią,
Skowronki, drząc drząc ciszę, dzwonią,
I szpak polata nad zoraną ziemią.*

*Szeroko szumią sosny szmaragdowe,
W ogrodach miękko chwieją się jabłonie,
I świerk w takt wiatru gnie wyniosła głowę
I na tle niebios złotem szyszek płonie.*

*I cicho stoi biały dom piętrowy,
Z werandą szklaną i drewnianym gankiem,
Z uchylonemi drzwiami do połowy,
Gdzie muchy grzać się zwykły wczesnym rankiem.*

*A ponad domem błękit roześmiany
Topole prują wierzchołkami trzema,
A jeszcze wyżej — snują się bociany
I błyska obłok... Ale mnie tam — niema.*

DO ADAMA

Jedźmy, nikt nie woła.

*Jednako nam szumiały, tęsknie a miarowo,
Też białoruskie brzozy i dąb ciemnokory.
Jednako zwykło niebo przepływać nad głową,
Rumienić rzeźkie ranki i ciemnić wieczory;*

*Ta sama nas zielona ziemia, z miłych miła,
Karmiła ciszą chleba i jasnością mleka,*

*I kochać, i miłować, i tęsknić uczyła,
Ta ziemia — jak dal smutna, jak smutek daleka.*

*I dlatego, gdy obu nam przyszło, w żałobie,
Zdala ziemi, wydartej złych lat zawierucha,
Żyć i dumać — zarówno i we mnie i w tobie
Nieraz żal tak skowyczy przeciągle i głucho.*

*Że wołamy: „O, Panie, Ty głosem tej strony
Nasze serca zdyszane, naszą rozpacz ukój”.
I słuchamy, daremnie słuch tężąc stęskniony:
Cicho... (Ty — tam na stepie, ja — na gorzkim bruku).*

MARJA PAWLIKOWSKA

HISTORJA O KOWALACH

*Jechał Kowal na Kowalu
jakby koral na koralu.*

*Całowali się bez granic,
grozę świata mieli za nic.*

*Zajechali w cienie świerka
kiedy wróbel głośno ćwierka,
zajechali drogę kurze
i na białym siedli murze,
wpadli w gniazdo młodych Pliszek,
którym właśnie zbrakło Liszek,
siedli chłopcu na rękawie
i patrzyli nań ciekawie,*

zajechali ponad wodę,
weszli w nią jak krowy w szkodę,
i topili się bez żalu
mały koral na koralu...
i ginęli bez ratunku
w nieprzerwanym pocałunku.
— Patrząc już od dłuższej chwili,
aniołowie zazdrościli
i martwili się i bali,
że Kowale zginą w fali. —
Zszedł więc Cherub w wielkiej chwale,
porwał w niebo dwa Kowale.

KOBIETA W MORZU

1

W czarnym trykocie lśniącym
i w kasku z gumy czerwonej
zachodzi w morzu jak słońce,
tylko z przeciwnej strony.

2

Zamięszana w srebrzystą pianę,
zamiatana szumiącą grzywą,
przekomarza się z oceanem,
który chciałby ją kochać nieżywą.

3

Leży jak w łożu.
Na fali oparła głowę.
Otworzyła ramiona płowe,
cała oddana morzu.

4

Morze wzbiera ponad krawędzie,
zagarnia ją chciwym ruchem —
i są jak Leda z Łabędziem,
okryci łabędzim puchem.

5

Jak muszla wpół zanurzona
w fal szmaragdowym obiegu,
wsparta na smukłych ramionach
laluje leżąc przy brzegu.

6

Odpina z ramion zapięcia.
otrząsa krople z dłoni:
łzy szczęścia gorzkiej toni,
która ją miała w objęciach.

7

Jak skarb wyrzucony przez fale
otoczona konturem blasku,
spoczywa rozparta wspaniale
na migdałowym piasku.

MARINA

1

Szum morza w otwartem oknie budzi mnie w nocy
zniecka.
Świat leży przy mnie i błyszczy jak złotych gwiazd
pełna tacka.
Godzina druga. Głównóg dawno już zasnął w ciem-
ności,

Pod ciężką głowę podłożył ramię niezmiernej długości...

2

Jedwabne rybki zmęczone w talbankach tjułowymi skrzeli,
spadają sennie daleko, aż do dna czarnej kąpieli,
i te największe, z atlasu, z podszewką cudnie dobraną,
kładą się w ciemną kołyskę i szepczą sobie: dobranoc...

3

W oddali błędnej, najdalszej chwieje się srebrny krążownik.

Zasnęli już marynarze w rozkołysanej warowni.
I ukwiał zacisnął płatki najciszej i jaknajtaniej,
i małe morskie koniki śpią w czarnej głębokiej stajni.

4

Na morzu wznoszą się fale jak tysiąc ust do księżycy...
Woda ma barwę młodego, zieleniącego się życia...

WIECZOREM

Gwiazda siadła na ganku
w obłocznych pałacach.
Podniosły się tytonie
dotychczas niezcułe.
Nietoperz jak bumerang
wyleciał i wraca,
już ich sześć krąży w koło,
fałszywych jaskółek.
Gwiazda schodzi na niebo,
szuka towarzysza,
na grzbiecie nietoperza
jeździ wkoło cisza.....

INKUB

*Na wielkim łóżku paryskim,
obok poduszki,
— tej drugiej —
nie mogę spać podczas pełni.*

*Księżyc
wślizguje się błyskiem
pod kapę w srebrzyste smugi...
chce puste miejsce wypełnić.
Nikt go nie spędza,
nie płoszy —
więc chyli się ku mnie
i czyha
i usta mi światłem nasyca.
— Leżymy jak na dnie noszy...
i serce moje oddycha
pełnią — ach, tylko księżyc...*

FELIKS PRZYSIECKI

POETA BEZ TWARZY

*Wy jedni tylko, bladzi księżęta poddaszy,
Wracając ogrodami po nocach do domu,
Widzicie go jak w okna zagłada i straszy,
Znak wam dając, by o nim nie mówić nikomu...
Z przedmieść dalszych coś wiedzą o nim ludzie
szarzy,*

*Lecz mówią, że wieść o nim dawno zaginęła:
To poeta sam jeden wśród świata bez twarzy,
Co zgubił swe odbicie z rękopisem dzieła.*

*Lecz widać włada nad nim jakaś moc tajemna,
Bo, niby talizmany bóstwa wykradzione,
Splot wydarzeń, jak mściwa jakaś sekta ciemna,
Chce wydrzeć mu ze serca porywy szalone.*

*Więc sen o wielkiem dziele jest tylko azylum
Dla marzeń niedobitych i olbrzymich planów,
Gdzie sny, wydarte życiu zwierzają się chwilom,
Jak dzieci zniekształcone przez strasznych cyganów.*

*Lecz czemuż, gdy w trzydniowej słocie miasto moknie,
I nocą wszystkie drzewa tak szumią ogromnie,
Szukasz mię i zniecka stajesz w mojem oknie,
Febrycznie, jak do siebie, bełkocąc coś do mnie.*

*Ach, to jest jakaś straszna obłądna ideja, —
To nie moje ubranie! To nie moje listy!
Jam nie ty! Tak, jam nie ty, Ty nie ja, ty nie ja!
To tylko deszcze szumią... To wiatru poświsty...*

*Ach zgiń, przypadnij, odejdz, i wszystko to zabierz!
I zaniechaj pomysłu, by czegoś mi dowieść,
A sam odnajdę wszystko, unicestwię grabież,
I napiszę o tobie wstrząsającą powieść...*

OGRODY DOBROCI

Podnieśmy oczy do góry.

Niebo.

Niebo i chmury.

Światła się kołyszają,

Biją pioruny!

A my zgorączkowani i drżący

Nie wiemy,

Czy w dniu jutrzejszym

Piekło, czy niebo się zbliża?

Lecz wiemy, że wszystko poniżej,

Że wszystko ubliża,

Człowiekowi!

Z kamienia, żelaza, betonu i stali,

Pchani

Pragnieniem

Na „dumną“ drogę

Wybudowaliśmy

W poprzek dni swoich

Ciężar,

Pod nogi własne

Kłody!

Miljon aeroplanów

Miljard samochodów

Myslimy:

Przyszłość się nam ozłoci!

A gdzie jest miejsce

Na wielkie, ciche ogrody

Jedynej, prawdziwej dobroci?!

ANTONI SŁONIMSKI

NA ŚMIERĆ KONRADA

*Nie kładźcie go w trumnę drewnianą —
Nie zaśnie snem sprawiedliwym:
Bo trumna jak okręt zbryzgany pianą
Zaskrzypi drzewem płacziwym.*

*Gdy wichru zerwie się pęd,
Niech okręt z Nim odpłynie:
Nie leżeć Mu w hrabstwie Kent
Ani w Londynie.*

*Nie grzebieć Go w Westminsterze,
Nie owijajcie w całuny,
Odpłyńcie na ciche wybrzeże,
Na turkusowe laguny,*

*Gdzie słońce czarno-ogniste
Zielonem przebiega polem,
A palm pióropusze strzeliste
Nad białym drzemią atolem.*

*Na wyspy dalekie odpłyńcie,
W marynarską ubierzcie go kurtę
I w żaglowe płótno owińcie —
Potem rzućcie Go prosto za burtę,*

*Bo tam — w kraju dalekiej tęsknoty
Modremi szklistemi łalami
Odda mu wszystkie pieszczoty
Morze płaczące perłami.*

MGŁA NA MORZU

*Nad cichem, sennem morzem mgła gęsta się włóczy
I spada niska, ciężka, jak dymy z ogniska,
Okręt, jak koń zbłąkany nocą wśród pastwiska,
Rzy żałośnie. Dzwon jęczy, i syrena huczy.*

*Zatopiony, zgubiony w mleczno-białej tuczy,
Latarni słabem światłem napróżno rozbłyska;
Kiedy wzrok nasz bezsilny nic nie widzi zbliska,
Ucho szelesty chwytac najcichsze się uczy.*

*Jam jest jako ten okręt, i serce me słucha,
Czy we mgle nie zadzwoni głos podobny brzmieniem.
Przepojony tym samym lękiem i cierpieniem?*

*Zanim wchłonie mnie mroku senna ciemność głucha,
Co uspakaja serce i uciszy ducha,
Płynę, wołam wśród nocy i przemijam cieniem.*

DO POETÓW BOLSZEWIKÓW

*Po Republice poszedł szum,
Gdy z dławiącego rytmu chwil
Śpiew Marsyljanki wionął lotny.
Jakże był blady Rouget de Lisle.
Wśród ulic, które opustoszył tłum,
Jakże był blady i samotny!*

*Kiedy łunami nieba świecą,
I kiedy pożar bucha i kłębi się w szumie,
Do nieba iskry błędne lecą,
Ach, to są serca ludzi, co samotni w tłumie.*

O ileż łatwiej w wichrach latać,

O ileż piękniej śpiewać burzę,
Niż w czarne wieńce liście splatać,
Gdy bolą ręce, skrzydła nużą.

Młodości moja utracona,
Powracasz znowu z wichru wiewem,
I drży skrzydłami pierś tracona,
Wezbrana trwogą, łzą i gniewem!

Ci, którzy byli wczoraj szlachetni przez nędzę
Rozparli się za stołem braci rozstrzelanych,
Ale wara wam dzisiaj mówić o potędze
Ludzi złych, albo głupich, albo krwią pijanych!

Jeśli zamienić chcecie słowa
Na widły, noże i kilofy,
To nie tykajcie moich słów,
Wara wam budzić moje strofy!

Wyślizgną się przez lepkie palce,
Kiedy je chwycą ręce wrogie.
Wam nie pomogą nigdy w walce
Me słowa pyszne czy ubogie.
Nikt mnie nie złapie już w pułapki
Sztandarów czarnych czy czerwonych,
Wyrwę chorągiew z rąk splamionych,
Frygijskie z łbów pozzrucam czapki!
Nie ma równości, wolność ginie
W rewolucyjnych trybunałach.
Wroga jest krew, płynąca w ciałach,
Ale braterska, kiedy spłynie.
Wszakże widzieliście, jak bucha,
Sączy się, spływa, pluska,
Jak płynie ciurkiem lepka jucha,

Znacie jej słodki i mdły zapach
Na robotnika czarnych łapach
I na dziewczyny białej chustce.
Zawsze tak różna, a jednaka
W kałużach lepkich i w murach brzęku.
Klejąca się i jeszcze ciepła,
Krew tryskająca z głuchym jękiem
I na śmiertelnych ranach skrzepła,
Krew rozdeptana na asfalcie,
Na schodach domów, na podwórzach,
Barwiąca biały bandaż róża —
I mokra ruda krew na palcie.

Tak łatwo ją wydobyć z ciała:
Wystarczy mała, drobna rana,
A już popłynie niewstrzymana.
Obca, wzburzona i śmiała!
Tak niedaleko jest, tak blisko,
Tak łatwo słyszeć ją pod skórą,
Jak skryte chmurą rzek łożysko,

Ona was pcha w ramiona dziewczki,
Rewolucyjnych dni kochanka!
Cuchnie mi wasza Marsyljanka,
Śmierdzą czerwone chorągiewki.

Pierwszy składałem niespokojne
Kolumny gniewem skandowane.
Trafiały wtedy w piersi wojny
Me słowa, jak kule zbląkane.

A dzisiaj wasze mściwe usta
Znów przeciw wojnie warczą gęsto,
Krzywią się w lekki grymas pusty

*I nie chcą wojny, a chcą zemsty!
Gdzie was dosięgnąć, jaką struną
Trafić do serc zjeżonych jak sztylety,
Gdy tkliwa miłość wam obrzydła?*

*Ci, co was gnębią, jutro może runą,
Zburzą Sowiety, lub pójdą z Komuną,
Lecz miłość zawsze będzie miała skrzydła,
Bo serca są jak ptaki, co przełruną
Przez nienawiści i ślepoty sidła.*

*Ja nie przynoszę czczego słowa „miłość”,
Bo odepchnęłyby mnie wasze twarde ręce,
Ale pokazać chcę zawilść
Świata, co dławi i krwawi się w męce.*

*Bez fałszowanych łez braterstwa
Ja naprzeciw waszych tłumów
Wychodzę sam bez żadnych umów,
Nieskryty w cudze bohaterstwa.*

*Jeślim zapragnął dłoni bratniej
Przyjąć i oddać uścisk ciepły,
To pośród łądów zapomnianych,
Wśród mórz dalekich zabłąkany,
Gdy promień słońca gasł ostatni
Na morzu cichem rdzą zakrzepły.*

*Za wami stoi czarna chmara,
A za mną ustrój, którym gardzę,
Lecz mnie nie wtłoczy w bestji gardziel
Wybawiająca ludzka wiara.*

*Ręce zmęczone krwawą młocką,
Splamione krwią, co z ran ucieka,
Odrzucam. Wierzę w moc człowieka*

I oplakuję słabość ludzką.

*W tej cichej nocy czy słyszysz oddechy
Miljonów, które śpią w ciemności?
Płyną jak ziemia głuchem echem
Ich serca w mroku samotności.*

*W tych wszystkich ciemnych domach miasta
Skuleni śpią i chronią we śnie
Iskrę, co długo tli boleśnie,
Nim kiedyś w płomień urasta.*

*I oto rośnie mądra siła.
Gdy ziemia sucha, ciężka, twarda,
Już się krwią dosyć napoiła,
Szumią kwitnące gaje laurów.*

*Przez wieków ciemny długi zamęt
Stawia swe chwiejne człowiek kroki,
W mękach szlifuje biały diament
Rozumu, co rozświeca mroki.*

*Z trudem podźwiga głazy powiek,
Ażeby podnieść wzrok w błękity,
Wstaje — łagodny, słaby człowiek,
Syn prawowity.*

*O, ziemio, we wschodach niejednakowa,
Tak różna w wieczornych zorzach,
Czysta i młoda,
Skąpana w morzach,
Ziemio, zgubiona w przestworzach.*

*Patrzcie, jak ciężko się dźwiga
Jej syn, odwagą wspaniały,
Gdy ona w mroku zastyga
W księżycowe kratery i skały.*

*Patrzcie, jak trudno mu, ciężko,
A jednak wstaje, zwycięża.
Trudno — jak nam, umęczonym kłęką,
Gdy świat jak złe oczy się zwięza.*

*Był kiedyś wiatr, co znosił pieśni,
Zapachy burz i wonie lata.
Choć ucichł, serce moje nie śpi,
Ale do chłodnej piersi wdarł się
Wicher zbudzony na Marsie
Oddech Wszechświata.*

DO CÓRKI PISARZA

*Po latach, które miną, gdy już będziesz duża,
Gdy po świecie zmienionym będziesz chodzić sama,
— W jakiś ranek jesienny jęknie Zamku brama,
Wejdą ludzie i staną na środku podwórza.*

*I sądzić będą czyny, gniew miarkując święty,
Nowe prawa ogłoszą, zburzą stare gmachy,
Ściany ze szkła zbudują i gwiazdziste dachy,
Ale Twój dom zostanie na zawsze nietknięty.*

*Nie zmieni się ten fotel, ani stare biórko,
Cień rąk nad białą kartą papieru zostanie,
I cień Ojca ogromny, rosnący na ścianie,
Kiedy w nocy pochylał się nad śpiącą córką.*

*Na czole Twem jak gwiazda świeci pocałunek
Ust Jego, co ku Tobie schylały się nisko.
W jakikolwiek dom wejdiesz, gdy szepną nazwisko,
— We wszystkich oczach błysnie miłość i szacunek.*

Utul Twoje łzy, Anno, — ucichnij, Moniko,

*Nie płakać Wam już dłużej w dostojnej żałobie,
Choć umarł Mąż i Ojciec, lecz został na grobie
Wiatr, który nas owiewa rosnącą muzyką.*

J. STYCZ

NIE BĘDZIE NIKT CHODZIŁ...

*Nie będzie nikt chodził ta samą drogą, którą ja
chodzę.
Dla mnie jest ona prosta, to znów kręta,
We mnie jest tylko ta pasja zawzięta,
Idąca przez całe ciało, kończąca się w małej nodze.
Nikt tak nie będzie, jak ja, odczuwał trudu
i zmęczenia.
I chwytania tchu z drżącego pośpiechu —
I tej radości w przelotnym śmiechu,
Kiedy mi legnie w drodze u stóp trochę chłodnego
cienia.*

IRENA TUWIM

RECE

*Nie zostało mi się nic po tobie,
Ani nawet pamiąteczki małej —
Pozostały tylko one obie,*

Ręce białe, które tak kochałeś.

W jakąkolwiek pójde stronę ziemi

One, żywe, zawsze koło mnie.

Wiecznie z tobą, bo wiecznie z niemi,

Dokąd pójde, aby zapomnieć?

I tak będzie aż do końca, aż po koniec,

Gdy mnie wreszcie mściwe dni uśmiercą —

Ręce moje, miłe tobie dłonie,

Położą mi na sercu.

WYZNANIE

Spojrzał w oczy na dno serca, powiedział: — Miła,

Włosa dłonią odgarnął: — O moja biedna,

Jakżeś tutaj beze mnie żyła,

Ty ostatnia, jedyna i jedna?

„Ach, odwiedzał mnie tu naprzód miły wieczór,

Gdy na niebie wszystkie gwiazdy porozwieszał,

Codzień do mnie zachodził po skończonej robocie

I jak mógł, tak mnie po tobie pocieszał”.

„Ach, nie mogłam być tak ciągle sama,

Bo za długo byliśmy sami...

Potem deszcz był... Czekał nieraz przed bramą —

Całowaliśmy się w alei pod klonami.

Aż zdradziłam cię, mój miły, mój drogi...”

— Z kim? mów, w imię dawnej miłości.

„Co noc księżyc sypiał ze mną dwurogi —

Nie poznajesz po naszej bladeści?”

DZIECIŃSTWO

*O cyganach, północy i strychu,
Pełnym szpar, dziur od sęków, przez które
Seledynu płynną sztukaturę
Księżyc wlewał na sufit wisielczy,
O sekretach, pociemku, pocichu,
O wędrownym teatrze i mnichu,
Zbierającym pod gwiazdami ziola,
Będzie powieść straszna i wesola.*

*Cienie liści w trzepocie na ścianie,
Srebrne bryzgi przez drżącą firanekę,
Sen mój z jawą bawił się w chowanekę
I przez siatkę włóczkową łóżeczka
W nieskończoność wpływał niespodzianie,
Wtedy — łkanie, biały strach, wołanie!
Jak śnieżyca, pędzą barwne skrawki — —
Sny: w potwory rosące zabawki.*

*W starej książce był posępny szatan,
Co wpatrywał się w Lygję złąknioną,
Była Lygja moją narzeczoną,
Więc ratować ją chciałem alchemją
I warzyłem ziółka, jak szarlatan,
Potem nocą mnie dusił Lewiatan.
A przed bramą stały groźne czaty:
Pan wieczności — czarny pies kudłaty.*

*Były walce i rzewne piosenki,
Bale w zamkach, w zaklętych stolicach,*

*(Wtedy jeszcze po lwowskich ulicach
Chodził Felek Przysiecki z kochanką!)*
Były drzenia, wyznania i lęki
Szum kasztanów, słodkie łzy podzięk, i
I był księżyc, co patrzył z wysoka
Na Felaxa de Birbante Rocca!

O, te dziwne, niespokojne wieści!
O, majowe i szalone wino!
Rycerz Felax północną godziną
Gorączkowo opowiadał dziwy:
„Wiatr ogrody rozkołysał w mieście,
A w paltocie zmięty list szeleści!”
...Błądzą w rynku cienie niedorzeczne,
Drżą, jak serca, gwiazdy średniowieczne.

Gwiazdy! Nuty rozbitych kantylen,
Na niebiosa garściami ciśnięte!
Czyje dłonie obłąkane i święte
Rozrzuciły moją młodość śpiewną?
Kto otulił w błękitną mantyllę
Czarną Łódź, romantyczną Sewillę?
Błądny dandy, uśmiechnięty blado,
Szedłem miastem w płaszczu i ze szpada.

Gdzie mój rycerz ze swym Rossynantem?
Gdzie ów Petzold, z obliczem jak grabarz?
Kasztelanka gdzie? Cygan Barnabasz
Barligunti zwany Rumberbarum?
Gdzie Paganel z kapitanem Grantem?
Tam zostali. A ja — emigrantem
Jestem... Tęsknię za ojczyzną moją!
Tutaj, u was, obco mi, nieswojo.

Tam wielbłąda miałem na Sudanie,

*A żyrafę i palmę na Niassie!
Gwatemala miała głowy ptasie,
Na Jamajce wodospad się pienił,
Ktoś rogaty był na Labuanie,
Fioletową kochałem Tasmanję!
Z dzikusami nocą szły do tańca
Jaguary z „Młodego wygnańca“.*

*Tam zostałem — w albumie pocztówek,
Na obrazkach, na markach pocztowych.
W lalkach z kitu, w ogniach kolorowych,
W czarnej magji, w mem laboratorjum,
Pełnem rurek, kółek, gwoździ, śrubek,
Tam, w kajetach, gdzie tysiące słówek
Z egzotycznych zbierałem języków:
Hałas ludów, confetti słowników.*

*Tam zostałem — w matczynym kajecie,
W najcudowniejszych z wszystkich cudnych wierszy!
Świat bajeczny, dziw poezji pierwszy!
Był tam strzelec, co nie dał kwiczolów,
I pocztyljon w ogromnej karecie,
Były dzwony i płaczące dziecię,
Jakieś zdanie: „żegnaj... ruszam w drogę“
I „daj czarkę — dokończyć nie mogę“.*

NAD CEZAREM

*Szkoło! Szkoło!
Gdy cię wspominam
Tęsknota w serce się wgryza,
Oczy mam pełne łez!
...Gallia est omnis divisa
In partes tres...*

*Książko podarta!
Niejedną tobie rzuciłem obelgę,
A dzisiaj każda twa karta
Słodkiem wspomnieniem rani!
...Quarum unam incolunt Belgae,
Aliam Aquitani...*

*Ileż to z serca
Płynęło nad tobą skarg:
Czy mają cel te
Przekłady z rzymskich awantur?
...Tertiam,
Qui ipsorum lingua Celtae,
Nostra Galli appellantur...*

*Dzisiaj
Z burzami się mozolę
Na wielkim morzu, dokąd los mnie zagnał,
A w szkole, w szkole
Palus erat non magna...*

*Nigdy nie zgłębię gruntu,
Ani do portu nigdy nie zawinę!
Cezarze!
Dum haec geruntur
Magnis itineribus ku śmierci płynę...*

TESKNOTA

*Uparła się moja tęsknota,
Uparł się dziki mój żal,
Że muszę ciebie zobaczyć.
A była to słota jesienna,*

Słota...

(Litość miej! Wyjdz)

Pod oknami twojemi chodziłem,

(Rozpaczy kamienna!)

I z żalu wylem jak pies!

Bo uparła się moja tęsknota,

Bo uparł się dziki mój żal,

Że muszę ciebie zobaczyć...

Trzeba było się chyba zsobaczyć:

Upokorzyć się prośbą haniebną,

Iść tam do ciebie — prosić!!

Co? Na klęczkach cię błagać,

Wstyd najstraszniejszy znosić!

Tego chcesz?

— Byś mnie pogardą zaczęła smagać,

Dziewko!!

Bym ryczał, skamlał, jak zwierz:

„Litość miej!!“

A tobie, psiakrew, nieochota!

A tobie w rozpaczy mej

Przeszkadza słota:

Mokro... mgła... chlupot błota!...

...A uparła się moja tęsknota,

A uparła się moja tęsknota!...

SIÓDMA JESIEŃ

Przyszła ciszą miłosierna ksieni:

Siódma jesień — najzłotsza, najśłodsza

Z wszystkich złotych i słodkich jesieni.

Moja jedna — jedyna — kochana!

*Przyszła ciszą — drogą długich cieni,
Naszych cieni od dawnych jesieni,
I wszeptala się w nas, zadumana...*

Moja jedna — jedyna — kochana!

*Tys ta sama — o siedem lat młodsza.
Prześwietlona, wypatrzona wzrokiem,
Smętniejącym w życiu z każdym rokiem
I stęsknionym tej świętej jesieni,
Co na zawsze się w dusze wpromieni!...*

*No i przyszła — najśłodsza, najzłotsza,
Przyszła ciszą — drogą naszych cieni...
Jeno patrzeć — a park się rozsuzmi,
Moja jedna — jedyna — kochana!
Jeno patrzeć — a lata dziecięce,
Moja jedna — jedyna — kochana,
Zaniemówią w nas szczęściem i twogą
I wzruszeniem nam głos się przytłumi
I ściśniemy po raz pierwszy ręce,
Co już nigdy się zegnać nie mogą!
I znów, drzeniem przed laty wzruszeni,
Rozwiośnimy się w pierwszej jesieni,
Moja jedna — jedyna — kochana,
Zawsze tamta i zawsze ta sama,
Z mojej pierwszej i siódmej jesieni!*

O CHORYM SYNKU

*Płakała nad nim matka
I płakał ojciec stroskany:
— Ach, nie opuszczaj-że nas,
Syneczku kochany!*

*Załamywali dłonie,
Płakali trzy godziny:
— Podporo naszej starości,
Syneczku nasz jedyny!*

*A synek bredził strasznie
O morzu z okrętami,
A ci błagali, szlochali:
— Ach, zlituj się nad nami!*

*Ale nic nie pomogło,
Wciąż bredził strasznie i cudnie,
Aż umarł synek małeńki,
Umarł w samo południe.*

*Ach, nic pomóc nie mogło!
Upadli, krzycząc, na łóżko!
(Zbyt smutno było na świecie
Na jedno małe serduszko).*

HOKUS-POKUS

*Mógłby to być new-yorskich scen trick:
Słowa i rytmu prężny dwugłos.
Zaczynam numer — kpiarz, ekscentryk,
Alchemik, tancerz i wirtouz.
Mam rym, solidnie w mowę wbity,*

*I strofą na dół wiszę na nim,
Aż nagle, słowa mocnym chwytem,
Przekręcam się do góry zdaniem.*

*Nad siatką — hopla! — w przepaść lecę,
Śmiertelny rekord skokiem biore,
Odbijam się, nad życiem świecę
Kometą, pijanym meteorem.*

*I znowu stoję uśmiechnięty
Ja, głosów świata imitator,
I nowe puszczam w ruch talenty,
Pinetti, prestidigitator!*

*Garść słów, żyjątek kolorowych,
Napłask w elipsę rzucam kragle,
Na pręty dźwięków metalowych
W biegu nadziewam je, jak żongler!*

*Spójrzcie, jak poryw fajerwerkiem
Rozbijam w jazz-band barw i iskiei,
Chmurką kolibrów trunął z ćwierkiem,
W otwarte usta wpadł mi błyskiem.*

*Logołag! Dziwo! Okaz rzadki!
Fenomen! Człowiek-wiersz! Unikat!
Jak węże i skaczące żabki,
Płonące zgłoski haustem łykam!*

*Palmé! Changé! I zręczny magik,
Wtajemniczony słowożerca,
Wobec lekarzy, więc bez blagi,
Połknięty krzyk wyrzucam z serca!*

*W bezmiar żongluję zwinną mową,
Plączę ją w deseń fantastyczny
I z góry wiem, gdzie padnie słowo,*

Clown, matematyk histeryczny!

O słowa, pędem serca gnane!

Słowa, krążące w twórczym transie!

Z chaosu mroków, z wichru planet,

Grzmi po raz wtóry groźne: Stań się!

Jednem zaklęciem: — hokus-pokus —

Tworzę i wcielam świat od wieków.

O hokus pokus! Hoc est corpus!

Formuła bogów i poetów!

POGRZEB SŁOWACKIEGO

Janowi Lechowiowi

Witaj, trumno wążutka!

Co tam stuka w popiele?

Czaszka, wyschłe piszczele,

Paryskiej ziemi grudka,

Nie wiem co, ale niewiele...

Dzień dobry, biedny aniele.

Biją dzwony i działa

Zmurszałym szczątkom ciała,

Kłaniają się ministrowie,

Kroczą osoby przednie.

Wiozą ci Króla Ducha.

Ulica patrzy i słucha. —

Wiozą ci, — ach! Krakowie! —

Prezydent mówi — i blednie.

Marszałek mówi — i blednie.

Sztandar śnieżnie i krwawo

Okrył cię, prochu, dumnie.

Wiozą ci, — ach! Warszawo! —

Wiozą ci Króla Ducha.
A kości grzechocą w trumnie,
Stukają okrutną sławą,
I rośnie cisza głucha
I tłumów pobożnych mrowie.
Witaj i żegnaj, Warszawo!
Witaj i żegnaj, Krakowie!

A co się stało? Co było?
Szczipły brunecik, Syn Sally.
I nagle — Ogień — Idea:
Polska — On — Salomea,
I już się wszechświat pali!
Sam płonie w nim! Spalił się! Spalił!
Spalonego grzebali
Syna twojego, Sally!
Zgasili go mogiłą,
Spopielił się, zatracił!...
Potem grób rozkopali,
Świat się matce odpłacił:
Odniósł proch.

Tak to było.

A tu się działo i działo
To, za czem serce pękało,
Za czem wyl — obłąkanie:
Na śmierć szli po kolei
Jak kamienie
Przez Boga
Rzucane
Na szaniec!
A potem stało się, wstało
Słowo Ognia-Idei,

*I teraz tłum stoi niemy,
Ulica zastygła we dnie,
Prezydent mówi — i blednie,
Marszałek mówi — i blednie,
A wszyscy jednak nie wiemy,
Gdzie słowo i gdzie ciało?*

*Słowo? dzwoni i błyska.
Słowo pioruny ciska,
Jak dawniej — szumnie, dumnie!
Ciało? Próchnicą przeżarte,
Ciało na popiół starte
Kołace w czarnej trumnie.
Niewiele tego, niewiele,
Czaszka, zeschłe piszczele
I obcej ziemi grudka.
Matki niema w kościele,
Dobranoc biedny aniele!
Żegnaj, trumno wążutka!...*

1894-1969 od 1939 emigr. us
KAZIMIERZ WIERZYŃSKI 1936 wuj - państwo

O, ROZŁOŻYSTE POLA

04.2005.
bruna gwał.
O, rozłożyste pola, pola,
Grzbiety zagonów, żyły brózd,
I czarnoziemna, orna dola
W słońcu, w miłości złotych ust.

*Świątovid dycha, wiosna młoda,
Sok tajemnicy ciemnych smug.
Po świecie nosi się pogoda,
Wśród sadów boso chodzi bóg.*

*Ciepły, serdeczny poryk bydła,
Z gęśmi swawolny w skokach pies.
Z dymników rosną modre skrzydła
I dobrze jest tak aż do łez.*

*I, zda się, później, gdy zatonie
Dzień pracowity w ciszy gwiazd,
Wyjdzie przed chatę swą i dłonie
Na świat położy siwy Piast.*

FILOZOFJA

*Dziś drugi raz się urodziłem,
Sylabizuję: a, b, c,
Na śliwki chodzę, puszczam bańki
I marcepanów mi się chce.*

*Jakby na drożdżach, rosnę, rosnę,
Na łeb, na szyję, dzień po dniu,
Mam gimnazjalną czapkę z daszkiem,
Mam pierwsze w życiu rendez-vous.*

*Umiem już pływać, grywam w football,
Ćmię papierosy w biały dzień,
Noszę binokle, kocham Staffa
I jestem pono straszny leń.*

*A potem — potem piszę wiersze,
I mówią do mnie już przez pan:
„Panie Wierzyński“, co to będzie,*

Jaki na przyszłość ma pan plan?"

*Ach, ja na przyszłość po ulicach
Mam zamiar śmiać się, śmiać na głos:
Jakąś niemądrą filozofją
Prześlą mi w głowie każdy włos.*

*Wszystko porywa mnie, rozrywa,
Rozum pomieszał się, jak czas,
Wyprowadziłem się ze siebie,
Mieszkam za darmo w każdym z was.*

*I tak wesełę się, wesełę,
Aż się od śmiechu trzęsie glob,
Zygzakiem latam przez powietrze
I krzyczę wszystkim wam: hop, hop!*

Handwritten signature

U NAS NA LITWIE

*Dawniej, u nas na Litwie, na łąkach wiosennych
Łowiłam w trawie małe, zielonawe żabki,
Szukałam gniazd kukulczych na zegarach sennych
I żał mi było myszek, gdy wpadły do łapki.*

*Słodko było usypiać przy „czarnym baranie”,
Gdy księżyc, blady hrabia, poprzez mgły firanek
Fantastyczne tapety rozwijał na ścianie
I wchodził z srebrną lampą na oszklony ganek.*

*Miałam oswojonego w domu kogucika
I okruszyny z stołu zbierałam dla wróbli,
Gdy dziadunio przyjeżdżał, stałam u luścika, —
Dziadunio mnie i siostrą dawał po pięć rubli.*

*Bocian miał u nas gniazdo na dachu stodoły,
Pamiętam ogród, klomby, altanę liściastą, —*

Potem jeździłyśmy już do Wilna, do szkoły,
Kończyło się to wszystko, — zaczynało miasto.

Skończyło się to wszystko najdroższe na ziemi,
Jedyne me wesele, jedno szczęście moje, —
Stałam wtedy przy oknie i łzami rzewnymi
Płakałam i tęskniłam — i jeszcze tam stoję.

PIEŚŃ O AMUNDSENIE

Cóż donieść wam o sobie, którzy późną nocą
Przed oknami redakcyj bezsennych stoicie,
Z lękiem w oczach pytając się o moje życie, —
Błazi ludzie — niepewni gdzie lecą i poco?!

Dni moje są do waszych podobne i biegną,
Tak samo dużąc, dręcząc, mijając bez przerwy, —
Spotykam ślady ludzkie — kości i konserwy —
Na wielkim, nieskończonym oceanie śniegu.

Szły tu przedemną długie ongi karawany,
Szlak ich co krok się gubi i z przed oczu znika, —
Sztynną ręką marznących płatników pisany
Mój los jest na ostatniej karcie pamiętnika.

Rozejdźcie się do domów, dziś depeusz nie będzie,
Mnie ziemia wasza męczy i ciąży, jak ołów,
Chcę być sam, — mnie wystarczy to śmigło w roz-
pędzie,

Co huczy, gra i szumi, jak koncert aniołów.

Ja jestem inżynierem, co na lotnej wieży
Niezmierzone parcele świata tego mierzy,
Granicę w smudze dymu za motorem niesie
I czarny pas zarzuca, jak lasso, w bezkresie,

Wiąże linją spiralną, zbija w supel twardy:
Tutaj stać będzie pomnik sławy i pogardy,
Tu na tym cyplu stromym, na ostatniej stacji,
W serce bieguna wbiję punkt triangulacji.

To jest fantazja moja, — los i przeznaczenie,
To przekleństwo, którego niczem nie odmienię:
Na tym stepie bezbrzeżnym, pod niebem wysokiem,
Rzucać na siebie własnym, okrutnym wyrokiem,
Na szaniec śnieżny miotać płonące kamienie!

I to jest miłość moja, która w dal mnie pędzi, —
Ja jestem meteorem na świata krawędzi,
Odchodzę i powracam, — i wśród nocy czarnej
Połyskam niebem mojej ojczyzny polarnej, —
Płonę, jak szyb ognisty, gejzer latający,
Spalam góry lodowe w mojej lawie wrącej,
A z tych Alp wiecznego śniegu rąbię złom po złomie,
Całe archipelagi roztopiam w malstromie,
Mój war kipiący lądy wystygłe oblata,
Grzeję glob, — komin Boga, kaloryfer świata.

A jeśli gasnę, blednę, i astralna luna
Rozpierzcha się nękająca wśród nocy bieguna
Na białym stepie ziemi i pod czarnym nieba, —
Wtedy mi żadnej ludzkiej pomocy nie trzeba,
Nie nakarmi mnie żywność, nie wesprą ramiona,
Zstępuję wtedy z statku, wtedy we mnie kona,
Niby ostatnia smuga światła borealnych,
Serce najbardziej ludzkie—z wszystkich sił fatalnych.

Cóż mi wówczas zostaje, niż z mej radjostacji
Wysłać wam depesze przed okna redakcyj,
Donosić o pomiarach, o pomyślnym wietrze,
O mrozach i o burzach, mgłę i barometrze,

*O powrocie, o drodze, co mnie jeszcze czeka
Z szańca, ze stosu mego, — na dół, do człowieka.*

*Lecę wtedy oślepy śnieżystą kurzawą,
Pomniejszony o świat wasz, przybity mą sławą,
Skrzydłami nad stolicą szumię znuzonemi,
Ostatni łuk zataczam i siadam na ziemi,
By tu wśród waszych krzyków, wśród braw i wiwatów
Bezradny stać i niemy, jak trumna wśród kwiatów,
I — zamykając oczy — powoli wkrąg głowy
Owijać chwałę straszną — jak wieniec cierniowy.*

KAWIARNIA POD PIKADOREM

*Był śnieg i zima była, potem bzem pachniało
I szumiął wiatr na drzewach i grał, jak na fletach, —
Tylko rękę wyciągnąć, zgarnąć ziemię całą
I wszystkim ludziom odkryć przyjaciół — w poetach.
W dusznej knajpie niech staną, drzwiami załopocą
I na ulicę z sercem wypadną szalonym.
Po gwiazdach się, panowie, podróżuje nocą,
Księżyc jest pustym dźwiękiem—lub złotym melonem.
O, pierwsze wiersze w życiu! Pierwsza śmieszna słowo!
Czy można kochać potem goręcej i prościej!
Dudni świat za oknami i drży łuną krwawą
Podpalony z za węgla wybuchem miłości.*

ROZMOWA Z PUSZCZA

*Nacichły wszystkie wiatry od lądu, od morza,
Umilkły wszystkie burze, spaliły się słowa,
Nadeszła wtedy wielka, — stanęła u łoża*

*I wokół rozpostarła się — puszcza jodłowa.
Wiedziałem, że tu przyjdiesz czarna, nieodgadła,
Wiedziałem, że jak matka stęskniona mnie czekasz,
Po sercu mi się słodycz twoja wkrąg rozpadła, —
Wiedziałem, że śmierć przyjdzie, jak ostatni lekarz.
Wiedziałem, że twe szczyty, co słońce przebodły
I niebo podpierały lesistym kosturem,
Że te szczyty się zbiegną, że zbija się jodły
I strzelą we mnie straszny, przepotężnym chórem.
Myślałem tylko jeszcze, że w twej głębi ciemnej
Wyrwę tę moc okrutną, co szatanom sprostą,
Każę jej światem wstrząsać, jak wulkan podziemny,
Każę spalać trąd ziemi, jak duch diagnosta.
Myślałem tylko jeszcze, że sam was uleczę,
Zanim posiądę wiedzę, która dziś mi na nic, —
Zostawiłem wam serce martwe i człowiecze,
A wziąłem spokój puszczy i wieczność bez granic.
Przyszłaś, ziemio ojczysta, zasypałaś oczy
Ostatnią ciepłą garścią mego uwielbienia, —
Jeszcze słyszę jak szum twój nade mną się toczy,
Nad światem, nad urodą, nad nędzą istnienia.*

Nieśmiertelnej pamięci
Stefana Żeromskiego

JULJAN WOŁOSZYNOWSKI

MONOTONNE ZAŚPIEWY MARJI

*pagórki na niebie jak jagnięta obłoki na niebie
jak jagnięta*

*szumi dąb i terebint przed chatą
jagnięta na ziemi i na niebie pasie góra Karmelu święta
u nas Nazaret i lato*

*kwitną figi w ogrodzie i róże zawija się ruta zielona
śpiewa ptak i źródło śpiewa
wieczorem idę po wodę wieczorem gdy z niebaskłona
rosista się leje ulewa*

*ciemna noc zapada nad górami
my żyjemy w zielonej dolinie
góry czarne ruszyły się na nas
lasy na nas idą wielką masą
kamienie nad nami gradem
ale śpij cicho dziecino
śpij w dolinie*

*idą srogie wojska jada na silnych zwierzętach
broń wytryska im z rak podobna do srebrnych
błyskawic
kopytami grają się marsze wtórują sobie żelazem
wtórują dzikiem śpiewaniem*

*ale śpij dziecino
śpij ufnie
obronię cię od złych ludzi*

*otoczyli nasze miasteczko
zasiewają je jak ziarnem strzałami*

wpadają jak woda wiosenna
zrywają graniczne tamy
zalewają nas sobą zabijają
ale śpij dziecino spokojnie
śpij słodko
oto już świtać poczyna

niema nic na świecie oprócz ciebie
jesteś ty na ziemi i na niebie
niema nic i tylko ty na świecie
wielki Bóg i małe moje dziecię

patrz w ogrodzie kwiatki zakwitają
słysz w ogrodzie i ptaszki śpiewają
piersi me się mlekiem napęlniają
twe usteczka pieścza je i ssają
śpij dziecino wieczór wieczorniej
słońce topi się pomatu i ciemniej
był deszcz kogut na pogodę pieje
przenocuje noc i dzień zadniej
będzie jutro słoneczna pogoda
przeźroczysta jest na wieczór woda
dym z komina równo w górę płynie
będzie jasno w niebie gdy noc minie
myślę sobie rok cały upływa
a ja tobą taka wciąż szczęśliwa
myślę sobie ile jeszcze ile
będą trwały błogie moje chwile
coraz więcej cieni jest na świecie
coraz więcej straszne jest czekanie
ale niema nic na świecie oprócz ciebie
jesteś ty na ziemi i na niebie

niebo płynące jest jak wielkie morze

chmury cieniste są jak wielkie góry
drzewo nachyla się i szumi liściem
śpij słodkie dziecię me niech cię sen tuli
niechaj owiewa cię wiaterek letni
niech wonne kwiaty łąk owioną cię
wiosna zielona już od rzeki Jordan
w dal do jeziornych wód Genezarethu
w dal do przeźroczystych fal Martwego morza
wapienny błyszczący piach w słonecznym wschodzie
słoneczne płyną dnie w księżycu noce
śpij słodko dziecię me
śpij słodko
śpij

o Genezareth jezioro stare
kto twoje ryby przeliczy
tak nikt nie powie nikt się nie dowie
ile jest we łzach słodyczy

płyną i płyną miną nie giną
jak wody z góry Libanu
tak matki oczy nikt nie wytoczy
jak wody z rzeki Jordanu

wody bierz morze a łzy bierz Boże
niech się za brzeg przelewają
niech płyną płyną miną nie zginą
jeszcze na wiosnę wzbierają

cienie po ścianie okno ma kształt krzyża
cień się po ścianie do kołyski zbliża
na dworze ptaszki śpiewają ptaszki ptaszki
trawka mówi do trawki motylek do motylka
kwiatek tuli się z kwiatkiem potem zasypiają
tak mija dzień jak chwilka

na niebie gwiazdki mrugają gwiazdki gwiazdki
księżyc zagłada w okno uśmiechnięty
wszyscy zasnęli już lub zasypiają
spokój nad ziemią świętą
kołysz się kołysz kołysko drewniana
kołysz na sznurkach żłobeczku
nim ukrzyżują ręce i kolana
mojemu dzieciąteczku

K W A D R Y G A

JÓZEF CZECHOWICZ

ZAULEK

*kamienny kawałek świata
zaulek w kwiatach jak dziewczę
nikt napewne nie zechce
tutaj stukiem samochodu kołatać*

tak

*to tylko gdzieindziej wybucha zwycięski jazgot
a to ciężkie platformy brzęczą w łańcuchy jadąc
a to znowu fartuchy zarzuciwszy na głowę
rozpychają się autobusy słonie brunatne i płowe
albo tramwaje suną*

*między wartami latarni
wełni się czarne tłumy runo
wrzawa we mgłach i dymie wzłata*

*tu cicho trawa wśród kamieni
zieleni się niebu jaskółkom
ludzie są dziećmi dużymi
a samolotem ty pszczołko*

mieszkam tu w izbie malej jak pudełko

*w którą słońce wlewa złociste kubetko
ogródek się waha czy wyjść na ulicę
czy się winogradem wspiąć na okiennicę
wiatr tę pustkę kocha często tu przysiada
coś do szczelin szeptać do okien zagadać
zaśpiewać
chwiejącym się tyczynom słonecznika
pająkom na furcie dębowej
noc dzień przenika
ranki wieczory
na domach wtedy światła z boku
prócz księżycowych i słonecznych gloryj
spokój*

ST. RYSZ. DOBROWOLSKI

CHWAŁA LIŚCIOM DĘBOWYM

1.

*Dawno patrzym na ciebie — o proletarjacie,
na twój heroizm hardy, co przez wieki idzie —
dokąd — — — ?*

*Jednakowo łagasom i Cezarom demos
zdobi wieńcami głowy helleńskie — Norwidzie,
i rzymskie —
patetyczne.*

*I tkliwy i zwierzęcy —
zawsze jednakowy,*

nieodmiennie
pogański!
wczoraj wieńczyć
a jutro
podeptać gotowy
głowę kutą w marmurze
dłutem archaniola —
od jutrzni do zachodu niepewny,
jak burze.

2.

Płyną rzekami łodzie pełne nagich ludzi
pochylonych,
równo prężą u wiosel twarde, grube mięśnie,
miedziana luna usypia, złoty kogut budzi
brązowych
i grzywa rzeki chrzęści,
i płyną tratwy
wspiewane w rytm wody,
dokąd — dokąd —
dokąd —

3.

Nad urwiskiem piaszczystem
na złotawym brzegu
człowiek
z obróconemi oczyma,
jak na magnetyczny biegun —
na wodę,
na mgliste
zatoki,
na wyspy —
sam

*patrzy daleko, tylko patrzeniem zajęty,
jak fala idzie
i tylko,
jak płyną na fali okręty
i żagle
pobłękitniałe na masztach.*

*Dostrzegli, widzą
z gwiazdy
bocianiego gniazda — —
chwila.*

*lecą z okrętów oklaski i krzyki
i przepłynęli, jak cienie
rzeką,
co się skręca i rozkręca — — —*

*wtedy na skinienie
aniola
sypnął wiatr liśćmi dębu na bezwładne ręce,
na głowę, na ramiona —
na osamotnienie.*

NINA HYDZEWSKA

TRAGARZ

*Jest taki stary — ma pewno lat siedemdziesiąt —
a może tylko dwadzieścia osiem — kto wie — — —
Szary pył z kufrów podróжных na oczach mu osiadł
Zgrzybiałe są jego kroki i uśmiech i słowa.*

*Jak łuk, ściągnięty cieciewą, plecy ma wygięte.
Oczami chyba wywierci dziury w bruku szarym.
Do ziemi cięży głowa — leniwej i wypoczętej.
W ziemię wtlaczają ciało stupudowe ciężary.*

*Wieczory rozdarte na dwoje! Kolorowe zmierzchy,
Rozlejcie się po ziemi dla oczu tragarza.
I sąccie się kroplą różową do cuchnących mieszkań,
piszcie słowa wiosenne na zszarzałych twarzach.*

*Wtedy wraca do dalekiego domu tragarz numer
piętnasty,
kiedy już noc ulicami się toczy, jak czarny karawan,
i kiedy ostatni spóźniony pociąg przyjedzie do miasta,
i ramię drewniane podniesie umęczony szlaban.*

*Dziś w nocy został na stacji. Na kupę węgla się zwałił,
w kablak zgięty, skurczony, głowę o mur oparł.
Dzień, twardy jak razowiec, powoli się zaczął oddalać.
Sen opadł na ciężkie powieki, jak srebrzony topór.*

*I śni mu się, że siedzi za dębowym stołem,
a na wpół rozwalonym, zgrzybiałym kominie
czeka na niego miska gorącego rosolu
i skwierczą kluski, smażone na starej słoninie.*

*Świt zazgrzytał kołami pierwszego pociągu.
Rozciął sen, chlebem pachnący, furkoczącym świstem.
i zdzielił oczy promieniem słonecznym, jak drągiem.
Tragarz dziś, jutro i aż do śmierci będzie nosił
bagaże na miasto.*

FABRYKA

I.

*W hali fabrycznej, mrozem błękitnym oszklonej,
Szumi las wysokopienny, zielony. —
Młyny górskich potoków miała bezustanku
Granit, porfir, bazalty — i srebro poranków
Na czarnoziemną mąkę, na tłustą próchnicę.
I sypią pył z pod chmur na góry, wzgórza i kopice.
Wentylator ssie czyste powietrze z północy,
I srebrna lampa świeci w stropu co nocy*

*Tu pszczoły, mrówki czarne, czerwone i rude
Obrabiają surowiec wielostronnym trudem.
A poplamione słońcem w malarni motyle
Malują w chińskie kwiaty zszargane badyle,
Świerki pompują smary, pachnące smoliście,
Żywicą okapując leszczynowe liście.
To najsenniejszy oddział — tu po każdej zmianie
Żaby swe gardła płócią zielonem kumkaniem.*

II.

*W hali fabrycznej, mrozem błękitnym oszklonej,
Szumi las.
I czas przybiera groźnie, rozrasta się w drzewo,
W śmigłą świerczynę, w rzekę, opitą wiosenną ulewą,
W młot parowy, miarowo dudniący w kowadło,
W kuźnię, płonąca błędnym ogniem na mokradłach.
Tu pracują kowale hardzi, nieustępnii —*

*Tu ziemia rozdzierana tętni. —
Mają mięśnie plecione z żelaznych rusztowań,
Ręce — dźwignie, palce — kleszcze stalowe,
Barki — w skrzydła stuorle rozpięte,
I szlaki niewidzialne w powietrzu wytknięte.
Olbrzymia kula ziemi pod ich młotem trzeszczy,
Rozżarzana przez słońce, hartowana deszczem,
Pocięta piorunami, świszcząca w tokarniach,
I parująca wichrem, który ją ogarnia.
Jej czaszkę łysą — lasem porośniętą gęstym,
Uklepią, ukształtują ciężkich młotów chrzęstem,
Spiłują pilnikami, wygładzą, rozżarzą,
Wypolerują gładko i dokładnie zważą,
— Potem ją wystrzelą po wiadomych torach i drogach
— Prosto w Boga.*

III.

*W hali fabrycznej, mrozem błękitnym oszklonej,
Płyńie czas,
Rozlewa się leniwą rzeką na drodze gwiazdami
moszczonej.*

*Tu jest centralna kuźnia, odlewnia i huta,
Walcownia blach najgrubszych, najcieńszego drutu.
Tu dzwonią księżycowe tarcze pod młotami,
Meteory przyskają nad glinianym garem,
Kapią jarzące słońca białymi kroplami
W cebry wody, syczącej od żaru.
Rozżarzone atomy kłębią się w mgławicach,
W rozwianych grzywach komet złotem próchnem
świecą*

*A twarde kule planet, wystrzelone z armat,
Studzą się w zimnem lśnieniu zorzy polarnej.
Dudnią młoty wulkanów w blaszane skorupy*

*I wy!atują w niebo ziem zziębniętych trupy.
A pasy transmisyjne od słońca do słońca
Warczą.*

IV.

*W hali fabrycznej, mrozem błękitnym oszklonej,
Szumi las.
Szumi czas.
Cieknie leniwa rzeka wszelkiej rzeczy.
Miljon żab wieczorami skrzeczy.
A w roztopione złotem zachody,
Kiedy słońce chmurami twarz z potu ociera,
Szczurołap z cienkim fletem błąka się po halach,
Gra słodko, nawołuje — i szuka w błękitnych,
oszklonych oddalach,
Głównego inżyniera.*

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

PRACA

*Prężą się, tęzą gumy muskułów,
Nabrzmięwa bryłą siły opila
Przejęty tułów.
Ośmiogodzinnej pracy kowadło
Iskrami sekund pryska i lśni.
Młoty roboty druzgoczą kadłub
Tępych, ospałych, leniwych dni.
Buch! — młotem w lewo, buch! — młotem w prawo!
Złoty miód potu namaszcza skronie.
Sława robocie, potowi sława,
Sława zgrubiałej, chropawej dłoni!*

POECI PROLETARJACCY

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

PIONIEROM

*Jeśli serce w piersi za ciężkie,
piers rozetnij i serce rwij!
Wyściel drogę wiosnie zwycięskiej
mostem ramion, purpurą krwi.*

*Jeśli z pieśni krew nie wytryśnie,
starczy okrzyk rozgrzanych luź.
Wyteż oczy! Zęby zaciśnij!
Stawaj w szereg! Nie trzeba słów.*

*Cóż, że depczą? Cóż, że są siłą?
Cóż, że miazdzą kolbami twarz?
W mur głowami! Serca przez wylom!
W dni Bastylję zwycięski marsz.*

*W piers niech biją młotem — nie pęknie
Zatknij usta, choć w ustach krew...
Jeszcze będzie jaśniej i piękniej,
będzie radość i będzie śpiew.*

ELEGJA O ŚMIERCI
LUDWIKA WARYŃSKIEGO

*Jeżeli nie lękasz się pieśni
stłumionej, złowrogiej i głuchej,
gdy serce masz męża i jeśli
pieśń kochasz swobodną — posłuchaj.*

*Szeroka, szeroka jest ziemia,
gdy myślą ogarniesz ją lotną,
szeroko po ziemi więzienia,
głęboka w więzieniu samotność.*

*Już działa przeżarte szkorbutem,
już nogi spuchnięte i martwe,
już koniec, już płuca wyplute —
lecz palą się oczy otwarte.*

*Poranek marcowy. Jak cicho.
Jak dziwna się jasność otwiera.
I tylko tak ciężko oddychać,
i tylko tak trudno umierać.*

*Posepny, jak mur Schlüsselburga,
głęboki, jak dno owej ciszy,
z za krat, z więziennego podwórka
dobiega go śpiew towarzyszy.*

*I słucha Waryński, lecz nie wie,
że cienie się w celi zbierają,
powtarza jak niegdyś w Genewie:
„Kochani, ja muszę do kraju..*

*Do Łodzi, Zagłębia, Warszawy
powrócę zawzięty, uparty...
Ja muszę do kraju, do sprawy,
do mas, do roboty, do partji!*

*Ja muszę...“ I śpiew się urywa,
i myśli urywa się pasmo.
Ta twarz już woskowa, nieżywa,
a oczy otwarte nie gasną.*

*Gdzieś w górze krzykliwy i czarny
rój ptactwa rozsypał się w szereg,
jak czcionki w podziemnej drukarni,
gdy nocą składali we czterech...*

*Fabryka Lilpopa... róg Złotej...
Żórawia... Adresy się mylą.
Robota, tak, wiele roboty,
I jeszcze — dziesiąty pawilon.*

*Ach, płuca wyplute nie boją,
śmierć w szparę judasza zaciera —
z ogromną tęsknotą i wolą
tak trudno lat siedem umierać.*

*Wypalą się oczy do końca,
a kiedy zabraknie płomienia,
niech myśl, ta pochodnia płonąca,
podpali kamienie więzienia!*

*Raz jeszcze się dźwignął na boku:
„Ja muszę... tam na mnie czekają...”
I upadł w ostatnim krwotoku.
I skonał. I wrócił do kraju.*

NADZWYCZAJNE WYDANIE

*Już wyskoczył z redakcji zlany potem
tańczy, błaznuje na rogach ulic
na mury wsiada jak na miękki fotel
chce wszystkie oczy do siebie przytulić
wygiął się w czarny pokraczny tytuł
i smaga miasto słów skręconych batem
rozstrzelanie bandytów!
nadzwyczajny dodatek!:*

*ciesz się hołoto i ręce zacieraj
w Aleje do Oazy lub do Loursa rwij
krew się przecie szampanem ściera
l'ordre regne à Varsovie!*

*jak zawsze dotychczas na tej samej ziemi
giną bandyci, mordują uczciwi
zawsze giną ci sami w jutro wpatrzeni
i nigdy świat się niczemu nie dziwi*

*ciesz się hołoto i zwycięstwo krzycz
na świeże trupy spluń oszczerstwa flegmą
jak zawsze dotychczas triumfuje bicz
tylko słupki są nowe — niepodległe!*

*ciesz się hołoto, z dumą podnieś łeb
terror jest fałszem, choć trupy są obok
zawsze bandytą był walczący człek
a narodowym herosem — prowok!*

*ale co wy zrobicie, gdy to jutro wzejdzie
za które oni zapłacili głową?!*

ach prawda was już nie będzie
zostanie po was tylko — słowo
jeszcze tylko ujrzycie:
tłum miljonowy wstanie
przybije na bramy nowego życia
nadzwyczajne wydanie!

WITOLD WANDURSKI

AGITATOR

W cajkowej marynarce, tuląc w palcach kołnierz
Biegnie truchtem po jezdni armji pracy żołnierz.
Piąta: wiec metalowców. Szósta — u włóknarzy.
Więc truchcikiem, truchcikiem. Nagli mróz — towa-
rzysz.
Zima, praczka gorliwa, namydliła śniegu
Balje placów w burzynach od mydła taniego
Jak pralnia mroźną parą nasiąkła ulica
Słońce, stara żarówka, mdło we mgle prześwieca.
Sala zebrzań. Termometr kucnął niżej zera.
„Towarzysz! Tu zimno jak jasna cholera!
Na miasto! Na rozgrzewkę! Zapalić ogniska!
Taszczyć z stare papierzyska!”
I znów dalej. O siódmej wiec u kolejarzy.
Biegnie truchtem. Na głodno o dniu wielkim marzy.
Po dziesiątej — do domu. Zadymka. Zawieja.
Miasto — knieja odludna. Śnieg za kołnierz wieje.
Pali kciuk odmrożony w rozdziawionym bucie.
Ale tli się nadzieja — rozżarzony drucik.

M E T E O R

ROMAN KOŁONIECKI

KOSODRZEWINA

*Wilgotne, szorstkie pióra kosmatej zieleni
moją ścieżkę samotną twardym grodzą wałem.
Szczyt, jak piorun czerwony z dna czerwonych źrenic,
piersią z kosodrzewiny drapieżnej wyrwałem.*

*Idź tędy, prosta drogo, po napiętej linie,
choć ziemia się tu chwijeje o niebo oparta.
Cmentarz czarnych szkieletów śpi w czarnej szcze-
linie:*

każdy krok wart jest śmierci, a śmierć męstwa warta.

*Wiatr potrząsa klingami szmaragdowych noży
w przepaści... — Teraz ręce*

*z ostrzem spleść, zakrwawić —
a potem na dno lecieć, nawznak się położyć,
ciała przykryć gałęzmi — i tak już zostawić.*

O LISTONOSZU WIERSZ PROSTY

*Jest brązowy, rogaty,
pachnie jak niedziela.*

*Daje szczęście na raty,
światem nas obdziela.*

*Krótkowzroczny, już stary,
nienawidzi schodów.
Wkłęśte ma okulary —
lustra antypodów.*

*Ileż ulic już przeszedł
— małomówny, mglisty —
nosząc czarne depesze
i majowe listy.*

*Spotykamy się codziennie —
dawno już się znamy,
choć tak rzadko przychodzi
i do naszej bramy.*

*Piętra u nas wysokie;
niższe zwiedza częściej.
A raz nawet przed rokiem,
był na trzecim piętrze.*

*Lecz raz tylko, „od święta“,
aż tam się gramolił.
(Przyniósł komuś — pamiętam —
Kartę z Neapolu).*

*Kiedyindziej, nad ranem,
przybiegł zlany potem:
pracze syn w Zakopanem
umarł na suchoty.*

*Drewnianymi palcami
w drzwi drewniane puka.
Uśmiechami lub łzami
płacą mu; łza - dukat.*

*Chyba pukał już wszędzie
z twarzą janusową.
— Tylko dla mnie nie będzie
nigdy — ani — słowa...*

*Wiatr wpadł oknem, bez winy,
na jesienny bal:
wniósł dżdżu kroplę, liść siny —
dla mnie — carte postale.*

MARJAN PIECHAL

NAUCZYCIELKA

*Mówią, że choć bezdzietna należysz do matek.
To nieprawda, żeś matką — jesteś ogrodniczką:
bo przecież z tych siedzących w dwu zagonach ławek
chłopiec każdy jest szczepem, a dziewczynka dziczką.*

*Szczep się cierpki chłopięcia zapomnieniem odptaci,
że w szkole niby w sadzie drzewem słodkiem wzrósł.
W ogrodzie nóg dojrzałych i rąk twej postaci
róż piersi nikt nie dotknie — ani kwiatu ust.*

*Dziczka wątlej dziewczynki w jabłoń się rozdrzewi,
rozłoży się powabnie o dwu krągłych jabłkach. —
Ty nigdy już nie staniesz wśród tych dojrzałych
dziewic,
których miłość nad sercem drzy jak nad kwiatem
zapach*

*W tem, że za miłość, za młodość obowiązek nie
starczy,
ach, któżby się zrozumiał, któżby odczuł, któż?
Coraz więcej cię trapią pod oczami zmarszczki,
zawrot głowy, zadyszka — pełno trwożnych wróżb...
Aż czas strumykiem krwi coraz mniej bystrym
z serca jak z pękniętego dzbana wysączy się wszystek,
aż ręce twe pożółkną i zwiędną jak listki,
i twarz zwiędnie jak listek, i serce — jak listek —
aż spadniesz z drzewa życia, jak liść wiatrem ścięty,
gdzieś na głuchej prowincji — zdaleka od miast —
noc ci tylko ukradkiem na sercu pękniętem
położy gałąź nieba z owocami gwiazd.*

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

ROBOTNICZY

*Rankiem budzi nas słońce
z pierwszym oddechem fabryk
i włącza dzień na barki — nasz nieustanny mózół;
wśród godzin dnia całego myśli nie mamy żadnych,
przywiązani do pracy nabrzmiałych żył powozem.
Gorączka rytmu maszyn płucom wyznacza oddech,
wypocząć nie pozwala naszym strudzonym palcom —
nocy spokojna, ręką gniew zaciśniętym odbierz
i daj im odpoczynek, zanim ulegną, walcząc!
Ręce nam krwią nabiegły, palce zdarte na strzępy,*

*oczy przygasłe w mroku, nie widzą, patrząc na świat.
My — bezmyślne kadłuby ludzi nad pracą zgiętych —
czy to Bóg z nas tak zadrwił, czy szatan z nas się
zaśmiał?*

*Wolo zła, co nas trzymasz
w zaduchu pełnych murach,
łańcuchem głodu z maszyną
skuwać nas więcej się nie waź!
...Myślą krzyże budujmy, wparci w ziemię oburącz:
a może Bóg się zmiłuje i łańcuch przyjdzie zerwać?
Cóż nam serca uciszy, kiedy dzieci chcą chleba
i cóż ukoji boleść, co szarpie nieprzytomnie?
Od głodu nie obronią oczy, wpatrzone w niebo,
modlitwa nas nie zbawi —
Bóg miłosierdzia zapomniał.*

*Samym nam własną dłonią po życie sięgnąć trzeba,
a nie czekać w pokorze, aż Bóg zmiłuje się wkońcu:
ręce wzniesiemy w górę i dosięgniemy nieba,
by radość swą okupić złotym pieniądzem słońca.*

Gr. Timofiejew

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

NA PODOLU

*Tutaj brzozom najpełniej wezbrały piersi.
Świeżego nie braknie tchu.
I dlatego po radość, człowiek najsmutniejszy,
przybyłem tu.*

*Wędrowałem po łąkach. Błądziłem po lasach
pośród zielonych drgnień.*

*Uśmiechałem się słońcu... I tak najprościej
przeżyłem niejeden dzień.*

*Ale przyszedł zmierzch zasmucony,
niepowrotny, jedyny i ten,
że kwiaty w ogródkach uspionych
zapłakały rosą przez sen.*

Tak cicho. I tak bardzo tęskliwie.

I nic nie pomoże na ból. —

*Rozwiały dnia radość drgające na wietrze
wachlarze dalekich pól.*

Stoję na drodze pod dębem wysokim.

I patrzę najsmutniej w dal.

*Dąb kiwa nade mną zieloną głową:
czego mu żal?*

*Ach, ja nigdzie nie zdołam zapomnieć
kraju mych dawnych lat!*

*Co mieściło się wtedy pod stopą dziecięcą,
jest dzisiaj większe niż świat.*

K A D R A

WAWRZ. CZERĘŚNIEWSKI

ŚWIĘCI

*Trwaliśmy na złotych ołtarzach
Lat tysiąc — w wota zakłęci.
Czas przy nas na straży stał —
Nazywaliśmy się święci.*

*Ludzie przed nami stawali,
Szepcząc, mówili pacierz.
Z łez wota ubogie składali,
Błagali o nędzy swej kres.*

*Nie dawali brylantów, ni złota.
Jeno łzy i ukrzyżowane usta.
Patrzyliśmy zdziwieni z pod oka —
Litość w nas rosła i rosła.*

*Cóż poradzim wam, ziemską biedo,
Na ołtarzach złotych i drogich?
Zstąpimy chyba na ziemię:
Na czele pójdziemy niedoli.*

*Opustoszały ołtarze w kościołach...
Zbiegli święci przewodzą nędzarzom.
Pozostały skarby i wota: —
Święci herezję wiodą ostatnią.*

MIŁOŚĆ TWORZĄCA

*Jest miłość, która serce, jak czarną glebę, orze
Rozpaczy niemilknącej stalowym, ostrym nożem.*

*I ciche skiby bólu kromkami chleba kładzie
Na dwa zagony życia: na każdą noc i na dzień.*

*Jesienią z mlecznych szlaków i ciężkich smutkiem
planet*

Tajemne strząsa ziarna na lany poorane,

*Wełniastą potem chmurą zasłania niebo drzewom
I poi suchą rolę ukrytych łez ulewą —*

*Aż wiosną, gdy na niebie zawisnie krąg ognisty,
Z zoranej gleby serca pszeniczny łan wytryska.*

*I rośnie, rośnie w słońcu, przybiera barwy nowe,
Zakwita wreszcie bujnem, szumiącym, chlebnem
słowem.*

JÓZEF BIRKENMAJER

ŻNIWO

*Ogorzali od słońca, od pyłu zawiędli,
Szeroko odkasawszy rękawy koszuli,
Sieką żniwiarze żyto — równym, złotym rzędem —
I lśnięcemi kosami machają z rozpędem,
Jak gdyby zmęczenia nie czuli...*

*Długi łańcuch zbożowych przysadzistych mendli
Stoi jak gdyby warta na ścierniska straży...
Przepióreczka z pod stopy pomknęła — zaszusła —
Chichocą dziewczęta, splatając powrósła,
Z pustotą znaczącą na twarzy...*

*Słońce, jak gdyby czujny i baczny ekonom,
Przechadza się po niebie (w odzieży od święta),
Przyglądając się pracy i ludziom i plonom.
Pójdźcie żąć! — przepióreczka woła na żniwiarzy —
Pójdźcie do nas! — wołają dziewczęta — —*

JANINA BRZOSTOWSKA

WSCHÓD — Z SZCZYTU BABIEJ GÓRY

*Wicher rozwarł w mgłach błękitne okno —
pęk promieni już przez nie się wdarł:
złote skrzydła przypawił obłokom
i snu szarość z skał krawędzi starł.*

*Zginął w blaskach ostatni ślad mroków,
ziemia leży nisko u mych stóp.
Całą przestrzeń żadnym dali wzrokiem
mogę zdobyć, morze sinych gór!*

*Wśród nich, w ciszy śpiących jeszcze dolin,
nad strugami, co w zieleni lśnią,
witam białe, tak wzgardzone domy,
tę, zbląkaną niewiadomo skąd.*

CMENTARZ W MUCHARZU.

*Mały cmentarz żywopłotem przepasał łąkę,
na pochyłości wzgórza w słońce patrzącej.*

*Pod kępami pachnących, bujnych koniczyn
nikt już dzisiaj nie zdoła mógł policzyć;*

*w ciernie głógów się kryją, w wysokie osty,
które nawet wąską ścieżkę prawie zarosły.*

*Stare głazy zapadły w ziemię gliniastą, —
pod krzyżem rozwija paki ostatni aster.*

*Ludzie tutaj przychodzą z osiedli górskich,
drogą stromą, zasypaną kamieni mnóstwem,*

*by ostrożnie mijając omszałe schody,
w płytkie groby ciężary trumien ułożyć.
Lecz odchodzą najrychlej, i nie patrząc wstecz,
poza bramę zapłcioną z zielonych gałęzi.
W ciszy wonnej słodyczą koniczynnych kęp
ptaki dziobią jagody pełnych soku ostrężnic.*

EDWARD KOZIKOWSKI

MOKRY STAW

*Tu woda nie wysycha w kamiennym basenie,
snać by mógł się przeglądać w zwierciadle limb
wieniec,
stojących w zadumaniu, jak mniszek gromada,
która wichrom i niebu z grzechów się spowiada.
Tutaj nikt nie przychodzi, bo w ciemnej piwnicy
czuwają pono dotąd beskidzcy zbójnicy,
strzegący jakichś skarbów złupionych podróżnym —
z szczęściem niejednakowem i w epokach różnych.
Tu w zaplotach gałęzi żaden ptak nie mieszka,
bo zgubiłby się chyba w napowietrznych ścieżkach.
nie wiedząc dokąd lecieć z uwitego gniazda —
do góry czy w głąb wody — ku odbitym gwiazdom.
Tutaj cisza króluje od brzegu do brzegu,
i nawet wiatr nie pruje równo szytych ściegów
czystej, jak biel obrusa, powierzchni jeziora,*

po którym gwiazdy płyną każdego wieczora.
Czasem jeno przed nocą, gdy wszystko zasypia,
jakieś szmery wędrują po bukach, po lipach,
z konarów na konary głucha wieść polata,
że gdy staw dno osuszy, będzie koniec świata.

O ŚWICIE

Radosna chwila! Wiosenne świtanie...
Trzeba wstać, kości wyprostować twarde.
Kto się w tych murach spleśniałych zostanie,
temu rzucimy bezbrzeżną pogardę.
I tym gościńcem, co ginie daleki,
idę, — idziemy wraz wieczni wędrowce...
Po drogach wierzby sterczą, jak kaleki, —
tu bagna wabią, tam trwożą manowce.
Hej! idziem razem! W dłoni kij sękaty,
chleb czarny w worku, a w blaszance woda, —
czasem pies pański potarga nam szaty
i złem spojrzeniem przywita zagroda.
Hej, hej! a kiedyś przyjdziemy z powrotem,
nie jak natręty, lecz jak dumne pany...
Niebo nas witać będzie gwiazd migotem,
w pas się pokłonią kontusze, żupany.
Sfory psów z sobą nie będziemy wiedli,
bo mamy serca tęsknotami chore, —
narwijcie tylko nam pachnących jedli
i napełnijcie talernem amforę.
Ku rozpienionym, huczącym ruczajom
pójdziemy cicho o bladym poranku,

*i usłyszymy, jak paki pękają,
ujrząwszy jutrznię w kalinowym wianku.*

*Nad tą źródlaną i radosną wodą,
kędy się brzoza płacząca przegina,
myśl w nas się zbudzi, aby umrzeć młodo...
Czyli w tem moja, albo twoja wina?*

*I w tej tęsknocie — z żalem i bez żalu,
jako pragnienie chłodu w skwarnem lecie,
smutek lży zbudzi zakłęte w opalu
i radość dziecka ujrzy się w poecie.*

TADEUSZ SZANTROCH

WNĘTRZE GÓR

*Nad przepaścią ukośnie w dół złamanych zboczy
motyl drżący w niewadze nazbyt wiotkich skrzydeł
czemuż sercem się trwożę o zbyt śmiałe oczy,
za którymi powoli, zbyt powoli idę?*

*Zieleń w cieniu kipiąca od porannej rosy
po kamieniach przelewa się i sączy wokół,
to nie ten świat, którego treść mam w pudle głowy,
to jest romans drzew, trawy, słońca i obłoków.*

*Kędyś bełkot potoku w utajonym gwarze
niesie leśną opowieść o gór cichem wnętrzu,
gdzie wśród polan cienistych czasem się ukaze
jeleni płowy wsłuchany jak gdzieś owce dźwięczą.*

*Ziół nieznanych zapachy z dolin czas dymiące
i po trawach pełzające, ciepłe, chwiejne cienie,
jedno tylko jest na tym świecie złote słońce,
ale tutaj jedynie wprost całuje ziemię.*

*Tak w pół drogi do nieba krzywo w świat wetknięty
nim odleczę ze szczytu w panoramę dali,
rozeznaję przez blaski, szумы, barwy, dźwięki
woń najśodsza dojrziałych na wyrębie malin.*

*I nie mąci tej ciszy dziewczki krzyk drapieźny,
gdy śpiewając po zboczach pędzi swe kierdele...
słabe serce jest ludzkie, tęsknot nie wydzierzy,
pachną słodko maliny i tak słońce grzeje!*

EMIL ZEGADŁOWICZ

O POWSINODZE BESKIDZKIM DRUCIARZU KUTERNODZE, O DUSZKACH GARCZYCH I LIPOWEM KWIECIU

— zieleni się lipa
ptak nad nią przelata —
od lipy wiedzie droga
naokoło świata —

— zieleni się lipa
szumi pszczelna praca —
kto z pod lipy w świat ruszył
do lipy powraca —

— zieleni się lipa
latosią potrzebą —
korzeniem wrosła w ziemię
a koroną w niebo —

— przysel haw
ze śpiza z oraw —
wędrujący za grosiwem
za żywiołem, przyodziewem
sobkiem społem
jak ta trafi
po gromadzie i parafi
druciarz:
— — gorcki druutować —
— — blaaszane naprawiać —
garki, dzbanki, miski, kottły
co tam z kątów zmiotą miottły —
szczyrby, trzópki, brzucha, ucha —
szyje, denka i pokrywy —
cały sprzęt po nocy żywy —
— kto nie wierzy — niechaj słucha —
.....gdy północka zbudzi dziwy —
rada w radę rzy gromada —
gada, bada, opowiada —
wraz się z półek, z nalep skrada
i beznogą sunie drogą
dudni, brzęczy, dźwięczy, chrzęści
coraz żwawiej, chutniej, gęściej — —
— na kuchennem na klepisku
kręcą się i tańczą w ścisku —
podskakują, dęba stają
całują się oblapiają —
garki, dzbanki, miski, kottły

co tam z kątów zmiotą miotły —
szyje, trzópki, brzucha, ucha —
uha — uha —
garnek w garnek wali z ucha —
dudni, dźwięczy, gwarzy, dudni
raz na studni, raz z pod studni —
coraz warciej, coraz ludniej
garczej, dzbanniej, kotlej, brzuszaj —
aż koguta głos zagłuszy
i hałastra znów na półki
gromadzi się, podskakuje —
kaszle, chrypi, pobrzękuje —
z pod niecułki
patrzy martwo —
jakby nigdy nic — —
jeno żywsze wzbruszeń szkliwo
zdradza ono nocne dziwo — —
— — jeno lipa płatki pruszy
na sen-mare garczej duszy —
— gorki druuutować —
— blaaszane naprawiać —
pobić, sklepać, pomajstrować,
podrutować, zreperować,
dziury blacha ponadstawiać — —
— niema garków —
— Panbóg prować —
— coś mamroce, kłnie i biada —
— idź druciarzu do sąsiada —
— zebrali z pod okapu
zebrali z polepy
łapu capu
garki i czerepy —
—

poustawiał to to w koło
czoło utar łatą poła —
wieńce drutów wyjon z torby,
szczypce, cęgi, młotki, korby,
drut prostuje, kręci, zmierza,
wkoło brzucha wcwał obieża,
supli, węzli, naklepuje —
majster walny — haj — drutuje,
garnkiem zwinnie obertuje,
snuje, kuje, przydreptuje —
jak do tańca, jak do tańca —
ode denka aż do krańca —
snuje, kuje, przydreptuje,
przymłaskuje, przymrużuje
tą zdrową powieką — —
— będzie — będzie gar na mleko
na mleko
na ziemniaki, kapuste
na rosoły na tłuste —
a już się widziało
— jak go stłukły dzieci —
że trzeba nim już smyrgnąć
na oborę w śmieci —
aż tu przyszedł ozdrowieniec
wyjon z torby drutu wieniec —
pomajstrował, odrutował.
w kwadre pięknie sprzymierzował
ucho zgrabnie przylutował
majster-klepka — majster boski
umniejszył nom dzisiok troski —
nie było do czego doić
i wieczery w czym nastroić —
odjon przekleństw sto i kar

grzech odchybnął precz od duszy
chłop nie psiekrewi nie psiojuszy
bo już jest na mleko gar
zdrutowany jak sie patrzy —

—
druciorz takici odmieniec —
skończył — zwiędzył drutu wieniec —
złożył nabożnie do torby
świdry, młotki, cęgi, korby — —

— — zieleni się lipa
ptak nad nią przelata —
od lipy wiedzie droga
naokoło świata —

—
coś się tam śnim targowali —
wreszcie przystoł — grosze wzion
kubek mleka, chleba glon —
— poszed dalej — —

— — zieleni się lipa
szumi pszczelna praca —
kto z pod lipy w świat ruszył
do lipy powraca —

— — gorki druuutować —
— — blaaszane naprawiać —
—

przyjdźże boży druciarzu
przyjdź raz jeden do mnie —
coś ci mom na wyzdrade
potrze ci ogromnie —
— lankur mi leg na wnętrzu
po kucy sie wierce

drutujesz bracie garki

podrutuj mi serce — —

*— — lipa kwiatem w głos się śmieje
na miłości na nadzieje —*

zanim druciarz przyszedł na zwołania

obszed kuśdykując trzy stajania —

swoim zwykiem — duchowym porządkiem

przyłgnął kapkę pod lipą świątkiem —

ej nie kapkę — — bo umarł dziadyga —

któżta wie mościewy kto jest pierwszy z brzyga —

odszedł druciarz-kuternoga

trzópek cielska ostawując

zgarbionego, kulawego,

wychudłego, zgarzonego —

odszedł druciarz kuternoga — —

— — zieleni się lipa

latosią potrzebą —

korzeniem wrosła w ziemię

a koroną w niebo —

za piecem u Panaboga

— tam — majstruje — naklepuje —

reperuje i drutuje

i drutuje

słonecznymi promieniami

w kwadre pięknie przymierzuje

łaty świeczy wkrąg gwiazdami —

świątkom garki wciąż drutuje —

powsinoga beskidzki kamratowy gość

ma słonecznych drutów, gwiazdnych ćwieków dość—

—
święci garnków nie lepią — —

— — jeno lipa płatki pruszy
na sen-marę garczej duszy —

O KRZYŻACH ŁAZĘGACH

— zasępiły się olszyny —
smętarz podniósł krzyże
i na wrotach ostrokutych
zagrał jak na lirze —
— dwa pająki snują siatkę
od muru po zorze —
— przystanęły czarne krzyże
w wyprutym otworze —
idą — idą — idą — idą —
postukując drzewcem —
kamieńcami, łamańcami,
warszawą, królewcem —
poprzez rzeki, stawy, morza
krzyżą się i czernią —
częstochową, kalwaryą,
lublinem, alwernią —
stuku, stuku, takt w takt idą
w okiennice wałą —
echem jeno pozasobnem
żałą się i dałą —
zmiierzchem, jutrznią,
w przynagleniu,
w postuku, w pohurze
idą ramię przy ramieniu —

— idą w bramę borealną
ku zorznej przylunie —
na ten smętarz obiecany
na białym biegunie —
idą — idą — idą — idą —
w biegu i rozbiegu —
prują zasy sypkie zasy
przedwiecznego śniegu —

O PTAKACH I MIŁOŚCI

Serca ludzkie — o ptaki
rozśpiewane, rozgrane — ! —
przez te cudowne znaki
przy was ostanę.

Serca wróble, sikorze —
rzucam z dwu garści ziarna:
a to słowa są boże,
to pszenica ofiarna.

Był, co za was cierpienie
poniósł i wiecznie niesie —
a całe jego mienie:
dukat miłości w kiesie.

Lecz wielka dukata władza —
czyście, wieczyście się złoci
i codzien się odradza
i codzien tysiąckroci.

POWSINOGA WIECZNY

Odkąd to — odkąd — serce odpowiedz —
idzie ku tobie boży wędrowiec — ? —
„—Od zapomnianych wieków miljona —
rankiem się rodzi — wieczorem kona,
a my tą nocą żyjemy właśnie:
budzi się człowiek — dzień w nocy gaśnie;
przed tem umarłem Boga widzeniem
stoimy mrokiem, stoimy cieniem,
a jeno czasem — czasem — aż dziwno —
zabłyśnie serce lampką oliwną:
ktoś je rozpałił i drżącą ręką
podnosi w górę nad naszą męką —;
w różowych palcach światło zakwita —
— jeden drugiego pyta —: czy świta — ? —
czy dzień powstaje z zorznej pościeli — ? —
— mówcie — którzyście świt ten widzieli —!—
— to nie dzień wstaje, to nie świt płonie —:
serce zakwitło ku serc obronie!“

Garną się wszyscy jak ćmy do świecy
bliscy, dalecy, zdrowi, kalecy —
i tak tęskniącym przystają kołem
przed kwiatem światła przystają społem;
światłem miłości tak się tam grzeją
wierzący w sobie dobrą nadzieją.

Serce płonące, serce zranione
zwróć się pocichu na wschodnią stronę —
— chwila — a słońcem dzień swój otworzy
idący z wieków wędrowiec boży.

IM WIĘKSZE MIŁOWANIE
TEM CIĘŻSZE JEST BRZEMIE

*Nadmiernie utrudzony tej chwili samotnej,
opuszczony przez wszystkich, nie zdalny nikomu —
widzę mej drogi zakres wieczyście powrotny,
wiodący w niezbadaną sień bożego domu.*

*Z wieczności w wieczność idę! — W tym jednym
życiu
odrobić mi trza wiele i zaskarbić wiele —
rozdać się wszystkim sercom i spłonąć w tęsknocie,
by kiedyś zmartwychpowstać w miłującym dziele.*

*Jak Krzysztof nurtem życia niosę boże dziecię
wśród fal spienionych waśni, wśród uragowiska —
i wiem, że, bliscy moi, ze mną nie pójdziecie —
brzeg, jak przyszłość — daleki! — przystań zawsze
bliska.*

*Więc czekajcie — ; — powrócę o jasnym świtanie;
przyjdę przez zalęknioną, niewypitą rosę
i powiem u dni nowych, w cichem kołatanie:
chodźcie, o bliscy moi, dzisiaj was przeniosę.*

*Po jednym na barkach w obiecaną ziemię
wniosę was, nie bez trudu, nie bez przeciwności;
im większe miłowanie, tem cięższe jest brzemię —
i niema większych czynów od ludzkiej miłości.*

*Tam skończy się samotność; na tym wspólnym
brzegu
zaśpiewamy litanję siostrzaną i bratnią — —
tam raz pierwszą odpoczną w przybrzeżnym noclegu,
przed największą podróżą, podróżą ostatnią.*

SOKRATES

Pośrodku agory w południe
w tłumie handlarzy, przekupni,
śród gór oliwek, cebuli i ryb,
rozwianych chitonów,
wzdętych wiatrem chlamid —
przystanął.

Skraw myśli błysnął i znikł —
strzęp zdarzeń — — cięciwy szczęk —
echowy serca wstrząs —
na jawie, w śnie —
strun rwanych jęk —
kształt nieodgadły, wstający — —
Bogowie! gdzie?...

Pośrodku rynku? w Atenach?
pod Potydeją? czy na sympozjonie?
w zamęcie i błysku brzeszczota?
w tupocie rwących nóg?
czy przed obliczem Krytjasza?
w oczach przejrzystych Platona?
w Alcybjadesa młodocianym wdzięku?
czy w snach Aspazji?

St a nął.

Ugiął się wrzask
handlarzy wszelkim towarem —
(żywym, nieżywym)
Cebula
błysnęła jabłek Hesperyd

*z choinki rwaną pozłotą.
Apokaliptycznego potwora
stugębna zwarła się paszcza —
zmiłkła agora.*

*W zarzewiu mistycznych nad łysą głową strzał
Sokrates stał.*

*Siedem orłów mu z prawej przeleciało strony —
siedem sępów zawisło nad znaczoną głową —
siedem wichrów z Otrysu niedosiężnych skał —
siedem miast obaliło się w gruzy —*

on stał.

*Przeszło rano i wieczór, południe i świt,
dni trzydzieści, stuleci trzydzieści jak mit —
Z Delos statek zawinął jak czynić to zwykł
do Pireusa zatoki —*

gdzie nie czekał go —

nikt.

JERZY BRAUN

NA PEŁNEM MORZU

*Księżyc pali nargile leniwie i śpiewnie,
hypnotyzer srebrzysty całuje mi oczy
i na gnieździe bocianiem bujając rozlewnie
nuci skargę przeciągłą i łzami ją broczy.*

*Dziwny obłok narkozy otulił ten statek,
dziwna łebra tęczowa zalala mi serce
— jakiś odgłos dalekich, subtelnych kołatek
przygrywa mi cichutko w rytmicznej zonglerce.*

*Ja wiem dobrze o wszystkim — to gwiazdy tam
w górze
konwulsyjnie trzepocą dzwonkami serduszek
— spowiadają się Bogu, drżącemu na chmurze,
jak wśród trwoźnych owieczek łagodny pastuszek.*

*Tam z okienek kajuty kapią złote sople
— w płucach jachtu wzdychają spracowane piece.
Tutaj tjolet się huśta w fontanny i krople
i perłami pian tryska, jak wiosło na rzece...*

Djamentowy tusz szklanny wykwiła z miesiąca,

*fosfor wzlata snopami z płaczącej topieli
— kulki ręki gwiazd błędnych czar światła roztrąca
i wirują wzdłuż wiatru, jak kędzior anieli...*

*Tu na dziobie okrętu jest strasznie i cudnie.
Patrzę w czeluść granatu schlustaną w wir ciemny
— śruba świszcze, hałasi i w srebrne Południe
wlecze okręt milczący na wyład tajemny.*

*Świat jest smugą upojeń, noc podwodnym dzwonem
Dzwoni głucho, brązowo na dnie cmentarzyka.
W czarnych trumnach okrętów alarmem szalonym
bije w pudła stalowe potworna i śliska...*

*Harmonja fal wypukłych i wklęsłych zwierciadel,
kręgów blaskich szpalery i śmiechy delfinów,
cała powódź zawrotna stubarwnych widziadel
gra na strunach feerji indyjskich festynów.*

*Jak daleko do brzegów zdyszanej Europy — — —
jak dawno marynarze spoceni i czarni,
przebrnęli pas równika i błękitne snopy
ostatnich reflektorów nadmorskich latarni — —*

*Teraz cicho i smutnie krajemy szkło fali.
Jacht, jak djament świetlisty strzelony z torpedy
leci w chłodne objęcia nieznaney oddali — —
— Bóg wie jeden, czy wkońcu dopłynie gdzie kiedy.*

SEN ŚLEPCA

*Szedł długi patyk, suchy pan na jednej nodze
przez wielki ugor płyt rozplomienionych w reżodze.
Bezkresny ugor-czar, jakiego wcale niema,*

*powtarzał w stu sadzawkach w sto kształtów senny
temat,
Na czarnych sztychach drzew świdrami wklętych
w niebo
zawisły lzy ogromne, ciężkie, jak glony chleba.
Chór z chmur kraczących kruków wybuchł ćmą-sadzą
w słońce,
spadł znów i łzawy owoc ze sztychów drzew
postrącał.*

*Szedł tedy sen, pan suchy i o sny się potykał,
płacząc się w zmory zgrzytów, jak w łalszów krzyk
muzyka.*

*Sny szły tumanem za nim, senne, leniwe grzyby,
takie kulawe cienie w rozgięciach i przegibach...*

*I coś mu się przysniło, że gdzieś się w błąd uwikłał,
że się już cofnąć nie mógł, jak wbita w serce igła...*

*I snuł w snach szum dżdżów sennych i syk splekanych
węży,
sto ponad wielki ugor odskakujących sprężyn...*

*A wszystko to było jeno ślepa, szaloną złudą —
snem ślepcą,
któremu świat zgubiony zmylił się w błędne cudo.*

JULIUSZ FELDHERN

WIECZÓR W ZAGRODZIE

*Gdy w sadzie jabłonkowym do snu kładło się słońce,
Prześpiewały piosneczki umęczone skowronce.*

*Ledwie w skibę wtulone schyliły do snu główki,
Rozbzykały się smutne, wieczorne trupiogłówki.*

*Świerszczyki, skrzyпки Boże i Panajezusowe
Nastroiły skrzypeczki na modły wieczorowe,*

*A ja u wierzb siedzący zamyślonych jak starce,
Aniołom wracającym przygrywam na fujarce.*

JÓZEF AL. GAŁUSZKA

SŁUPY TELEGRAFICZNE

Bernardino Rizzi'emu

*Na szerokim, na bitym gościńcu
telegraficzne słupy w miedzianych wieńcach
trzymając się za ręce
suną w przestrzeń w wichrowym lamencie
dziń—dźwię—ę—ę—ę—czą—ą—ą—ą—
rozdraną siecią paję—ę—ę—ę—czą—ą—ą—ą—
miedzią dzwonią
nad pół monotonią—ą—ą—ą—
ję—ę—ę—ę—czą—ą—ą—ą—
wołają—kwilą—*

*zławionym tonem wioli
łkającą kampanilą
w jesiennej melancholji*

*Dudnią głu—u—u—cho, hu—u—u—czą ponuro
brzmieniem basowem gwarzą z wichu—u—u—rą—
drzają jak ciała rozpięte w męce
je—ę—ę—ę—ę—ę—czą—ą—ą—ą—*

*Prowadzą cię pod ręce
gościńcem długim, nieskończonym
płaczki pogrzebne, dziwożony
w miedzianych wieńcach
i je—ę—ę—ę—ę—ę—czą—ą—ą—ą—*

WIEŚ POLSKA

Henlowi Modrzewskiemu

*Olbrzymie tarcze słoneczników toczą się wokół chat
niby promienne słońca, jak przed setkami lat — —
I zawsze — jak przed wiekami — na strudzonego
człeka*

czeka bochen razowca i gar słodkiego mleka — —

*W sadach w trawy puszyste żrałe spadają owoce
i psy szczekają zajadle w gwieździste, ciche noce — —*

*Gdzieś tam daleko jazzbandy i grzmi radjo-koncert —
tu grają pszczoły wśród kwiatów i pachnie ziemia
i słońce — —*

*Na linii Warszawa-Paryż kursuje codzień samolot —
tu wiodą zielone miedze ku łąkom kwietnym
i polom — —*

Dudnią światami ekspresy, lśni w włosach nocy
semafor —
tu tylko trzmielce zahuczą jak słupy telegrafów — —
Nie czytuje się tutaj ksiąg grubych i pustych gazet —
sens życia w niebie i w ziemi, w milczeniu świętych
obrazów — —
Nie traci się tu czasu w gorączce dysput jałowych —
są rzeczy stokroć ważniejsze: żniw zwózka, konie
i krowy — —
I nic tu wcale nie wiedzą z dni majowego prze-
wrotu —
są rzeczy stokroć ważniejsze: dziurawe dachy
i płoty — —
A zawsze, jako przed wieki, na strudzonego człeka
czeka bochen razowca i gar słodkiego mleka — —
Olbrzymie tarcze słoneczników toczą się wokół chat
niby promienne słońca, jak przed setkami lat — —

NA GRANIACH TATR

Potężny, wielki Boże! Wiekuisty Panie!
w płuc Twoich mocnem tchnieniu, we wichrów
poświście
ku Twoim wiecznym tronom na tatrzańskich graniach
idziemy w znojnym trudzie, Twoich dróg turyści — —
Błogosław naszym dłoniom i upartym stopom
i sercu grającemu jak chorągwi łopot — —
Twarde są drogi nasze wedle Twych przykazań:
samotne i podniebne nad otchłanią śmierci — —
Rąk naszych krwawe ślady na granitu głazach

*róż różańcem się modlą z grani Orlej Perci —
przez strzaskany gromami ostrych turni grzebień
w drzeniu serc, w grzmocie wichrów idziemy do
Ciebie!*

*Otulasz się chmurami jak skrzydłem aniołów,
sieczesz nas zimnym deszczem i straszysz piorunem
a jawisz się w koronie błyskawic u czoła
z źrenicą gorejącą purpurową łuną
i otwierasz jak groby pod stopy naszymi
przepaści śliskie ściany aż do wnętrza ziemi — —*

*Jeśli nas strącisz z niebios płuc dechem olbrzymim,
jako glinę z Twych palców w tworzenia dniu szóstym
niech będzie pochwalone Twoje wielkie imię
na martwych, jak pieczęcie popękanych ustach,
żeś nas zwałił jak ptaki ku Tobie lecące
drogami podniebnymi w Twoje serce: w słońce!*

JAROSŁAW JANOWSKI

KRZYŻ W STOKROCIACH

*W głośnym furkocie-świergocie
— gromada wróbli na płocie.*

*A koło onego płotu
pełno gwaru-świergotu.*

*A w onym gwarnym świergocie
rosną liljowe stokrocie.*

*A z onych wonnych stokroci
bezwonne próchno się złoci.
Zapomnieli o niem ludzie:
w brzęku szklanek, albo w trudzie.
Jakiś to niezgraba pewnie
wymalował TWARZ na drewnie
i oczyma tak ją pieścił,
ze i RĘCE wyszeleścił.
To nie było zwykłe drewno:
miało dziwną Moc rozśpiewną.
Lecz na ugor je wynieśli:
syny Ludu — Syna cieśli...
Więc dziś — próchno — wśród stokroci
KRZYŻ samotne ręce wznosi.
(...Ma on dziwną Moc rozśpiewną,
bo to nie jest zwykłe drewno...!)*

MARJA MORSTIN-GÓRSKA

ŚLUB

*Otośmy się słowem związali
straszliwszem niż miłowanie —
muszę płomień w twem sercu rozpalić
albo lodem zakrzepnąć na niem.
Odtąd cudotwórczą lub wrogą*

*moc tajemną dostałeś do rąk —
możesz mi do Boga być drogą,
lub do własnej duszy zaporą.*

*Możesz mnie jak skarb swój roztrwonić
lub też plonów otoczyć chwałą —
wieczność mą trzymasz w swej dłoni
jak dziecko biedronkę małą...*

POCHWAŁA MIŁOŚCI

*Pochwalona bądź miłości! płomiennoskrzydły
Cherubinie,
co przechodzisz przez serce jak niemy Anioł zni-
szczenia
i jego bujne ogrody obracasz w dzikie pustynie,
gdzie wszelki kwiat jest już przeżarty do korzenia.
Pod twą ognistą stopą wszystko się kurczy i spala,
zostawiasz duszę startą, zrównaną w głuchej nagości,
tak, iż bez przeszkód Bóg się w nią może wtoczyć
jak fala,
tak, iż bezbrinnie da się pograżyć w morzu wiecz-
ności!*

ZIELONE ŚWIĘTA

*Nie pójdziemy dziś mieć wilgotnych bram kamienic,
które się wżarły pleśnia w dzwoniących serc naszych
łom.*

*Pójdziemy mieć sercami skiby owocnej ziemi.
Dziś cała ziemia radosna — to jest nasz dom.*

*Tysiącem ust lepkiego miasta gwaru
wyjdziemy różnobarwnym tłumem dusz —
oderwiemy zużyte stopy od twardych piersi trotuarów
i wejdziemy na letnią ciszę nawisłych skwarem dróż.*

*Czekała ta ziemia dobra, czekała na nas tyle lat!
Braliśmy z niej pełnemi dłońmi czarne bochenki
pachnącego chleba,
rwaliśmy z szelestem fałszywej poezji wilgotny
od rosy jej kwiat
i owoce jej nocy brzemiennych jedliśmy z gałęzi
jej drzewa.*

*Szła do nas w darach swych skib czarnych
i czekała, czekała owocnie,
aż zrozumiemy szept jej zbóż ofiarnych
i dzień się nowy rozpocznie.*

*Dziś pójdziemy całować te pola
uznozione tysiącami dni
i sercami umiemy dokoła
woniające jej ciało, tętniące burzą krwi.*

*Odciągała nas od ciebie wojna,
odciągały ramiona maszyn —
dziś idziemy do ciebie, Matko Znoju,
Matko Chleba i Poezji naszej!*

POECI NIEZRZESZENI — POECI

LUCJAN ANDRÉ

PRZED PÓLNOCĄ

*Zegar cyka... Czas stąpa... Poprzez szyb kwadraty
do samotnego wnętrza izby mej zapada
nostalgiczny czar srebrnej miesiąca poświaty.
Jedyny mój towarzysz, stary zegar ścienny,
odmierzył już połowę złej nocy jesiennej,
i wraz północ wydzwoni...*

*Noc Czarna, Zagłada
i Milcząca Samotność, — trzy moje siostrzyce,
czekają mnie w dziedzińcu u zawartej wrót.*

*Wszyscy dziwnie pobleźnięte, białe mamy lice,
i wszyscy tak śmiertelnie jesteśmy dziś smutni.
Zegar cyka... Czas stąpa... Cisza —*

My czekamy...

*Ja tutaj — w martwe srebro księżycy zakuty —
One zaś tam — w ciemnościach, — u zawartej bramy,
w tajemnicy spowite mrok i sen głęboki.*

Zegar cyka... Czas stąpa... Mijają minuty...

*Chwila jeszcze — i tajne spełnią się wyroki.
Bowiem druh mój jedyny, stary zegar ścienny,
odmierzył już połowę złej nocy jesiennej,
i wraz północy wydzwoni...*

STANISŁAW BĄKOWSKI

JA MAM SWÓJ ŚWIAT

*Ja mam swój świat,
którego nikt mi nie wydrze.*

*Ja mam swe ścieżki,
którymi nikt nie chadza.*

*Ja mam swe zorze,
których nic nie zmąci.*

*Ja mam swój kwiat,
co nigdy mi nie zwiędnie.*

*Ja mam swój zdrój,
którego nic nie wysuszy.*

*Ja mam swój wczas,
którego nikt nie skłóci.*

*Ja mam nagrody,
których mi nikt nie skradnie,
i kary, których żadna moc
nie złagodzi.*

I mam swe słońca,

*których nic nie zgasi,
i ciernie,
których nikt nie zdejmie...*

ŚCIEŻKA POLNA

*Znalazłem niedawno ścieżkę polną,
jedną z tysiąca,
co wiodą przed Twój próg;
małuczką siostrę wielkich dróg.
Dziwna była —: to biegła zygzakiem,
serpentyną swawolną,
to znów prostym szlakiem
szła stromo i mozolno;
niekiedy zniknie za krzakiem
lub nagle zapadnie w dół
i — zwłóczy na dnie;
raz sunie pośród ziół,
raz w twardych rąbie granitach
żmudne koryta.
Spodobała mi się. — Tu i tam
miała niby członki chore:
na miedzy spaliła się trawa;
wicher drzewo napoprzek zwałił,
a ono stawa załorem;
głaz pęknął i wyrwą dziką
rozdarł łono ścieżyny;
strumyk wytrysnął w parowie
i grząskiej naniósł gliny — —
— — — — —
Zadumałem się. Żal mi było
dróżki. Jakiś głos mi rzecze:*

— Weź ją w swą pieczę —
Usłuchałem, — choć, kto mówił, nie wiem. —
Odtąd pracuję przy ścieżce:
szczyby jej lecę i doły,
sieję trawę na zgorzeli gołej,
znoszę ziemię lub kamień podsuwam,
drzewo zetnę lub skałę przekuwam.

A ktoś ciągle stoi nade mną
i śledzi każdy mój krok.
Chciałbym naprawić ją godnie,
tę drobną ścieżkę nadziemną,
co kończy się u Twych bram.
Lecz nie wiem, czy dobrze to zrobię,
czy praca spodoba się Tobie!
Ktoś mi nakazał ją. Nie ja.
A może — — Ty sam?

ANTONI BOGUSŁAWSKI

SZOPEN U RADZIWIŁŁA

Książę-meloman, protektor artystów,
dłonią ze śnieżnych skinąwszy batystów,
rzekł, uśmiech posyłając z żabotowych krez:

— *Princesse!*

Altesse royale, mon cousin!

Voici Monsieur Chopin!

I, w mahoniowym zasiadłszy fotelu,

*czekał, aż dźwięki klawikordu tonów,
od ścian odbite wytwornych salonów,
powrócą ucho pieścić w czułym trelu.*

*A wnuki króla, co, wbrew etykiecie,
sentymentalnie przygrywał na flecie
i, zmusztrowawszy swych gross-grenadjerów,
korespondencją zabawiał Wolterów —
kiwnęły głową z szambelanów ścisku
ku młodzieńcowi o owem nazwisku.*

Gwar cichnął...

*Goście księcia wśród zabawy
pragnęli słyszeć artystę z Warszawy,
którego sława poprzedziła chyża,
dylizansami lecąc do Paryża.*

Gwar cichnął...

*Profil o wyniosłem czole
chwile się oczom ukazał przy stole
i pośród gości sunął, gdzie wskazano
w jarzących świecach lśniące forte-piano.*

*Siadł... Zwiódł po włosach smukłopalcą ręką
i płacz rozbudził w wiolinie piosenką:*

Hej!

*Grać, fujarko, chciej,
na łąki, na bory i pola!*

Graj

*na ten cały kraj,
gdzie dzisiaj lży i niedola!*

Hej!

*W łzach się jeno śmieję
przez pola, przez bory i łąki!*

*Graj
i pociechę daj
na ciężką godzinę rozłąki!...*

*...Zatrzymał się... Pieśń swoją zwijał i poszerzał,
z wiolinu bemolami ku basom wybieżał
i cisnął pośród paru poszarpanych zgrzytów
melodję, którą tętnią dzwony Karmelitów:*

*Więźnie, więźnie, kto jesteście?
Więźnie, dzwony biją w mieście!
Słuchaj, w lochu zakopany:
śmierć — to żywot!
strąć kajdany!*

*Więźniu, więźniu, zlec się Bogu!
podpal słomę na barłogu!
Więźniu! wyjdzie na jaw zbrodnia,
kiedy spłoniesz, jak pochodnia!
Więźniu!...*

*...Łka pieśnią... To Warszawa płacze mu przez palce!
Spiskowi-bohaterzy i szpiegi-padalce!...
Taki ból, taka rozpacz wcieliła się w klawisz,
aż zdumiały się Niemce:*

— Der spielt aber slavisch!

Nie francuska muzyka jest w tej inwokacji...

*A on, zapamiętany w swej improwizacji,
po strunach klawikordu rozpętał bezwiednie
pieśni skargi, miłości, pieśni-przepowiednie,
całą Polskę okutą wyrzucił na struny
i grał jej marsz odwetu, grał zemsty pioruny!*

*...Słuchacze, choć porwani melodją głęboko,
nie pojęli dziwnego forte con fuoco —
ale księżę zrozumiał...*

Dotknął ręką czoła,
skąd uporczywej myśli odgonić nie zdoła,
i, gdy tony pobudką biły przez powietrze,
lica mu się chylily — bledsze... coraz bledsze...

MARJAN CZUCHNOWSKI

MICKIEWICZ PARYSKI

Już nie uprosi. Nie ubłaga cię Litwa.
Ani słowików, w Niemnie czerpane, drobne nuty.
Ni Nowogródek w świeżych koszach kwiecica, rozkrze-
wiony w lipach
Nie skusi zielony koncert i wieczór w ciemność
okuty.
W świecie tak trzeba. Umrzeć nad siną taflą Bostoru
i smutek w zmarszczkach kryć.
Drętwieć w miłości i w życiu się męczyć jak
w półśnie.
Aż trumnę ocean nad światem wypłusnie.
Wrócić, by zbawiać — umierać, by żyć.
Oczy chcą patrzeć, choć krzepną w łez olów.
Usta chcą mówić, a mówić nie mogą.
Ciężko umierać. Na Litwę nie wrócić jak Robak
pędem dzwoniącą drogą
Żyć jeszcze ciężej. Za mało ludzi, za dużo aniołów.
Aż na pochylonej ziemi, zoranej sochą kości Wallen-
rodów,

wyrosła, — która nie odpycha.
Zapach powiał po niej z wierszy twoich jak z ogrodów
i dlatego się tak tutaj szeroko oddycha.

W rowach ulic Paryża i blasków Montmartre'u
popłyną wzburzonych pochodów pstre rzędy.
Gdy smutno; wołasz zwięzłemi słowy wiatru:
Wilno, Wilję i Kraków, serce w żywej skale legendy.

Stać jak surowy złom tęsknoty wykuty w trosce.
Iść i nie odejść. Płaczesz? Szept twój w deszczu
fletach rzewnie gra mi.

Pytasz jak w Polsce?
U nas wiosna taje fiołkami jak łzami.

Cień nawet spłowił po Jeźdźcu Miedzianym.
Tyś został i wytrwasz
Z tobą jesteśmy: Wilno, Wilja, Kraków i Litwa.
Sami!

KOBIETY I KONIE

Gnały błonia nagą trawą zdeptane i żyzną.
W rzece jędrne kobiety, krnąbrne jak ogień pluskały
Nóg piękne, roste łodygi, i zdrowe upały
Piersi, kłujących bluzkę pod ostrą jak sierść
zwierzęca bielizną.

Powlekał niebo wonią stali szmer i połysk wód.
Dołem mgły: ciszy duże, martwe wodospady.
Na wzgórzach zgrzane kobyły glebą zionące i solą,
o szorstki wiatr oparły mokre zady.
Nagość samca węsząc, z trawą szczypały wiosnę,
zapach, chłód.

*Ja dzieckiem go kochałem. Wie, że go kochano
I przyniósł kwiat, pięknością zdmiewający różę.*

*Wznosimy serca w niebo natchnienia wybuchem!
Rozśpiewaną młodością! Szaleństw krwi fantazją!
Wytrysną z lun gejzerów w świetlny strzał, małmazją!
I skrzydłem błyskolotnych, giętkich szpad niekruchem.*

*Daleko już jesteśmy od ziemi i ciała;
Czarnych kuźnic, skąd rosną kominowe słupy;
Targowisk, gdzie nabożnie obliczali krupy,
Gdy przed sierotą głodną pustka mrozem wiała.*

*Nad wszystko jednak w życiu cieszymy się życiem.
I raz żyjąc żyjemy przecież tyle razy!
Dobrywszy, myte pieśnią młodzieńczą, obrazy
Z głębin, przez złość kłamców zarażonej gniciem.*

*Na ziemię znów nas wiedzie przypadek, tak błahy:
Dusz dziecięcych złudzenia, szloch najboleśniejszy.
Pragnienie, aby wczoraj weszło w dzień dzisiejszy,
I ust kobiecych skarga na serdeczne strachy.*

*Czerwony zmierzch otulił snem klombu z róż wianek.
Noc rozjaśnia kusząco bladych nimf urodę.
Już księżyc światłą dłonią powyglądał wodę.
A mój mistrz z cudnym kwiatem wszedł w królewski
ganek.*

*Pogrążył czar i siebie w zmurszałe marmury;
Okrył kształty widome wiewem sennym, śpiewnym;
I na słońc wysokościach jest zwycięskim, rzewnym;
Niepokalana pieśnią wzmagą niebios chóry.*

A mnie tęsknotę tylko zostawia... i słowa:

— Oto kwitnie zjawisko między dni przełomem.
Lecz w dzień, jak przyszłość nasza, nie jest nam
widomem. —
Cyrano! kwiat paproci w twoją pierś się chowa.

STEFAN GODLEWSKI

SZARŻA

Trąbki przeciągle grały sygnał do ataku;
Konie rżały; każdego plutonu żołnierze
Oparli ostrza spojrzeń na swym oficerze,
Czekając słów komendy, albo szabli znaku.
Szablice napisały wreszcie kształt zygzaku
Piorunnego. Pułk poszedł z kopyta w karjerze.
Koń każdy podkowami ziemię tęgo pierze,
Jeźdźca kołysząc lekko, jak pannę w hamaku.
Fojbos z pozycji coła się razem z wrogami
Ranny. Posoką boską czyste niebo plami;
Ostatkiem bełtów szyje jeszcze bitwy pole.
Naprzód! Nie pierw strzymamy rozbiegane konie,
Aż utkwimy lanc groty w złotem słońca łonie,
Albo Srebrnołukiego pojmiemy w niewolę.

STUDENTERJA

*Na dalekiej ulicy, na wysokiem piętrze,
znam pewne wyjątkowe, osobliwe wnętrze.*

*Choć lato strasznie skąpo pieści się z mansardą,
żyje w niej młody ludek wesoło i hardo.*

*Właściwie, dom jest podły i szpetny, aż przykro;
nie wszystko jednak w życiu kończy się Mimicrą;*

*Architekta-fuszera niech lumbago skręci — — —
w tem paskudztwie mieszkają morowi studenci!*

*Dwadzieścia cztery metry tak zwanej
powierzchni
mieszczą coś-nie-coś gratów, garderoby zwierzchniej,*

*i ksiąg — powiedzmy prawdę — wprost
zmaltrętowanych;
stoją tam, żal się Boże, dwa straszne tapczany.*

*z których klaki wylaża poprostu nachalnie;
intérieur ma pozatem jedną umywalnię*

*i kurek, klucz hazardu, a nawet ryzyka:
gdy trzeba, to nie sika, gdy nie trzeba — sika.*

*(Rzecz dzieje się w Warszawie; owo śliczne wnętrze
mieści się, jak wspomniałem, na wysokiem piętrze,*

*a na wysokie piętra woda nie dociera,
chyba, żeby lunęła, jak jasna cholera).*

*W rozterce z magistratem, z muzami w przyjaźni,
bytują w tej mansardzie dwaj przemili błażni.*

Że krew, jak to się mówi, k r e w m ł o d a,
nie woda,
skaczą sobie do oczu o wiersze Rimbaud'a.

Kiedyindziej, znienacka popadając w ferwor,
mówią sobie do słuchu dusery, jak „ścierwo”,
albo jeszcze straszniejsze, aż słuchać ohyda!
— Ktoby to się domyślił, że to o... Norwida?

Wogóle, z tą poezją, gdy raz zacznie wabić,
brat brata może nabić, albo nawet zabić:

Można język wystrzępić, gadając do rana — — —
i tak się nie przekona takiego t u m a n a!

Najlepiej krótko — uciąć. „Kolego kochany,
ja — śpię! I niech kolega pogada do ś c i a n y!”

Niech sceptyk się uśmiecha, niech cynik zazdrości:
mówi się na mansardzie także o miłości.

Mówi się, oczywista, nieco innym tonem,
niż wtedy, gdy się bito pod Napoleonem...

Jak to dobrze, że wątki, zaczęte niewinnie,
nie spływają na parter, powiedzmy, po rynnie...

Jak to dobrze, że okna, konstrukcji nieszczelnej,
nie przepuszczają jednak tej „swady” piekielnej...

Jak to dobrze, że sufit (elegancko plafon)
nie wydaje tajemnic, jak straszny megafon...

Jak to dobrze, że panny, kładac się do łóżek,
nie słyszą tych bezecnych wyzwania i pogróżek.

Tych bluźnierstw niesłychanych, tych szyderstw
zuchwałych!

Ach, gdyby usłyszały w swych łóżeczkach białych,

*One, nierozbudzone, przepojone cnotą,
co ci dwaj tam, na górze, roz pustnicy, plotą!!*

*Ale nagle — o, dziwo! — burza się ucisza
i patrzy się towarzysz w oczy towarzysza...*

*Odmienia się zniecka to studenckie wnętrze
na dalekiej ulicy, na wysokim piętrze...*

*Noc milczy... Księżyc okno roziskrza, jak kolja...
Do pokoju studentów wchodzi Melancholja.*

*O, mocy czarodziejska, mocy słodkiej zjawy
rozświetlająca ogniem nasze ludzkie sprawy!*

*O, siło nieodparta, siło wiecznie żywa,
rozpalająca w oczach żarzące łuczywa!*

*O, płomieniu, niestety, straszny niepokój,
drżący w nieopisanym, słodkim warg wykroju!*

*O, żądzo, jak krew, ostra, jak wichra, porywczą,
jak morze, niezgłębione, jak ogień, zdobywczą!*

O, miłości — — — — !

*Gdy ranek sny do snu układa
gaśnie, jak tyle innych, też i ballada.*

*Wychodzi duże słońce, dzień, ziewając, wstaje,
turkocą wozy z chlebem i dzwonią tramwaje..*

*Uśmiechają się słodko, śniąc swe sny najświętsze,
dwaj — z dalekiej ulicy, na wysokim piętrze.*

O MICHAŁKU MĘDALI

Nikt się tego nie tykoł — ani dziś nie uzoli
Stareńkiego chłopcyka, nieboscyka Mędali;
A ón cirpioł od głodu i od wszelkiej pogody,
Wciąż jednak był stary i jednak był młody.
Kazdy ci go ofuknoł: „ty próżnioku“ — „ty kukło“,
A ón nimóg pracować, bo mu serce się tłukło.
Więc się skulił i milcoł, — co wycirpioł pocichu,
Matcebosce, po troszce, opowiadał na strychu.
Na tym strychu — oj zimno! (jakoś w grudniu to
było) —

Lig Mędala na słomie, a już mu się dwoiło.
Ozmyśłoł se coś jesce, patrzył w światło miesiącka,
Otuliły go dresce, ogrzoła go gorącka.
I zmaciły się zmysła — coś se przybroł do głowy:
Jakaś wiśla — nie-wiśla, jakiś gorąc lipcowy...
Cy jest gdzie?... cy... w Oleśnie?... Roz się obmyć
z tej bidy!

Wzion ozdziwoć się we śnie... ani wiedziol som kiedy...
Płascowine swłók starom, srucił kabot, zzuł buty
(Cy cie Pombóg pokoroł?! — cy mos rozum po-
psuty?!)...

Zdjon koule... zdjon pory!... nic nie słucho, nie pyto,
A Mróz patrzy przez śpary, ostrzy zęby i zgrzyto:
„Wszystkie-m wody ścion na kry, — trzescom gonty, —
krew ziębnie!

Lepiejby sie cym nakryć... psiokrydź dziadu, kpis ze
mnie?!“

A Mędala nie słucho, jakiś żor go ozgrzywo

*I ta Woda go ciągnie, Woda wielgo i żywo!
Nagi stoi na brzegu, nagi nędzom swom całom,
Ale furt sie ozdziwo, bo mu jesce zamało...
Do imentu sie ozdziol, jednym wszycko zdjon ciągiem,
Powyskładał swe hoby tuz nad Wody tej brzegiem,
Złożył odzież swom lichom, złożył wszycko naprędce,
Złożył... usta w uśmiechu, złożył stare swe ręce...
I wroz pojrzol z wysoka... jakby z jakichś stu pięter,
Na te swoje łachmany, na swe serce pęknięte...
I przeżegnol sie duchem, jakby sed do kąpieli...
Jak nie chluśnie w te wode... aż krzykneli anieli!
Pochwyciła go fala, w wartkim niesie go biegu,
A łachmany-kajdany... het ostoly na brzegu!
I brzeg cały gdzieś ostol, w siwej zginol mgławicy,
A Mędala se hulo, porsko ino, a krzyczy!
Juz nie cuje swych gnatów, w wielkiej bujo swo-
bodzie!
Nimo to to na świecie, jak gołemu we wodzie!
I poniesły te fale, na słoneczne oddale
Stareńkiego chłopcyka, nieboscyka Mędale!*

TADEUSZ MAKOWIECKI

NAD OCEANEM

Pamięci Idzikowskiego

*Kamienie się o brzeg gruchocą,
Piętra łal pękają o kamienie,
Gwiazdy się pochylają nad nocą:
— Czas przepatrzeć sumienie.*

*Nie, niezmierzone, nieprzymierzone jest wszystko.
Morze zmiennym wciąż oddycha tchem;
Nad głową, jakże blisko,
Chmury lecą dziwactwem złem.*

*Chmury, drzewa... To nie błędny traf.
To nie morze, nie czas się zdobywa
Latem górnym, ale signum praw,
Że człowiek też jest moc żywa,*

*Że nie wszystko jest miara. i cel, i tryb, i wczas.
Szala się zrównać może.
— Oto ktoś, w półnieba — jak gwiazda — zgasł,
O brzeg się załamał — jak morze.*

*Kamienie się rwą i gruchocą,
Z chmur, gwiazd, wichrów — wicher się nowy zrywa.
Sumienie nie pyta: — poco?
Człowiek jest moc żywa!*

EUGENIUSZ MAŁACZEWSKI

**MOGIŁOM
ARCHANGIELSKIM I MURMAŃSKIM**

*Gdzie w łunie zórz północnych
szronami jodły śnieżą
tam moi towarzysze
pod zmarzłą grudą leżą.*

Gdzie ziemię opuszczoną

*mróz lśniąca pleśnią szroni,
tam moi, hej! tam nasi
snią towarzysze broni.*

*O POLSKĘ, od zbóż złotą
walczyli pod biegunem.
więc ziemia im moskiewska
wieczystym jest całunem.*

*Na groby tych, co nigdy
już Polski nie zobaczą,
nikt płakać nie przychodzi —
— jedynie brzozy płaczą.*

*Miast mów — trzykrotna salwa
rozlega się echami
i pozostali martwi
i na wiek wieków sami.*

*Imiona świat zapomni,
czas zrówna mogił kopce,
a ślad wszelaki po nich
zaorzą pługi obce.*

*Więc niechże garść słów polskich,
jak garść ojczystej ziemi,
z oddali rzuć na nich
dłoniami tęskniącemi.*

*By duszą zmartwychwstali,
rozpięli skrzydła cudnie
i poszli — płacząc z szczęścia —
z północy na południe.*

CZASY IDA

*Idzie do Świata wiek Parakleta
drogami wojen, szlakami burz,
niby wspaniały boski kometa,
z obliczem słońca a w szatach zórz.
Idzie do Polski wiek Parakleta,
czasy nastają, zbliża się cud...
Jest gdzieś u naszych dziejowych wrót:
Wódz — Mąż Narodu — Harfiarz — Poeta.*

*Czterej Wieszczowie zesłani już,
jakoby czterej Ewangeliści.
A teraz — Piąty z wojen i burz
nadejdzie w słowie, jak w wichrach z liści
i Polskę słupem słowa zamiecie,
Naród pożarem Ducha oczyści
i Sławą wielką pójdzie po świetle.
Wieszczów z Nim czterech złączy się duch,
czynem wyrośnie nad bohaterzy
i ziemi nada słoneczny ruch.
A imię Jego: CZTERDZIEŚCI CZTERY.*

*O, Sztuko polska, zawczas się kórz:
tyś potargała tę złotą nić,
co pozostała ci po Norwidzie.
Sromotę kryjesz girlandą róż,
a w obcym chadzasz wśród nas bezwstydy,
chcesz jeno u-żyć, ale nie żyć.
A Wieszcz Twój Piąty z wojen i burz,
Twój Król i Sędzia już idzie... idzie...
wrychle do twoich zapuka wrót...*

*Narodzie Polski — słuchaj a patrz,
wrychle się stanie w łonie Twym cud.*

Wódz Twój podchodzi już do Twych wrót,
by czynem wyrość nad bohaterzy
i w szlachtę ducha wszystkich Twój Lud
przemienić.

Słuchaj, co śpiewa wiatr,
lecący Wisłą od gór, od Tatr, —
słuchaj, co szumi gwar Twoich miast
i patrz, co wieczór, w bezdenność nieb:
zrodzi się gwiazda nowa wśród gwiazd,
Bohater wstanie nad bohaterzy —
mieczem podzieli i da Ci chleb,
a imię Jego: CZTERDZIEŚCI CZTERY...

O, Wielki Boże, coś Żydom rzekł,
że, gdy się Tobie już sprzeniewierzą,
to od Północy wywiedziesz Twój
Naród, co wzniesie chorągiew swą
wysoko, idąc w zwycięski bój, —
widzę o, Panie: zbliża się wiek...
Mozni tej ziemi w gruzach już leżą
i własne ścierwo na szczątki rwą.
Idzie już ku nam wiek Parakleta —
czasy nastają — zbliża się cud —
jest gdzieś u naszych dziejowych wrót:
Wódz — Mąż Narodu — Hartiarz — Poeta.
— Wierzę w to, Panie, jak w to — żeś jest.

A słudze Twemu, co pada w proch
za jego wiarę, i dreszcz, i szloch,
daj moc i władzę nad księstwem słów,
ażebym słowem sprawował Chrzest,
jak żywem źródłem żywota wód, —
aby na puszczy rozbrzmiał mój głos:

„Prostujcie ścieżki, już idzie ów,
„który policzy wam każdy włos...
„słuchajcie... może puka do wrót...”

O WIOŚNIE I SŁOWIKACH

W kwietniu obłoki nadleca,
jak chmary najbielszych mew.
Ziemię deszczami rozkwieca,
opuszcza gałęzie drzew
drobnem, jak bisior, listowiem.
Wkrąg będzie lazur i biel.
Strumień zazdrowi się zdrowiem
Bąk zabrzmi, zahuczy trzmiel.
Odlotne ptactwo przyleci
do zeszłorocznych swych gniazd,
w dzień — ciągnąc wśród chmur zamieci,
a nocą — wśród rześnych gwiazd.
Ściągłych jaskółek tłum gończy
prześmignie, jak salwa kul.
Zadzwoni dzwonek skowronczy
pod niebem, nad runią pól.
W wysokim kluczu zórawim
rozjęczy się srebrny dzwon,
a wtedy serce oprawim,
jak klejnot w srebro, w ów ton —
w psalmodje tęsknych klangorów.
I będziem czekać tych chwil,
kiedy od gajów, od borów,
popłynie perlisty tryl
z szarych słowicznych gardziołek;
a świat zaszmaragdzi się tak,

iz nawet wierzbowy kołek
w płocie liść puści na znak,
że wiosną — wszystkim radosno.

Kiedy wiosenny wiatr zdrowy,
jak podmuch dziecięcych ust,
wyciągnie wilgoć z dąbrowy,
w opłotkach przewietrzy chróst,
osuszy poszycie w strzesze
i z trawy rozliczny kwiat
ze spodu na wierzch wyczese, —
pójdziemy oglądać świat.
Ścieżka już będzie niegrząska,
słońce opali nam skroń,
po ustach muśnie gałązka,
spowita w miodową woń
i — może słowik zakląska...

...Wokół mgły wstają różowe,
mrowiska dymią, jak piec.
Jeno spleść ręce pod głowę
i twarzą ku niebu lec
wśród trawy, mokrej od rosy,
wśród polnych i leśnych ziół,
by słuchać strunisto-głosej
orkiestry brzęczących pszczół
i nasłuchiwać, jak zdali
nadpływa słowiczy śpiew,
niby trel skrzypiec po łące
płynącej łąką od drzew.
I bawić się w zgadywanie
— przesiewać myśli, jak mak —
z jakiego drzewa śpiewanie
perlami rozrzuca ptak,

*z jakiego ciska je krzewu
od świtu do późnych zórz.*

*Bo styl słowiczego śpiewu
jest inny z pomiędzy róż,
inny — w bzach, inny — w leszczynie,
inaczej wiśniowy sad
rozdzwania się. Pieśń raz płynie,
raz spada, jak srebrny grad.
To szczęściem brzmi, to tęsknotą;
to — smęt, to — miłosna chęć,
to płacz znów...*

*Rozróżniam oto
z kłaskania słowików pięć.*

*Ten pierwszy słowik zdaleka —
wylewa w różach swój śpiew,
bo dźwięk tam po dźwięku ścieka,
jak gęsta i wonna krew.
W stulistne gruzły się gmatwa
pieściwy mdlejący ton,
jak róża, co jest niełatwa
w układzie swych pełnych łon.
Spęczniewa taki kwiat śpiewu
w zawiły pachnący pąk,
aż nagle, jak garść posiewu,
swe płatki rozrzuci wkrąg.
Lecz dźwięki-płatki po chwili,
trącając tonem o ton,
już lecą naksztalt motyli,
na skrzydłach z dzwoniących błon.
A czasem słowik wyklaska
ruladę, co piękna jest,
jak w pączkach róży gałązka,*

na którą deszczu spadł chrzest.
Wyciąga się gałąź pieśni
w paciorkach paczków i ros,
w spazm kolec swój rozboleśni
każdy i szłocha na głos;
i, w śpiew zasłuchane czoło
owije, uwieńczy tak
kwiatami i cierniem wkoło,
że jestem, jak róży krzak:
złączony arka gałęzi
z różanym krzewem — człek-krzew;
a w obu — srebrzyście rzęzi
jednaki śmiech, płacz i śpiew.

Ta druga pieśń rozebrzmiewa,
jak śmiech dziewczęcy przez łąy.
To słowik szłocha i śpiewa,
zaszyty w kwitnące bzy.
W pięciokwiat szczęścia skwieca
dziergany klaskliwie ton,
jakby go ręka kobieca
znalazła wśród bżowych gron.
Czuję smak cierpkiej goryczy,
jakbym miał w ustach bzu liść.
Razkwita śpiew, tajemniczy,
jak bżowa w księżycu kiść,
i znojny — jak winne grono,
poczęte od złotych os...
...W bżach rzeźbi pieśń roztesknioną
mistrzowski słowiczy głos.

Gdzie stoi w zieleni bladej
gaj, spodem poszyty w mech, —
nakształt kroplistej kaskady

brzmi inny słowiczy śmiech:
jędrnem się ziarnem rozlata
po pełści wzorzystej mchu
i ciska grad pizzicata
w zdyszaniu, w zatracie tchu.
Mam z tych rozkłasków nawału
wrażenie, jak gdyby kto
łuskał orzeszki z kryształu
i naraz łuskał ich sto.
Dźwiękliwe drzazgi obieżyn
spadają na trawne źdźbła,
wzdłuż wszystkich proszą się ścieżyn
z poszmerem cienkiego szkła;
a wyluskane orzechy
po drzewach toczą się wkrąg
w śmiganiu pełnem uciechy,
jak kule z żonglerskich rąk.
— To słowik w leszczynach pewnie,
wśród gąszczów schował się w kącie,
i łuska z gardziółka śpiewnie
łańcuchy miłosnych rond.
Na kałakuckich siadł perłach
zniesionych do gniazdką jej,
leszczyna na prętów berłach
kołysze go — baju-baj.

Jest jeszcze inny śpiew — smętny,
jak akord szlochliwych strun,
a jednocześnie namiętny
od jakichś miłosnych łun,
od zmysłowości, co pryska.
wskutek nadmiarów swych, w szczał. —
To z wisien białych się ciska

rozkląsków drgający splot.
Po łące słupem się wicherzy,
jak okwit wiśniowych drzew
i leci cichszy... a cichszy...
niby zgubiony puch mew...
Serdeczne tremolo ptasie
po gąszczach ma śliski stok
i deszczem rześystym zda się. —
Zawieram powieką wzrok.
I widzę: wiśnia wisience
podaje kwitnącą kiść;
za śnieżne wzięły się ręce,
chcą tańczyć, chcą kędyś iść..
Chcą mię dokoła okrążyć,
w paniński korowód wpleść,
gąstwą gałązek owstażyc
i z sobą ku wiosnie nieść.

Lecz słyszę:... inaczej śpiewa
już słowik; bo każdy dźwięk
pęcznieje jakby, dojrzewa,
zjagodzi się w słodki pęk. —
Soczysty strząs jagód-troli,
wezbrany sokami słońc,
do stóp mych wśród traw się ścieli,
jak wiśnie dojrzale, lśniąc.
— Chciałbym być naga dziewczyna!
Niech ciało z atlasów mam,
aby te wiśnie, jak wino,
zbroczyły mnie w szkarłat plam.
By wonne gorzkim migałem
pestki, okrągłe jak śród, —
do ust mych muśnięciem białem

dotknęły, jak zębów cud!...
...Już drzewa zagasły dołem,
złoci się jeno ich wierzch. —
Błękitno-szarym popiołem
na świat posypał się zmierzch.
Subtelna sadza pomroku
czerniawą ścieli się mgłą
i czepia się rzęsy w oku,
jak ćmiące, łzawliwe źdźbło.

Kasztany stoją kwitnące
(cichsze, niż grusze, te — z miedz) —
w palczastych liści koronce
i w kwiatach, jak w pękach świec.
Stały w kwitnacem kole,
spowite w wieczorny cień;
są jakoby żyrandole,
co płoną w świąteczny dzień. —
Na każdym drzewie u szczytu
jest słowik i srebrny wrzask
od zmierzchu czyni do świtu
i śpiewem ubiera w blask
ciemnego listowia strzechy;
trzeпоce się w gęstwi dźwięk.
szaleją ptaszęce śmiechy
i szłocha wśród kwiecia jęk
i nakształt żywego srebra
po liściach toczy się w dół:
pada obficie, jak z cebra,
jak z wodą czerpiących kół,
które rząd dzbanów ze studni
dźwigają i leją wciąż,
aż woda dzwoni i dudni,

*pląsając, jak srebrny wąż. —
Pieśń, jak wąż jasny się ciska,
uderza w twardzinę pni,
w grad srebrnych kul się rozpryska,
na liściu wszelakim lśni;
przelata ciężką ulewą,
zaczepia o każdy sęk...
Zalśniło się śpiewem drzewo,
jak jeden stało się dźwięk,
błyszczący, jak pająk kryształny,
w kwiatach, podobnych do świec. —
Tak odprawują swój walny
słowiki w kasztanach wiec!*

PRZESŁANIE

*Słuchając cudów zwyczajnych,
trzeba młodzieńczy mieć słuch,
a z rzeczy starych (a tajnych)
wyskrzydli się nowy duch.*

LUDWIK HIER. MORSTIN

HYMN DO POETÓW

*Jak pobożny muezzin z ganku minaretu
wita swojego Boga w mrących blasków fali,
tak pięknem rozmodlona dusza was, poetów,
wiecznie żegnać chce słońce, wiecznie Boga chwalić.
Rozśpiewały się wisy i trzciny wodnych pręty,*

*pachnie mirra i ombra spalona w błękicie,
gardłem kwiecia barwnego łąki krzyczą: święty,
święty Pan na niebiosach a na ziemi życie.*

*Zegadłowiczu, Staffie, Lechoniu, Tuwimie,
jak bezdźwięczne dla tłumu są wasze nazwiska,
lecz gdy serce się wzburzy i rozetka w rymie,
z każdej zgłoski potężna Boga twarz wyblyska.*

*Jako morze wzburzone powietrze się pieni,
różowi się od zorzy, ciemnieje niebiesko,
gdy siądziecie odpocząć pod kasztana cieniem,
wiatr szumi w jego liściach mową czarnoleską.*

*Gwiazdy złotemi łzami ze wzruszenia płaczą,
oddają się wam łany w miłości dozgonnej,
i obiecują dolę osłodzić tułaczą
rozkoszą swego ciała przestodkie madonny.*

*Lecz ja jeden wiem tylko, jaka to jest męka
nadzieja szczęścia tylu cierpiących obdzielić.
Na posępnych cmentarzach z uśmiechem przyklękać
musicie wy, wśród smutnych najbardziej weseli.*

*Cud rozmnożenia święty powtarzać sto razy,
by nie odpuścić głodnych, jak u Mateusza,
gdy nie chleba ułomkiem, lecz raj u obrazem
trzeba karmić wam rzesze obojętnych wzruszać.*

*Mieć pokorę Franciszka, dumę pana z Manszy,
Chrystusową pogardę cnoty, miłość ludzi,
przed ideą wybiegać w godzinie najrańszej
i słońcem, tylko słońcem lwy uspione budzić.*

*Brudny łachman żebraka, zlany jego potem,
jak korporał podnosić kielichem miłości,
fantazję stroić w wszystkie blaski i migoty,*

*od kochanków rozmowy mówić rzeczy prościej.
Więc zmuđną waszą pracą znużeni okrutnie,
patrzcie tam, gdzie na świata i bytu krawędzi
wieczność hymnu wygrywa na gwiazdzistej lutni.
Odpoczniecie — bo w niebie poezji nie będzie.*

ARTUR PRĘDSKI

HYMN DO MADONNY

*Ciebie szukałem przez życia młodego bezdroża,
Madonno,
Gdy czas nie latami się liczy, lecz każdą chwilą
szaloną;
Tobie w życia południe ślubuję wierność dozgonną
Słowami, jak modlitwami, w których pioruny płoną.
Tyś była w Luwrze Betsabą, tyś była Helena
Rubensa,
Twoje to kroki słyszałem w Bacha Chaconie boskiej,
Nieznaleziona Madonno! Kobieto z tęczą i mięsą,
Jak morze bretońskie gniewna, a cicha, jak niebo
włoskie.
Młodą dziewczyną z przedmieścia bez znaku i bez
nazwiska,
U której noc spędziłem, gdym głodny był i bez
grosza,
Tyś była, daleka Madonno! Tyś wtedy była mi bliska,*

*Kiedym o głodzie zapomniał, nakarmion jak chlebem
rozkoszą.*

*Tys wtedy była mi bliska, Tys wtedy czuwała
nademną,*

*Gdym bił się w zaułkach portów z pijanymi
marynarzami*

*I łaską twą uczyniłaś każdą mą drogę daremną,
Jeśli nie wiodła ku tobie, Madonno, miłości
schodami.*

*Szukałem ciebie, Madonno, znana a nigdy nieznana,
Taką, jaką cię widział jeszcze w snach swoich
chłopiec:*

*Dziewczyzna wysoka i młoda, grzechem niepokalana,
I Messalina — gdym przeszedł młodości graniczny
kopiec.*

*W słowach zmarłej mej matki, w czystych linjach
jej ciała,*

*Którego nigdy nie znałem, jak człowiek, jako
mężczyzna,*

*Tys była, Madonno, zawsze, jak posąg wzniosła
i biała,*

*Tak bliska, a niedościgła, jak świat, jak Bóg, jak
ojczyzna.*

*Gdy kiedyś życie mię wspomnień i lat mych ciężarem
obarczy*

*I mocnym piorunem strzeli w starca pierś już
bezbronną,*

*To znajdziesz, Wielka Pani, wyryte na mojej tarczy,
Na tarczy mojego serca twe słodkie imię, Madonno.*

MICHAŁ RUSINEK

BUNT SZYN

*W każdy próg
przebite męką czarnych śrub
jęczymy
my, kolejowe szyny.*

*Każą nam piersią niby nożem
rozkrawać białe ciała drożyn,
przecinać wciąż kwadraty zbóż
i tykać kurz
na drogach.*

*I w dzień i w noc musimy być na nogach
nie wolno schylić barków.*

*Jak wściekłe psy
gryzą nas lśniące kół pośpiesznych kły
i wali oś po karku...*

*Po—cia—gi bły—ska—wi—czne,
To—wa—ro—we dy—cha—wi—czne,
długie i krótkie,
brudne i czyściutkie,
smutne, czarne,
ciche, gwarne
i wszystkie, wszystkie, wszystkie
wala nas kół biczyskiem.*

Stop!

*Słuchajcie! I my nie jesteśmy bez duszy.
I nam, szynom, wolno się także ruszyć.
Dziś w południe, gdy wstanie śpiew gorąca,*

nie będziemy już leżeć milcząco.
Ja z tamtą niedaleką szyną
spróbujemy głowami wychynąć.
Ja i ona staniemy na swej jednej nodze
i postawimy tu kozła na drodze.

Cha, cha, dostojny, błyskawiczny panie,
nie przerazisz nas dzisiaj świstem ni gwizdaniem!
Oto my, głupie, niewolnicze szyny
pluniemy tobie w twarz i z barków cię zrzucimy!

A kiedy runiesz w dół
pod czarne nasze stopy,
z radości
przestaniemy się wręście raz prosić
przeskoczmy te mosty, rowy i okopy
pójdziemy szlakiem białych pól...
Tam, w dolinie,
zlamiemy prostą naszą linię,
zakręcimy się wokół kościoła,
zrobimy zygzaki, trójkąty i koła,
spirale, parabole,
kwadraty i półkole,
i niby elastyczny wąż
będziemy płynąć wciąż
z góry i na dół, do góry
ze ziemi do chmur i nad chmury
aż zawiśniemy w błękicie...

A o świecie
nie będzie nas męczył budnik stary
i patrzył w luki, śruby, szpary...

BEETHOVEN

*W rytmach spokojnych Bóg ci tłumaczy,
co świat, co wola znaczy,
Droga otwiera się prosta
w górę, w niebiosa —
niema już tajemnicy.*

*Przy słońca kosmicznej świecy
rzeczy oglądasz ludzkie i boskie,
w język twój nieprzenośne,
Beethoven cześć ci oddaje,
odkrywa ci te kraje
spokojnie, uroczyście,
stronica po stronicy,
w gwiazd skupionej asyście. —*

*Droga otwarta, prosta, szalona —
pęd bytu w kosmicznych kołach
wirem cię swym oplata —
gdzieś jest, kruszyna zagubiona?
I zaraz słyszysz odpowiedź
miarową-miarową,
jak profesorskie kroki,
arytmetyki wyroki,
gamy przykładne, rąbane,
z fortepianu dobywane.
I droga znowu, droga...
kosmicznej przestrzeni budowa,
obojętność boska, wielka
w przestworze pęka.*

ŚWIĘTY FRANCISZEK Z ASYŻU

Z wszystkich świętych Pańskich,
Co mieszkają w niebie,
Święty Franciszku z Asyżu,
Najbardziej kocham Ciebie.

Piękna jest święta Teresa
I pachnie jak centifolja,
Pisze poezje dla Marji,
Poezji gruby foljał.

I także święta Cecylja
Jest piękna — jak nokturn Szopena,
Przy niej jak kantylena
Wydzwania się Magdalena.

Piękne są Święte — a Święci
Są wielcy i mocarni;
Są Święci biali i żółci,
Jeden nawet jest czarny.

Święty Kazimierz młodziutki
W królewskiej chodzi gloryi,
A święty Jacek ma kryzę
Jedwabną wokoło szyi.

Lecz z wszystkich Świętych w niebiesiech,
Co tańczą przed Marją po tęczy,
Najbardziej Ciebie kocham,
Franciszku, Tyś mi najświętszy.

Jakiż Twój głos był dzwonny —
Jak głos złotego dzwonka,

*Żeś mógł ze słowikiem śpiewać
I mówić do skowronka.*

*A krok Twój jaki był miękki,
Najłżejszy z wszystkich kroków,
Aż sarna stanęła przed Tobą
I oczy otworzyła szeroko.*

*Włosy Twe były tak wonne,
Niczem kadzidła w Delhi,
Że nawet przyplłynął do Ciebie
Nad brzeg tańczący delfin.*

*A słowa Twoje... Tyś wszystkich
Słońcem swych słów obdarzał —
I przyjaciela swego,
Henryka Rousseau, malarza.*

*Od słów Twych wiejski kościółek
Cały stanął w promieniach —
Wtedy to widział Cię Wowro,
Ostatni świątkarz z Gorzenia.*

*Z Wszystkich Świętych pańskich,
Co mieszkają w niebie,
Święty Franciszku z Asyżu,
Najbardziej kocham Ciebie.*

O BURMISTRZANCE I TOPIELCU

*Pogubione statki, jak pióra,
Woda w siebie schowana, ponura,
Rzeka miasto ścisnęła wstążką,
Jakżeż cichą i mroczną i wąską.*

*Wchodzi noc do wszystkich okien,
A topielec ma ręce mokre,
A ze wszystkich dziewczyn najczystsza
Małgorzata — córka burmistrza.*

*Pogubione statki jak pióra
Włoką cienie dziwaczne po murach,
Światło latarni — topi się w wodzie
A topielec — dusi je w splocie.*

*Małgorzata swe włoski czesze:
„Niechaj niemi raz ostatni ręce ucieszę”.
Małgorzata w zwierciadło zerka:
„Nie zabiorę tam do Warty — lusterka”.*

*Pogubione statki jak pióra
Po cieniach, po lazurach,
W rozplusku sennym fal
Płyną jak czuby palm,*

*Małgorzata nad wodą staje
— A pogwar wód ją łaje
Małgorzata do wody skacze
— A fala nad nią płacze —
W ramiona ją chwyta topielec
Wyprawia huczne wesele:
Małgorzato — Małgorzato —*

*Pogubione statki jak pióra,
Płyną jak wody palm
A Warta cichutkim szumem
Pogrzebny nuci psalm.*

*Pan burmistrz wydziera z kronik
Kilka spisanych stronnic,
Ślad wszelki o córce znikł
I nie wie o niej nikt.*

*I tylko późną nocą
Gdy się światła z topielcem szamocą,
Płacze głab — po—co — po—co. —*

TADEUSZ WITTLIN

POCHWAŁA NARCIARSTWA

*Roztacza się bezkres daleki
I błyska szkliście, srebrzyście.
Milczące stoją smreki,
Białą ciężarne okiścią.*

*Pod lodem szumi strumień
Ze skalic w niebo wbitych.
Czerwone słońce rumieni
Krzesianic stalaktyty.*

*W cichym, poważnym biegu,
Zakuci w zbroicę nart,
Przesuną po białym śniegu*

Biali rycerze Tatr.

*Zostawią za sobą pole
Przerznięte brózd równym pasem,
Jak zmarszczki na białem czole
Zoranem lemieszem czasu.*

POECI NIEZRZESZENI — POETKI

JANINA HELM-PIRGO

LEŻĄ ŚNIEGI BIAŁE

Leżą śniegi białe...

Dzisiaj rano może spadły, może nocą spadły cichą...

*Pognały gdzieś wiatry, potępieńce, szaleńce - wiatry
pognały...*

Tak skowytały wczora po stepie...

Tak skowytały...

Żałośnie zawodziły.., zawodziły...

Hulały czasem, hulały głośno...

A później płakały...

*Tuliły się do mego dworku, kulily zbiedzone i cicho,
cicho płakały...*

Trzeba było płakać z niemi...

*We łzach usnęłam z wieczora i we łzach się
obudziłam...*

*A wiatry pognały... Potępieńce, szaleńce - wiatry
pognały...*

Nikt nie płacze, nikt nie zawodzi...

Leżą śniegi białe...

Całuny śmiertelne...

CZY PAMIĘTACIE?

*Białą brzozę nad błotnistą drogą,
nędzne sosny, stojące szeregiem,
co się zimą tak zgięły pod śniegiem,
że choć wiosna, podnieść się nie mogą,
czarną wodę kałuży przy chacie
czy pamiętacie?*

*A dziedziniec cały brukowany?
A kościelne postarzałe ściany?
A ten cmentarz, całej wioski krewny?
Śpiew żebraków, dokuczliwy, rzewny
po pod murem, wiosną, przy odpuście...
A jak okiem sięgnąć wzdłuż — stragany
i sukmany, sukmany, sukmany!...
A dziewczyny — każda w kraśnej chuście
każda rosła, a harda, a śliczna —
— taka już uroda okoliczna —
każda trochę z góry patrzy na Cię...
Czy pamiętacie?*

*Jak to było kiedyś na jarmarku:
od Adama wziął Kuba po karku,
Jasiek Maćka potłukł na otręby,
Stach Walkowi powybił zęby.
Wszystko się skończyło w jednej chwili,
niewiadomo, o co się pobili,
niewiadomo skąd się wzięła zgoda.
Ot, zwyczajnie młodość — krew nie woda!
Tak bywało nieraz, miły bracie,*

czy pamiętacie?

*Ach, jak teraz duszy bywa nudno
w wielkiem mieście. w tysiącnym natłoku.
Tak tu ciemno, tak głośno, tak brudno,
tak się ciągle coś naprzykrza oku:
to dom jakiś, to pomnik, to kolej,
wielka rzeka, więziona w kamieniu,
co nie tłucze się o głaz. W uspieniu
sunie wolno tak, aż serce boli
i łzy płyną żalodne z pod powiek,
że ją pojmał i ujarzmił człowiek.*

*U nas, wyjdiesz na drogę o świcie,
a już mały ptak zbudził się w życie,
już jaskółka pod strzechą szczebiota:
koń, w kosmate spętany postronki,
podniósł głowę i patrzy we wrota;
skrzypnął zóraw,, zachlupała woda...
A na niebie pogoda, pogoda,
a pod niebem skowronki, skowronki!*

*Chaty — małe, maleńkie okienka:
tu i owdzie w progu, na dziedzińcu
błyśnie jasna główka, w słońcu płowa
i dziecinna jaskrawa sukienka
to się rzuci w oczy, to znów schowa.
Pył kłębami wstaje na gościńcu,
bzy u krzyża kwitną po nad drogą.
Jak tu cicho, pokornie, ubogo:
podupadły płot wokół się ściele:
a jabłonek w sadzie — tak niewiele,
kwiatów kilka przed chatą się świeci,
strzecha — stara, zaraz się rozleci,*

*a stodoły dach — łata przy łacie...
Czy pamiętacie!?*

*Tu — tak obco. Człek się człeka boi,
nikt się do nas szczerze nie rozśmieje.
Czy my zbóje? oszusty!? złodzieje!
Myśmy byli w domu gospodarze!
Ach tam, u nas, wszyscy dobrzy, wszyscy swoi,
nawet żebrak pod kościołem brzydkii...
Tu nas biorą, jak w sądzie, na spytki,
każdy wielki, każdy gromi, każe,
każdy od nas chciałby wiedzieć lepiej!
A my sami, jak te krety — ślepi!
bez obrony, jak małe pisklęta,
jeden o nas tylko Bóg pamięta.*

URSZULA

*Głos głęboki, chód lekki, jakby pod stopami miała
sprężyste obłoki,
oczy muzyczne i ciepłe, na małych ustach uśmiech
prędkie, modrookie.
W słoneczny dzień jest jak cała szczęścia słonecz-
nego kapela.
w chmury — jak samotna, przejmująco śpiewna wio-
lonczela.
Boi się zabaw, kłótni, gwałtownych ludzi, broni
śmiercionośnej,
ucieka od wesołej przyjaciółki, a podaje rękę żalostnej.
Lubi samotność, ginie na całe godziny jesienią i po-
wraca biała od pajęczych puchów.*

*dziewczęta ją widują o zmroku daleko w ogrodzie,
wyciągającą ręce do kroczących obok
niej duchów.*

*Te ciągną do niej jak pszczoły do kwiatów i nie-
chcący mogą przywieźć ją do niebez-
pieczeństw i do szkody;
to też łatwo ulega wypadkom. Strzec ją trzeba
od jazdy konnej i od głębokiej wody.*

ŚWIĘTA MAGDALENA W PODRÓŻY

*Szła Święta Magdalena na przelaj przez ugory,
dyrwany i rowy i kwiaty,
aż się oparła o płot niziutki, stanęła, westchnęła,
zajrzała do chaty.
A słońca już nie było i rosa głęboka padała na ogródek
pocięty ścieżkami,
więc strzecha nawilgła zaspana i tylko z pod niej
nietoperz wystrzelał cichutki czasami.
Szły roześmiane — Jagusia, Marysia i Hanka z boga-
tego wieczornego udoju:
otoczyły ją — milczała; zamilkły, zdumiały się na
widok piękności i stroju.
Miała warkocz potargany i w perłach, szatę — dawniej
złotą, dziś od spieki — rudą;
barki były smukłe, stopy — wąskie, oczy jak zagaste,
wypalone cudo;
wyciągnęła małe, suche ręce, dzwoniąc cekinami
cygańskimi?... żydowskiemi?..
..Aż nareszcie zapłakała Hanka, za nią w łzach
Marysia klękała na wilgotnej ziemi,*

*a Jagusia małą Magdzię z kolebeczką prędko z izby
do ogródka aż wyniosła...
Ale Święta nie zechciała na nią spojrzeć... i zatkąła...
i wstrząsnęła się... i poszła...*

OJCZYŻNA

*Kraj cały zaległ serce. Dalekie stało się olbrzymiem
i bliskiem,
kraj cały zaległ serce lasem i wrzosowiskiem,
jodłami,
co do góry korzeniami
w mokradle kruchem się wala,
torfami,
które całymi latami
na głębokość nieznaną się pala.
Kraj zaległ serce, z serca patrzy w oczy,
zieleni się, płynię Dźwiną, Dryssą i Indrą, piaski
się i obłoczy,
z jezior wychyla tysiąc dusz, rybackimi oplątał sie-
ciami,
aż się sypią szczupaki i liny i płotki... I pyta: „Czy
jesteś z nami?“
Do złota, do złota samego w sercu przez pustynię się
przedziera
i pyta: „Kogo rodzić zamysłasz — kwiecie, czy bo-
hatera!“*

*Liście brusznicowe,
łąki bahunowe,
dyrwany czombrem porośle.
brzózki do lat niedorośle.
Drogi polne, nieustępliwe,*

poziomeczki od piasku siwe;
małe dziewczęta — Genowefy, Matyldy, Grasyldy,
Weroniki, Judyty,
pojące szurpate krowy z wiadra u studni rozbitej...
Harmoniki dźwięki niezrozumiałe po powietrzu lata-
jące,
długie sznury burlaków u rzeki i flisy, flisy skrzy-
piące.

Łąki bahunowe pod sosnami,
dudki nieporadne nad pastwiskami,
jesteście w duszy zamiast tej, co godziny na momenta
liczy,

— zamiast miłosnej słodyczy!

Zamiast radosnego oddania
dokoła są mgły i w mgłach wilkołaków stapania.
Nie ust całowanie,
ale jak wzbiera pod lodem rzeka — nadśłuchiwanie.
Nie serca o serce gwałtowne uderzenie,
ale od sosen w księżycu światła i cienie.
Niedorośle do lat uczucia — jak pień zbyt wiotki,
rozbite paciorki szczęścia, nie djament twardy, pro-
mienny. Słodki
dźwięk słów obcych wszystkim, jak imiona — Geno-
wefa, Monika, Weronika...
...I nieporadna, niezrozumiała, nieustępliwa odwaga —
jak ciągła komarów nad północnem jeziorem muzyka.

O POLSKIM ŻOŁNIERZU

Wichurą niesiony przebiegłeś świat,
od tyłu, od tyłu bolesnych lat
w przedziwnem z wolnością przymierzu,
tysiące męczeńskich przebyłeś dróg,
nie wiedząc, kto brat ci, nie znając, kto — wróg,
żołnierzu, polski żołnierzu.
Pod świstem proporców, pod błyskiem pik
ulańsko-strzelecki ulatał krzyk:
„Za Polskę! do szabel! do broni!...”
I zastęp rycerski wyrastał jak łan,
i znowu krwawiła pierś polska od ran,
i mógł przybyło na błoni.
Głęboko pod ziemią zarzewiem tli
skarb drogi przelanej bezcennej twej krwi
na swoim i obcem pobrzeżu,
lecz przyszła godzina, i spełnił się czar,
i buchnął płomieniem tej krwi wolnej żar,
żołnierzu, polski żołnierzu!
Słyszycie?... to huczy nad światem sąd,
niewola opada z ludzkości jak trąd,
pękają łańcuchów ogniwa,
przy gromów pomruku, wśród krzyku surm.
ostatni husarski gotuje się szturm.
na skrzydłach do biegu się zrywa.
Nadchodzi godzina, już widać cud
— rozcina wiekowe pieczęcie u wrót
Archanioł w ognistym pancerzu,
a za nim tuż wali zwycięski twój szyk,
pod świstem chorągwi, pod błyskiem pik,
żołnierzu, polski żołnierzu!

DOM NASZ

Bzy twoją ręką, o Matko,
sadzone dla mnie,
obmiata obcy wicher,
śnieg lodowaty łamie...
Sadziłaś lipy, leszczyny,
po stronie urwiska — krategus.
Teraz wyrazy obce
tamtą ziemię pocięły jak rebus.
Niewiem, jak się nazywa,
niewiem, jak się nazywa
dziś nasz dom, co nas miłośnie
od zła wszelkiego okrywał!

Stawiałaś, Matko, śpichrze,
budowałaś dla mnie stodoły
na ziemi, którą szrapnel
dziobem piekielnym rozorał;
dobierałaś ziaren wybornych,
szlachetnych drzew ze szkólek,
nim przyszły dymy pożarów
co zboża i sady potruły.

Troskę twoją, Matko,
o róże — by pięknie zakwitły,
noszę w samotnem sercu
jak słowa najszczerzej modlitwy.
W duszy skostniałej od skaz,
czarnej od złego czynu,
mam twoje begonje, lobelję,
mam gałązeczki jaśminu.

Jeżeli czasem spojrzę
tak jak w dzieciństwie — błękitnie,

to tylko dlatego, że któryś
z twych kwiatów we mnie kwitnie;
twoją przezrystą czułość
wtedy każdy mi z oczu wyczyta,
tę która mię żywiła
gdy ów kwiat w mem dzieciństwie zakwitał.

założyłaś dla mnie park,
powiększyłaś obszar sadu,
żywiłaś mię twem sercem,
jedyne jakie było bez zdrady;
od pierwszego naszego dnia
przez inne i poza mogiłę
promiennie z twych wiernych oczu
sama miłość na mnie patrzyła.

Od bżów złamanych przez śnieg,
od osiedla, które rozkradł złodziej,
odwraca się żal i za tobą,
o Matko, do Raju wchodzi
i rozgląda się po twem Niebie
i dziwi się pokryjomu,
że wszystko w tej szczęśliwości
jest tak, jak u nas w domu.

POGRZEB LATA

Uklękla jesień przy drodze u słupa,
ma na silnych rękach młodego, skostniałego trupa,
spogląda dokoła, czy się go też kto uzali...
Dostrzegli ją mali chłopcy, co tam chrust zbierali,
pokładli na piasku wiązki,
pobiegli po zielone gałązki,

skopali, zdeptali i las, i pole i trawę,
umaili martwego, sobie zrobili zabawę.
Przybiegły gęsiareczki, brudno odziane,
zobaczyły ciało w gałęzie ubrane,
zaśpiewały głosikami cienkimi, cienkimi,
aż zaczęły spadać żółte liście na całą ziemię.
I przyszła staruszka stuletnia, zgarbiona, skulona
nieboga,
posłyszała śpiewy płaczek, siedzących nad drogą,
przydreptała bliżej, bliżej,
schyliła się nizej, nizej,
cała się od stóp zapadła, cała się przygięła
i rękami matczynymi martwego objęła.
Powiedziała mu słowa tkliwe, tkliwe:
„Tyżes to, moje dzieciątko niezylwe?!“.

ZOFJA JABŁOŃSKA

PO NABOŻEŃSTWIE

W piersi pustka bezładna, duszna jak w kościele,
Skąd wszyscy wierni wyszli, gdzie już po mszy
właśnie,
I tylko martwi klęczą w ołtarzach anieli:
Miłość już odprawiona, — trzeba świece gasić.
Gorzało ich dwanaście, zatkniętych w ołtarzu
Płomiennych wotów serca za cuda wydarzeń;
Teraz czas, dziad kościelny, oszczędny na duchu,

Gasi górne koleją gromnicznym kapciuchem.
Blizsze polapał w palce, jak ćmy migotliwe,
I odszedł. — Wtedy został po nich na dnie mroku,
Zawieszony bez ruchu u pustki wysokiej,
Ognisty mieczyk życia na amplii oliwnej
I w głębi błysk, gdzie skryty leżał bez krwi znaku
Biały opłatek serca w złotem tabernaculum.

H. JANUSZEWSKA

ALI BABA

Przez Rypin, przez Psią Wólkę cudacka wieść
przelata,
wpada w ciche ogródki z porzeczek i agrestu,
że zjawił się na drogach włóczęga z baśni świata
sam perski Ali Baba i zbójców z nim czterdziestu.
Pan doktor, pan prowizor wybiegli przed aptekę,
by radzić w przerażeniu, — ach, co się teraz stanie!
Już słyhać tętent poprzez gorącą, cichą spiekę.
„To będzie awantura!“ — „To będzie używanie“.
Gdy wpadnie w głuchą ciszę tu, gdzie się nic nie
dzieje,
po bruku wyboistym zadudni kopytami
pogański orszak, który w nos z życia się rozśmieje
i zdepcze dzień powszedni, rypiński razem z nami.
O Ali, Ali, Ali! Wygląda pocztmajstrowa

przez szparę w okiennicy na smukłe, czarne konie.
Za gęsty krzak ligustru ksiądz się zegnając chowa,
wrzaskliwa, ruda Salcia szwargocąc klaszcze w dłonie!

Wybladły pan prowizor już myśleć nic nie może.
„O panie dzieju! — Toż to nie mieści mi się w głowie!
A pocztmajstrowa zawsze... Wiadomo. — Żal się Boże!
Ciekawym — o ciekawym, co też ksiądz proboszcz
powie“.

Tu, gdzie się nic nie dzieje w Rypinie, Ozorkowie,
jak burza pędzi orszak druzgoce, rwie i łamie!
Koń czarny! Fez czerwony na zawadjackiej głowie!
— I nagle krzyknie miasto: „Otwieraj się Sezamie!“
I zmilknie. — Cisza. — Zniknął błyszczący kolorowo
orszak nieznany. „Księżę — to chyba koniec świata!“
Lecz czemu sercom dziwnie — przeciąga coś nad głową
i niknie —

Schylcie czoła: to bajka w dal odlata.

HALINA KONOPACKA

WIEŚ

Stary powóz zajedzie przed stacyjki schody,
Mgły namokłe rozwlecze odchodzący pociąg,
Umilknie gwizd daleki, nasiąkły wilgocią,
Z drzew zakapia nieśpiesznie ciężkie krople wody.

Wtulę się w słodkim kurzem pachnące siedzenia,

*Koła po piasku mokrym poniosą sprzężyscie
I nachyli się nisko przez lipowe liście
Niebo, podeszczowego pełne zamyslenia.*

*Na grobli z łąk usłyszę wołanie derkaczy,
Wyraźny, choć daleki stukot kół we młynie,
„Na wieki” napotkanej odpowiem dziewczynie
I wszystko, co się dzieje, zobaczę inaczej.*

*I zdawać mi się będzie, że czytam poemat,
W dawnym dworze, w milczeniu starej biblioteki
I uwierzę w to nawet, zamknąwszy powieki,
Że powracam do domu, którego już niema.*

FELICJA KRUSZEWSKA

TRZY PARKI

*W British Museum, w sali, gdzie są rzeźby
z Partenonu,
zasiadły trzy Parki kalekie na wzniesieniu podobnem
do tronu.*

*Siedzi oto beczynnienie straciwszy głowę Kloto.
Przepadła kądziel fatalna, i szara przędza, i złoto.
Nie dojrzy nici Lachezis. Komuż struny da
dźwięczące śpizem?*

*Komu niteczki wątle, węzłem przecięte jak krzyżem?
Pojawiły się, jak trzy błyskawice,
pięknością rażące ducha.
Atropos utraciła ręce i nożyce,
ale może jednak wysłucha...*

o.8.86. Joanna.

ŚWIĘTA JOANNA
W WESTMINSTER CATHEDRAL

*Zakwitłaś w katedrze Londynu
po latach pięciuset, Joanno.
Spraw cud, rycerska dziewczyno,
uratuj mnie, święta Joanno!*

*Jak miecz smukły płoniesz w jasnej zbroi,
o pochyl nade mną głowę.
Żebrakowi święty Marcin pół płaszczu odkroił...
Daj mi swego męstwa połowę!*

WANDA MIŁASZEWSKA

MAJ

*Idą do ślubu czereśnie,
Wszystkie kwitnące, w bieli —
Ziemia im cicho pod stopy
Wzorzysty dywan ścieli — —
Stłoczone w świątyni sadu
Gawędzą jabłonki — druhny,
Wszystkie w odświętnych sukienkach
Różowych, jak obłok leciuchny...
Wiatr wpada między gałązki,
Swawoli, ku sobie schyla —
Na kwiatach kładzie całunki
Lekkie, jak skrzydła motyla.*

*Wracają czereśnie ze ślubu,
Głowy im ciężą od wianka...
...Nocą go wietrzyk rozsypie
Na łono Ziemi — kochanka...*

HANNA MORTKOWICZÓWNA

STARY KIRKUT

*Rozkrzewiły się chwasty, schyliły kamienie
I krew zakrzepła w rdzawe sople berberysu.
Może inaczej chciało groźne przeznaczenie
I inna jest rzeźbiona wyrocznia napisów?*

*Może przedwieczne, trudne, obce tajemnice
Z gorzkich zarośli ziela krzyczą o przeszłości?
Zgruchotane tablice, lwy i gołębicę,
Zdmuchnięte świece życia i spróchniałe kości.*

*Może inny jest zakon biblijnego Boga,
Co kazał walczyć z wrogiem i miłować brata?
Dziś — jedno jest stąd wyjście i jedyna droga:
Przez gąszcze polskich cierni — w żywe serce świata.*

ULEWA

*Ulewa wreszcie, ulewa!
Po spiece o białej twarzy
Runęła w poźółkłe drzewa
Ulewa, letnia ulewa,
Opadła ogród z nienacka
i praży!*

*Zielonem, mokrem się echem
Po liściach deszcz opowiada,
Drzewa z zapartym oddechem
Stoją, gdy z szumem i śmiechem
Deszcz o nie trze się w przelocie
i spada...*

*Deszcz liście jak psy legawe
Po ciepłych uszach gładzi,
I leci w spaloną trawę,
W badyle suche, niemrawe.
Woda grać cicho już zaczyna
w kadzi...*

*Już rynna na deszczu śpiewa,
Kadź śmiech jej gardzielią łapie..
Runęła wreszcie ulewa
W ogród, na trawę, na drzewa —
...A kadź już dudni i śpiewa
i chlapie.*

*Woda z wysoka w żwir bije,
Rynwą się wierzchem przelewa!
Strug mokrych ruchliwe ryje*

*Pcha w żwir i chłepce i pije,
Mlaskanie takie łakome,
jak z chlewa!*

*Ulewa, nareszcie ulewa!
Po długich i skwarnych targach
Ze spieką o suchych wargach, —
Wilgocia ciemne już drzewa —
Grzmi w kadzi a w rynwie śpiewa...
Ulewa!!*

JÓZEFINA ROGOSZ-WALEWSKA

ŚPIEW ŻYWIOŁÓW POWIETRZA I ŚWIATŁA

*Wielbimy Cię Chryste my powietrza Duchy —
blasków grą świetlistą w atmosferze ruchu.*

*Wchłonęliśmy Twojej agonji westchnienie,
kwi ofiarnej zdroje, — Krzyża Odkupienie.*

*Codzień uśmierceni w człowieka oddechu,
w Tobie zmartwychwstaniem, w Twem ciele bez
grzechu.*

*Rytm tchu tajemnicy niesiemy przed Trony —
Boś Ojca Prawicą — Tronem poślubiony.*

*W oddechu poszepty niesiemy przed Trony,
Boś jest z Duchem Świętym w Jedności złączony.*

*O! Chryste! Ty w glorji cierniowej korony —
światłością powietrza bądź nam pochwalony!*

ZOFJA ROŚCISZEWSKA

RADJO

*Kiedy słyszę w radjo foxtroty, bluesy i shimmy,
Widzę dancingi i bale —
Pocałunki chcą rozgrzać usta sztywnej zimy,
Zimy zakochanej w karnawale.*

*Teraz przez okno zaglądamy róże i drzewa,
Lato, bożek pogański w wianku z kłosów na głowie,
A w radjo (co za kontrast!) jakiś yankeś śpiewa —
Słuchają go niezliczone panie, i pewnie mniej liczni
panowie.*

*Halo... halo... znany wstęp speakera,
I zwarjowany charleston słyszymy,
A potem tango, co omdlewa i umiera
I zdradziecko odurza nutami swemi...*

*Halo... halo... kręcą się bluesy i foxtroty,
A w głowie, jak po magicznym znaku
Wstają zimne godziny różowe i złote,
I pan: czarna plama we fraku.*

W MONASTERZE

*Był mnichem w prawosławnym monasterze,
W cerkwi kapiącej od złota,
W dymie ciężkim kadzideł, w cieniu gdzie błyszczą
carskie wrota.
Pokłony bił i szeptał zarliwie pacierze*

*Na ikonach, na freskach, w złoto zakłęci
Stali surowi, uroczyści, bizantyńscy święci,
Dźwigali księgi, klucze, miecze i mądrość świata
I dźwigali na barkach mrok, wilgoć i lata...*

*A u stóp świętych i nad ich głową
Pismo starosłowiańskie kirylicą zwanem
Szeptalo jak prorocy drżeli przed Jehową,
Jak męczennicy i królowie korzyli się przed Panem*

*A za cerkwią o kopułach jak dojrzałe cebule,
Za monasterem czarnych mnichów co wyraz mieli
złowrogi*

*Był sad, pasieka i ogród, brzęczały pachnące ule
I były kwiatów pola i były w kwiatkach drogi...*

*A korytarze monasteru były wilgotne, sklepione,
A mnisi prawosławni jak kruki smutni i ponurzy.
Tylko młodego mnicha oczy były jasne i zielone,
A serce Bogu pachnące jak serce rozkwitłej róży.*

ANNA SŁONCZYŃSKA

NA ŁĄCE

*Siedzę na łące. Przy łąkach. Wśród łąk.
Cisza na każdy dreszcz czujna... Zabzyczał gdzieś bąk
U stóp mych pachnie, pachnie, pachnie miodowo jakiś
kwiat.
Poczuł to biały motyl. Sfrunął na niego. Siadł...*

*Czy to jest słońce — ten oblewający ukropem złoty
płyn?
Rękami szukam chłodu wśród zroszonych trzcin.
Coś się porusza w trakcie i gwizdzie z arogancją
bezwiedną.
Świerszcz — nie świerszcz? Wszystko jedno.
Boże! Co kwiatów! Aż bolą oczy od kolorowych plam!
Zamykam je. I pod powiekami — znowu łąkę mam...*

MARJA ZNATOWICZ-SZCZEPAŃSKA

*Bamboc
3. 9. 11 74r.*

DWUNASTOLATKA

*Długa tyczka z oczami, niby gwiazdy żalose...
Włosy trzymać się nie chcą, opadają na czoło,
w zimie chyli się, blednie, a rozkwita na wiosnę,
nie chce spać iść wieczorem — bo jest wtedy wesoło.
Żeby można bez książek wiedzieć wszystko o życiu,
toby czasu starczyło na czytanie powieści...
Dzisiaj smutno i nudno: łączy się kręcą w ukryciu,
kiedykolwiek ze szczęścia dech się w piersi nie mieści!
Jeszcze kilka lat krótkich — a „dorosłość“ nadleci —
rok szesnasty! Powaga... Wszystko stare i znane,
Już i teraz — mój Boże! — Ach, szczęśliwe te
dzieci!...
— — może będę artystką — — może mniszką zo-
stanę — — —*

*Co tu robić w niedzielę? Te nieznośne chłopczyska!
Chude toto... niemrawe... o czym gadać tu z nimi?
...Złość do świata... ból głowy... stanik w piersiach
uciska...*

*Ach, jest przecie huśtawka! No, hop w niebo wprost
z ziemi!!*

WYKAZ BIBLIOGRAFICZNY POETÓW*).

- 1) *André Lucjan* — poeta i krytyk literacki (Warszawa) — ogłasza utwory w czasopismach (Kurier Poranny). Osobno: „Walka o człowieka” (1926); „Jaskinia Platona” (1929); Szlakiem Niepodległych 1918—1928 — utwory zebrane (1929).
- 2) *Baliński Stanisław* — poeta grupy Skamandra. (Warszawa). Osobno: „Wieczór na Wschodzie” (1928).
- 3) *Bąkowski Stanisław* — porzuca Kraków, osiadając w Poznaniu — nie należy do żadnej grupy. Pierwsze poezje w Maskach (Kraków). Osobno: „Rymy wędrowca” (1922); „Gawędy z Panem” (1926); „Ścieżki ułomnych” (1926); „Oczy godzin” (1927); „Lotnik niezłomny” (1928); „Śmierć Adama” (1929).
- 4) *Bederski Adam* (ur. 1893) — poeta „Zdroju”. Ogłaszał utwory w Krytyce i w Zdroju.
- 5) *Birkenmajer Józef* (Kraków) — doskonały tłumacz (zwłaszcza z lit. angielskiej), krytyk, pierwszorzędny stylista, jako poeta zgłosił przystąpienie do Czartaka. Osobno w poezji wydał: „Poszumy Bajkału” (1927); „Ulicą i drogą” (1928).

*) W wykazie uwzględniona jedynie twórczość poetycka.

- 6) *Bogusławski Antoni*. Poezje w pismach warszawskich (Kurjer warszawski). Osobno: „Honor i ojczyzna” (1927); „Dwór” (1929).
- 7) *Boyé Edward* — tłumacz utworów z literatury romańskich (włoskiej i hiszpańskiej). Jeden z redaktorów „Pro arte”. Ogłaszał poezje w „Pro arte” i w „Skamandrze”. Osobno: „Sandał skrzydlaty”.
- 8) *Braun Jerzy* — poeta grupy Heljonu — krytyk, powieściopisarz, dziennikarz, wydawał w Krakowie Gazetę literacką (1926—1927), twórca scenariuszy filmowych. Osobno nast. zbiory poezyj: „Najazd Centaurów” (1922); „Ocenjada” (1922); „Dywan rozkwitający” (1924); „Ziemia i niebo” (1930).
- 9) *Braun Mieczysław* — poeta grupy Skamandra. (Warszawa). Wydał osobno: „Rzemiosła” (1926); „Przemysły” (1928); „Liść dębowy” (1929).
- 10) *Broniewski Władysław* (ur. 1898) — poeta, krytyk, tłumacz (pisarzy rosyjskich); początkowo należał do grupy Skamandra, następnie występuje jako bojowy poeta skrajnej lewicy (grupa pisarzy proletariackich). Utwory w Miesięczniku Literackim i Pamiętniku Warszawskim. Osobno: „Wiatraki” (1925); „Dymy nad miastem” (1927); „Trzy salwy”, biuletyn poetycki (1925) — wraz z Wandurskim i Standem.
- 11) *Brzechwa Jan* (Warszawa) — wydał „Talizmany” (1929).
- 12) *Brzostowska Janina* — poetka grupy Czartaka. Wydała: „Szczęście w cudzym mieście” (1925); „O ziemi i mej miłości” (1925); Erotyki (1926); „Najpiękniejsza z przygód” (1929).

- 13) *Czechowicz Józef* (Lublin) — poeta grupy Reflektora, obecnie Kwadrygi. Osobno: „Kamień” (1927); „Dzień jak codzień” (1930).
- 14) *Czereśniewski Wawrzyniec* (Warszawa) — poeta grupy Kadry. Utwory w Kadrze, w pismach łódzkich i lubelskich.
- 15) *Czuchnowski Marjan* (Poznań). Najmłodszy talent poetycki. Ogłasza utwory w „Europie”. Kurjerze Krakowskim i t. d. Zbiorek poezyj: „Poranek goryczy” (1930).
- 16) *Czyżewski Tytus* (ur. 1883, Kraków) — poeta-malarz — protagonista polskiego formizmu w sztuce i w poezji. Wydawał z Winklerem pismo „Formiści” (Kraków); ogłaszał utwory w pismach krakowskich, poznańskich, lwowskich, warszawskich. Osobno: „Śmierć Fauna” (1907); „Zielone oko — elektryczne wizje” (1920); „Noc — dzień, mechaniczny instytut elektryczny” (1922); „Wąż, Orfeusz i Eurydika” (1922); „Pastorałki sześć misterji” (1925).
- 17) *Dobrowolski Ryszard Stanisław* (Warszawa) — poeta grupy Kwadrygi. Poezje w Kwadrydze. Osobno: „Pożegnanie Termopil” (1929).
- 18) *Ejsmond Julian* (1892—1930) — poeta, powieściopisarz, tłumacz (Owidjusz, Kochanowski, Sarbiewski), miłośnik świata zwierzęcego i roślinnego, zapalony myśliwy, ogłosił z tych dziedzin szereg artykułów, nowel i powieści w pismach warszawskich i poznańskich i osobno; równocześnie autor licznych utworów dla dzieci. Poezje: „Bajki i prawdy” (1912); „Miłość wieczna” (1922); „Bajki” (1927).

- 19) *Feldhorn Juljusz* (1901, Kraków) — utalentowany tłumacz z języka włoskiego, poeta grupy Heljonu, tomik poezyj „Domy” (1922).
- 20) *Gałuszka Józef* (1893, Kraków) — poeta grupy Heljonu. Wydał: „Płomień i grom” (1920); „Biesiada Kameleonów” (1921); „Uśmiechy Boga” (1922); „Dusza miasta” (1922); „Gwiazda Komandorji” (1925); „Ludzie bez twarzy” (1927); „Głosy ziemi” (1927).
- 21) *Gembarzewski Miłosz* (Warszawa). Poezje: „Białe pióropusz” (1927); „Mussolini”, poemat (1927); „Pieśni Słowianina” (1930).
- 22) *Godlewski Stefan* (Warszawa) — wytworny tłumacz poetów francuskich, utalentowany poeta. Wydał: „Grabinka” (1927).
- 23) *Helm Pirgo Janina* (Warszawa) — poezje: „Kolorowa Sonata” (1928).
- 24) *Hryńkowski Jan* — futurysta krakowski, potem należący do grupy Formistów — poeta-malarz. Wiersze w piśmie „Formiści” i w „Katalogu Formistów Krakowskich”.
- 25) *Hulewicz Witold* (pseudonim Olwid; ur. 1895) — tłumacz (M. Rilke), współwydawca Zdroju, poeta; ogłaszał poezje w Zdroju i w pismach poznańskich. Osobno: „Płomień w garści” (1921); „Sonety instrumentalne” (1928); „Lament królewski (1929).
- 26) *Itakowiczówna J. G.* (ur. 1892) — poetka, obecnie stale mieszkająca w Warszawie. Utwory w pismach warszawskich. Wydała osobno: „Ikarowe loty” (1912); „Wici” (1914); „Trzy struny” (1917); Kolędy polskiej biedy” (1917); „Hi-

storja o królewiczu Lâ-fi-Czaniu, o żołnierzu Soju i dziewczynce Kio" (1918); „Trzy struny" (1919); „Śmierć Feniksa" (1922); „Rymy dziecięce" (1923); „Połów" (1926); „Obrazy imion wróżebne" (1926); „Opowieść o moskiewskim męczyństwie — Złoty Wianek" (1927); „Płaczący ptak" (1927); „Zwierciadło nocy" (1928); „Czarodziejskie zwierciadła" (1929); „Z głębi serca" (1928); Popiół i perły (1930). — W roku 1930 otrzymała nagrodę literacką Wilna.

- 27) *Iwaszkiewicz Jarosław* (ur. 1894) — powieściopisarz-dramaturg — poeta grupy Skamandra. Ogłaszał utwory w *Zdroju*, w *Pro arte*, *Skamandrze* i t. d. Osobno: „Oktostychy" (1919); „Zenobia Palmura" (1920); „Legendy i Demeter" (1921); „Dionizje" (1922); „Kasydy, zakończone siedmioma wierszami" (1925); „Księga dnia i nocy" (1929).
- 28) *Jabłońska Zofja* (Warszawa) — poezje w *Pamiętniku Warszawskim*.
- 29) *Jasiński Bruno* (1901) — najgłośniejszy przedstawiciel polskiego futuryzmu, wydawca słynnych w swoim czasie *jednodniówek* („Nuż w bzu-chu"). Osobno ogłosił: „But w butonierce" (1920); „Pieśń o głodzie" (1922); „Nogi Isoldy Morgan"; „Ziemia na lewo" (1924); *Słowo o Jakóbie Szeli* (1926).
- 30) *Janowski Jarosław* — poeta grupy Heljonu. Tomik poezyj: „Siejba tęcz" (1929).
- 31) *Jastrun Mieczysław* (Warszawa). Tom poezyj: *Spotkanie w czasie* (1929).
- 32) *Karski Michał Gabryel* (ur. 1893) — poeta grupy

- Skamandra. Szereg artykułów i poezyj i przekładów (z liter. francuskiej) w pismach warszawskich. Osobno: „Drzewo przydrożne” (1919); „Gra” (1924).
- 33) *Karski Zygmunt* (ur. 1898) — poeta grupy Skamandra. Osobno: „Musujący poranek” (1922).
- 34) *Kleszczyński Zdzisław* (pseud. Karwan) (1889) — powieściopisarz, feljetonista, poeta. Poezje w pismach warszawskich. Ogłaszał także utwory w Skamadrze. Osobno poezje: Pogrzeb lalki (1913); Rewja, satyry i pamflety (1916); Poezje t. I (1917); Żywot Kolombiny, poemat (1922).
- 35) *Kołodziecki Roman* — poeta grupy Meteora. Poezje w pismach warszawskich. Osobno: „Wschody i Zachody” (1927); „Kosodrzewina” (1930).
- 36) *Konopacka Halina* (Warszawa) — głośna lekkoatletka (nagrodzona na Olimpiadzie) — ogłosiła tomik poezyj: „Któregoś dnia” (1929).
- 37) *Konopka Feliks* (Kraków) — Słowa w ciemności (1929).
- 38) *Kozikowski Edward* (1891) — poeta grupy Czartaka. Osobno: „Płomyk świecy” (1921); „Tęsknota ramy okiennej” (1922); „Koniec Hortensji Europy” (1925); „Wymarsz świerszczów” (1925); „W towarzystwie wierzby” (1929).
- 39) *Kruszewska Felicja* — Poezje w pismach warszawskich (Pamiętnik Warszawski). Osobno: „Błękitny ogród” (1928); „Sen” (1928).
- 40) *Kurek Jalu* (Kraków) — należał początkowo do futurystów, potem do grupy Formistów i Zwrotnicy. Tłumacz Marinetti'ego. Osobno: „Upały” (1925); „Manifest”, ulotka poetycka (1929); „Śpiewy o Rzeczypospolitej” (1929).

- 41) *Lechoń Jan* (Serafinowicz Leszek, ur. 1899, Warszawa) — poeta grupy Skamandra. Osobno: „Karmazynowy poemat” (1920); „Rzeczpospolita Babińska” (1921); „Srebrne i czarne” (1924).
- 42) *Leśmian Bolesław* (ur. 1879). Ogłosił: „Sad rozstajny” (1912); „Łąka” (1920).
- 43) *Liebert Jerzy* (Warszawa) — poeta grupy Skamandra. Poezje w Przeglądzie Warszawskim, Skamandrze, Wiadomościach Literackich, Pamiętniku Warszawskim. Osobno: „Druga ojczyzna” (1925); „Gusła” (1930).
- 44) *Makowiecki Tadeusz* (Warszawa) — krytyk literacki. Poezje w Pamiętniku Warszawskim.
- 45) *Małaczewski Eugenjusz* (1895—1922) — poeta i utalentowany powieściopisarz. Tomik poezyj: Pod lazurową strzechą (1922).
- 46) *Miller Nep. Jan* (ur. 1890) — poeta i krytyk literacki, autor głośnej „Zarazy w Grenadzie”. Początkowo należał do grupy Czartaka. Ogłaszał: w Ponowie, Czartaku, Przeglądzie Warszawskim, Europie. Osobno: „Achilles na marach”, dytyramb (1918); „Lacrimae rerum” (1921); „Korowód” (1924).
- 47) *Miłaszewska Wanda* (ur. 1895) — poetka i powieściopisarka. Tomik poezyj „Rok boży” (1927).
- 48) *Młodożeniec Stanisław* — jeden z przedstawicieli polskiego futuryzmu, należący następnie do Formistów. Ogłosił: „Mistyczny papieros”; „Kreski futuresski” (1921); „Kwadraty” (1925); „Niedziela” (1930).
- 49) *Morstin-Górska Marja* (Kraków) — poetka grupy Heljonu. Wydała osobno: „Błyski latarni”

- (1922); „Krań miłości“ (1929).
- 50) *Morstin Hieronim Ludwik* (Kraków) — powieściopisarz, poeta, dramaturg. Wydawał w Krakowie przed wojną „Museion“, obecnie redaguje Pamiętnik Warszawski. Osobno poezje: „Pieśni“ (1907); Psalm ziemi (1908); Radość i frasunek (1930).
- 51) *Mortkowiczówna Hanna* (Warszawa) — poetka i powieściopisarka — utwory dla dzieci. Ogłosiła: „Jarzębiny“ (1924); „Niepotrzebne serce“ (1930).
- 52) *Napierski Stefan* (Warszawa) — poeta i krytyk literacki. Ogłosił: „Poemat“ (1924); „Odjazd“ (1927); „List do przyjaciela“ (1928); „Cienie na wietrze“; „Drabina“ (1930); „Ziemia wolna“ (1930).
- 53) *Obertyńska Beata* — ogłosiła: „Pszczoły w słoneczniku“ (1927); „O braciach mroźnych, sen kalendarzowy“ (1930).
- 54) *Pawlikowska Marja* (Kraków, ur. 1895) — poetka i dramaturg. Wydała: „Niebieskie migdały“ (1924); „Różowa magja“ (1924); „Pocałunki“ (1926); „Wachlarz“ (1927); „Dancing-karnet balowy“ (1927); „Cisza leśna“ (1928); „Paryż“ (1929); „Profil białej damy“ (1929).
- 55) *Peiper Tadeusz* (Kraków) — poeta czołowy i teoretyk grupy Zwrotnicy. Wydał: „A“ (1924); „Żywe linje“ (1924); „Raz“ (1929).
- 56) *Piechal Marjan* (Łódź) — poeta grupy Meteora, obecnie Kwadrygi. Ogłosił: „Krzyk miasta“.
- 57) *Podhorski Okołów Leonard* — poeta grupy Skamandra. Szereg artykułów o nowych rymach w Skamandrze i Wiadomościach Literackich.

- Ogłosił: „Słomiany śmiech” (1922); „Droga do Emaus” (1923); „Białoruś” (1924).
- 58) *Prędski Artur* (Warszawa). — Wydał „Poezje” (1929).
- 59) *Przysiecki Feliks* (ur. 1883). — Ogłaszał ongiś utwory w Tece lwowskiej — poeta grupy Skamandra. Osobno: „Śpiew w ciemnościach” (1921).
- 60) *Przybós Julian* — poeta grupy Zwrotnicy. Ogłosił: „Śruby” (1925); „Oburącz” (1926); „Z ponad” (1930).
- 61) *Rogosz-Walewska Józefina* (Warszawa) — Ogłosiła „Serce”; „Na drodze”; „Prochom Juliusza Słowackiego”; „Na szali słonecznej” (1930).
- 62) *Rościszewska Zofja* (Warszawa) — Ogłosiła: „Wstęgi” (1928); „Tańce” (1929).
- 63) *Rusinek Michał* — powieściopisarz-poeta, wydał tom poezyj „Błękitna defilada” (1930).
- 64) *Rydzewska Nina* (Warszawa) — poetka grupy Kwadrygi. Osobno ogłosiła: „Miasto” (1929).
- 65) *Rytard Mieczysław* (Warszawa) — powieściopisarz, poeta grupy Skamandra. Poezje w Skamandrze, w Wiadomościach Literackich. Wydał: „Noże wiosny” (1929).
- 66) *Sebyła Władysław* (Warszawa) — poeta grupy Kwadrygi. Wydał: „Pieśni szczurołapa (1929).
- 67) *Skiwski Jan Emil* (Poznań) — krytyk literacki, poeta. Ogłosił: „Człowiek wśród potworów” (1930).
- 68) *Słobodnik Włodzimierz* (Warszawa) — poeta grupy Kwadrygi. Osobno: „Modlitwa o słowo”; „Cień skrzyпка” (1929); „Nowa muza” (1930).
- 69) *Słonczyńska Anna* — młoda poetka warszawska.

- Osobno: „Muzyka słońca” (1926); „Niebieski Gość” — poemat o Chrystusie (1929); „Barwy i dźwięki” (1930).
- 70) *Słonimski Antoni* (pseudonim Pro-rok. Warszawa, ur. 1895) — powieściopisarz, dramaturg, krytyk — poeta grupy Skamandra. Wydał osobno: „Czarna wiosna” (1919); „Sonety” (1918); „Parada” (1919); „Harmonja” (1920); „Droga na Wschód” (1924); „Godzina poezji” (1923); „Z dalekiej podróży” (1926); *Oko w oko* (1928). Tom zbiorowy: „Wiersze zebrane” (1929).
- 71) *Sowiński Kazimierz* — poeta grupy Meteora. Ogłosił: „Gwiazdy na strychu” (1930).
- 72) *Stande Ryszard Stanisław* (ur. 1897) — członek grupy poetów proletariackich. Ogłasza w *Miesięczniku Literackim*. Ogłosił: „Młoty” (1921); „Trzy salwy”, biuletyn poetycki (wraz z Wandurskim i Broniewskim); *Rzeczy i ludzie* (1925).
- 73) *Stern Anatol* (ur. 1898) — początkowo jeden z najwybitniejszych przedstawicieli polskiego futuryzmu — potem ogłaszał utwory w Skamandrze. Ogłosił: „Futuryzje” (1919); „Nagi człowiek w śródmieściu” (1919); „Nóż w brzuchu” (1921); „Gga”, pierwszy almanach futurystyczny (wspólnie z Aleksandrem Watem); „Anielski cham” (1925); „Bieg do bieguna” (1927); „Europa” (1930).
- 74) *Stur Jan* (um. 1923) — poeta grupy Zdroju, krytyk literacki. Wydał: „Anima nostra, Przełomu cześć I” (1920); „Triumfy, Przełomu cześć IV” (1920).
- 75) *Swinarski Marjan Artur* (Poznań) — poeta, kry-

- tyk, teoretyk teatru. Ogłosił: „Harakiri” (1924); „Eja! Eja! Alala” (1926); „Treny na śmierć przyjaciela” (1929); „Błękitna godzina” (1930).
- 76) *Stycz Jan* (Warszawa). Ogłosił: „Szare godziny”; „Otwarte oczy” (1921).
- 77) *Szantroch Tadeusz* (ur. 1888). — Poezje w pismach krakowskich, warszawskich, poznańskich, lwowskich. Obecnie należy do grupy Czartaka. Osobno ogłosił: „Poezje” (1906); „Z lutni żołnierza” (1916); „W zorzach krwi” (1918); „Cyklady” (1924).
- 78) *Szczawiej Jan* (Warszawa) — poeta grupy Kadry. Ogłosił „Miłość tworząca” (1930).
- 79) *Sztaudynger Jan* (Poznań) — utwory w Tęczy Poznańskiej. Osobno: „Dom mój”; „Ballady poznańskie (1930).
- 80) *Timofiejew Grzegorz* — poeta grupy Meteora. Ogłosił: „Niema mnie w domu” (1930).
- 81) *Tuwim Irena* (Warszawa) — poetka grupy Skamandra. Ogłosiła: „24 wiersze” (1921); „Listy” (1926); „Miłość szczęśliwa” (1930).
- 82) *Tuwim Julian* (ur. 1894) — poeta grupy Skamandra, tłumacz liter. rosyjskiej. Ogłosił osobno: „Czyhanie na Boga” (1918); „Rewolucja w Niemczech (1919); „Sokrates tańczący” (1920); „Siódma jesień” (1922); „Wierszy tom 4” (1923); „Słowa we krwi” (1926); Rzecznik czarnoleska” (1929). Wydanie zbiorowe: „Wiersze zebrane” (1928). — W roku 1928 otrzymał nagrodę literacką miasta Łodzi.
- 83) *Wandurski Witold* — dramaturg, jako poeta należał do grupy poetów proletariackich. Ogłosił:

- „Trzy salwy” (wraz z Broniewskim i Stande); „Sadze i złoto” (1926).
- 84) *Ważyk Adam* — poeta należący do grupy Zwrotnicy. Poezje w Zwrotnicy i w Almanachu Nowej Sztuki. Osobno: „Semafor” (1924); „Oczy i usta” (1926).
- 85) *Wierzyński Kazimierz* (ur. 1894, Warszawa) — poeta grupy Skamandra — laureat olimpijski w r. 1928 (za „Laur Olimpijski”). Ogłosił: „Wiosna i wino” (1919); „Wróble na dachu” (1920); „Wielka niedźwiedzica” (1922); „Pamiętnik miłości” (1925); „Laur Olimpijski” (1927); „Pieśni fantastyczne” (1929); „Rozmowa z puszcza” (1929). Wydanie zbiorowe: „Utworky zebrane” (1929).
- 86) *Wittlin Józef* (ur. 1896) — poeta grupy Zdroju — ogłaszał później w Skamandrze, tłumacz (Odyssei). Osobno: „Hymny” (trzy wydania: 1920, 1927, 1929).
- 87) *Wittlin Tadeusz* (Warszawa) — poeta i tłumacz. Tom poezyj: „Trasa na Parnas” (1929).
- 88) *Wołoszynowski Julian* — powieściopisarz i poeta grupy Skamandra. Ogłosił: „Okulary” (1926); „Potęga snu” (1928).
- 89) *Zechenter Witold* (Kraków) — feljetonista, krytyk literacki, red. Gazety Literackiej, poezje w Kurjerze Krakowskim, poeta grupy Heljonu. Ogłosił: „Ręka na sterze” (1929).
- 90) *Zegadłowicz Emil* (ur. 1888) — czołowy poeta grupy Czartaka, powieściopisarz, dramaturg, tłumacz. Ogłaszał utworky w Zdroju, Ponowie, Czartaku. Wydał: „Drogą życia” (1908); „Nad rze-

ką" (1910); „Powrót" (1911); „Imagines" (1918); „Odejście Ralfa Moora" (1919); „Ballady" (1920); „Dziewanny", ballady wtóre (1921); „U dnia, którego nie znam, stoję u bram" (1921); „Kolędziółki beskidzkie" (1923); „Powsinogi beskidzkie" (1923); „Zielone święta" (1924); „Ballada o Wovrze" (1924); „Przyjdź Królestwo Twoje" (1924); „Wielka nowina" (1924); „Kantyczka Rosista" (1924); „Nawiedzeni" (1924); „Gody pasterskie" (1925); „Godzinki" (1925); „Krag" (1926); „Rezurekcje" (1927); „Zmysły" (1927); „Dom jałowcowy" (1927); „Dziewanny" (1927); „Siedem pieśni zgrzebných o Janie Kasprowiczu" (1927); „Widma wskazówek" (1927); „Zegar słoneczny w chińskim ogrodzie" (1929); „Dęby pod pełnią" (1929); „Flora-Caritas-Sofja" (1928); Niam-niam, antologia poezji murzyńskiej (1923); „Głośniki płonące" (1930).

- 91) *Znatowicz-Szczepańska Wanda* — ogłosiła „Wiosna i lato".

*ALFABETYCZNY SPIS POETÓW
POLSKICH i OBCYCH.*

- Andre Lucjan 174—175
Baliński Stan. 59—60
Balmont Konstanty 19
Bąkowski Stan. 175—177
Bederski Adam 51—52
Birkenmajer Józef 146
Błok Aleksander 20
Bogusławski Antoni 177—180
Boyé Edward 60—61
Braun Jerzy 163—165
Braun Miecz. 61—63
Briusow Wal. 21—22
Broniewski Wł. 133—135
Brzechwa Jan 63—64
Brzostowska Janina 147—148
Czechowicz Józef 125—126
Czereśniewski Wawrz. 144
Czuchnowski Mar. 180—181
Czyżewski Tytus 34—37
Dobrowolski Ryszard St. 126—128
Ejsmond Jul. 67—68
Feldhorn Juljusz 166
Gałuszka Józef 166—169

Gembarzewski Miłosz 182—184
Godlewski Stefan 184
Hełm-Pirgo Janina 213
Hrynkowski Jan 37
Hulewicz Witold 52—53
Iłakowiczówna K. I. 214—223
Iwazzkiewicz Jarosł. 68—71
Jabłońska Zofja 223—224
Janowski Jar. 169—170
Januszewska H. 224—225
Jasiński Bruno 37—39
Jastrun Miecz. 71—73
Jesienin Serg. 22—23
Karski Gabr. M. 74—76
Karski Zygm. 73—74
Kleszczyński Zdzisław 185—187
Konopka Feliks 188—189
Kołoniecki Rom. 138—140
Konopacka Halina 225—226
Kruszewska Felicja 226—227
Kozikowski Edw. 148—150
Kurek Jalu 39—40
Lechoń Jan 76—81
Leśmian Bol. 31—33
Liebert Jerzy 82—84
Majakowskij Włodz. 24—25
Małaczewski Eug. 190—201
Marinetti T. F. 15—18
Miller Nep. Jan 161—162
Miłaszewska Wanda 227—228
Młodożeniec Stan. 40—42
Morstin-Górska M. 170—171

Morstin Hier. L. 201—203
Mortkowiczówna Hanna 228
Napierski Stefan 84—85
Obertyńska Beata 229—230
Pawlikowska Marja 88—92
Peiper Tadeusz 42—43
Piechal Marjan 140—141
Podhorski Okołów 85—88
Prędski Artur 203—204
Przyboś Jul. 44—45
Przysiecki Feliks 92—93
Rimband Artur 11—15
Rogosz-Walewska Józ. 230
Rościszewska Zofja 231—232
Rusinek Michał 205—206
Rydzewska Nina 128—129
Rytard Miecz. 94
Sebyła Wład. 130—132
Skiwski Emil 207
Słobodnik Włodz. 132
Słonczyńska Anna 232—233
Słonimski Antoni 95—102
Sołogub Teodor 25—27
Sowiński Kaz. 141—142
Stande R. Stan. 136—137
Stern Anatol 46—49
Stur Jan 54—56
Stycz Jan 102
Świnarski Marjan Artur 208—209
Szantroch Tad. 150—151
Szczawiej Jan 145
Sztandynger Jan 212—211

Timofiejew Grzeg. 142—143
Tuwim Irena 102—103
Tuwim Juljan 104—114
Wandurski Witold 137
Wazyk Adam 49—50
Wierzyński Kazim. 114—120
Whitman Walt. 9—11
Wittlin Józef 57—58
Wittlin Tadeusz 211—212
Wołoszynowski Jul. 121—124
Zechenter Witold 172—173
Zegadłowicz Emil 151—160
Znatowicz-Szczepańska Wanda 233—234

CZEŚĆ DRUGA

NA PRZEŁOMIE

ИУ БИХЕРОШЕ

NA POGRANICZU DWÓCH EPOK LITERATURY.

Rok 1914 zamyka ów okres literatury, jaki nazwano „Młodą Polskę”. Milkną nazawsze, przestają tworzyć najwybitniejsi powieściopisarze i poeci, a ci, z którymi się jeszcze zetkniemy w następnych latach, czy już w epoce Polski Wskrzeszonej, największe dzieła swe dali przed rokiem 1914, dalsze zaś ich twory — z nielicznymi wyjątkami — to śpiew łabędzi, nie wnoszący nowych wartości do skarbca literatury polskiej.

Po wzlotach Młodej Polski, po owym zbiorowym wysiłku, świadczącym o potędze ducha i niezwyklej sile genjuszu polskiego następuje zrozumiałe wyczerpanie, chwilowy zastój, a związek z Zachodem staje się coraz luźniejszy. Zresztą to wyczerpanie twórcze cechuje literaturę polską dobre już kilka lat przed wybuchem wojny światowej.

Czasy wojenne nie sprzyjają również twórczości. Wśród szczęku oręża milknąć muszą muzy.

Zawierucha wojenna, jaka rozszalała na ziemiach polskich, udaremnić też musiała wszelką pracę ducha ludzkiego.

W latach owych pożogi i krwi jakby zamykała się jedna karta literatury, obejmująca lata niewoli od roku 1795: wiek XIX i początek dwudziestego —

jesteśmy zaś świadkami narodzin literatury nowej, literatury *Polski Wolnej*.

Przygrywką jej — to pieśń wojenna, to piosnki legjonowe — twórczość Mączki, Teslara, Szantrocha, Eminowicza, Relidzińskiego, Bergela... — poetów-legjonistów, to niezapomniana „Księga ubogich” Kasprowicza, z jej wiarą niezłomną w zbliżającą się „wiosnę”.

A kiedy nadszedł rok 1918, i ziemice rozdarte zrosły się w jeden wolny organizm, wydawało się wszystkim, iż nadchodzi era „świątecznego rozkwitu twórczości polskiej, niczem już nieskrępowanej, iż otrzymamy prawdziwe arcydzieła w dziedzinie dramatu, czy poezji, godne zaiste narodu wielkiego!

Od chwili wskrzeszenia upłynęło już dwanaście lat. Czy spełniły się te oczekiwania? Czy narodził się nam poeta wielki — wieszcz *Polski Nowej, Odrodzonej*?

Odpowiedź da nam niniejszy bilans wysiłku duchowego polskiego w latach 1918—1930.

Praca niniejsza to tylko obraz poezji najmłodszej z lat dwunastu — omówienie innych działów pozostawia autor do dalszych części dzieła.

NA ZACHODZIE I POŁUDNIU.

Jeszcze przed wojną światową pojawiają się za granicą nowe prądy literacko-artystyczne. We Francji rodzi się futuryzm, we Francji zaś powstaje t. zw. ekspresjonizm.

Początki futuryzmu sięgają jeszcze 1909 roku, kiedy to poeta włoski Marinetti ogłasza swój głośny manifest „Manifesto del Futurismo”.

Jak nazwa sama (futuryzm) wskazuje, zrywa on z przeszłością, a walcząc z tem, co minione (passeim), wybiega w przyszłość. Hasłem jego zniszczenie muzeów, bibliotek, zbiorów sztuk, owych „mniemanych” pomników ludzkiej kultury. Czemże bowiem są one w porównaniu z tętnem życia nowoczesnego, ze świstem syren fabrycznych, z powodzią światła elektrycznego, z cudami nowoczesnej techniki, z gwarem i zgiełkiem mas robotniczych, z muzyką wielkich miast, z ich niebywałym rozkwitem i oszałamiającem tempem pracy. Należy już raz zerwać z przeszłością — a więc z zastojem, a wszelkie wysiłki włożyć dla zwycięstwa nadchodzącej przyszłości!

„W człowieku drzemią skrzydła”, głosi Marinetti. Wyzwolić tylko siły tkwiące w człowieku i pomnożyć energję jego, a przemieni on życie dzisiejsze i stworzy nowe szczęsne warunki bytu...!

Zadaniem prawdziwej sztuki jest odtworzenie całej potęgi życia ludzkiego, nie tego wyidealizowanego, minionego, lecz uchwycenie rytmu życia dnia dzisiejszego i przeszłego.

Istotnemi pierwiastkami poezji są „bunt, zachwalstwo, odwaga” (!). Literatura dotychczasowa opiewała „zadumaną nieruchomość, ekstezę i sen”, poezja przyszłości, gorączkową bezsenność, bieg wyścigowy, skok karkołomny, policzek i pięść!

Futuryzm, pełen podziwu dla arcytworów nowoczesnej techniki, dla „duszy” maszyn, rzuca wieś, pola i lasy, zamknie się w murach miasta.

Gardząc dotychczasowemi powagami, lekceważąc niebosiężne wzloty ekstatyczne, odrzuciwszy uznane powszechnie kanony piękna i wzory, pragnie

Ujmuje on świat „z wewnątrz swego ja”, uznając jedynie „czucie” i „wiarę”...

Zasadniczą zaś cechą futuryzmu jest jego symbolizm... W pogardzie dla realizmu, oraz w dążeniach do nowych środków ekspresji i oddania pełni życia człowieka zbiegają się oba kierunki.

Za poprzedników swych i ojców duchowych uważać będą podobnych piewców życia jak Jana Artura Rimbaud (1854—1891)*), poetę amerykańskiego Walt Whitmana (1819—1892)**), Emila Verhaerena (1855—1916)***).

WPLYWY ROSYJSKIE.

Równocześnie z wpływami Zachodu i Południa poczęły oddziaływać na poezję polską i wpływy poetów rosyjskich.

Przy dokładnej analizie najmłodszej poezji wykryłby badacz mnóstwo nasuwających się analogii, stwierdziłby wiele podobieństw.

W tym okresie poezja rosyjska posiada cały szereg wielkich talentów, ideologią swą związanych z hasłami bolszewickimi.

Pominąwszy jednak owe hasła, kryje w sobie liryka rosyjska moc niewypowiedzianego piękna i prawdziwą głębię uczuciowości.

*) Patrz „Młoda Polska” I.; przekłady wyszły w Warszawie — „Jan Artur Rimbaud. Poezje” — pod redakcją Jar. Iwaszkiewicza i Jul. Tuwima. Warszawa 1921.

**) W przekładzie polskim: „Trzy poematy” tłum. Stan. Vincenz. Warszawa 1921.

***) Patrz „Młoda Polska” I. Łódź 1928.

Namiętność rewolucyjna, bezbrzeżny smutek owych bezkresnych przestrzeni Rosji, przedziwny spokój, wschodnia, pełna żaru zmysłowość, nuta melancholji i zadumy, razem zespolone, są źródłem nieprzemijającego uroku liryki rosyjskiej.

W poszukiwaniu nowych dróg piękna, zrywając z tradycją, ujmują poeci rosyjscy myśli swe w nowe, nieskończenie rozmaite kształty i formy.

Na czoło liryki rosyjskiej wybili się zwłaszcza: Walery Briusow, Konstanty Balmont, Teodor Sołogub, Aleksander Błok, Sergiusz Jesienin, Włodzimierz Majakowski...

MŁODA POLSKA i „NAJMŁODSZA” POLSKA — BOLESŁAW LEŚMIAN

Mówiąc o wpływach obcych, nie wolno nam jednak zapomnieć o fakcie, iż twórczość najwybitniejszych poetów „Najmłodszej Polski” wyrosła organicznie z poezji „Młodej Polski”, iż bez Żeromskiego, Wyspiańskiego, Kasprówicza, Staffa (by innych już pominąć), trudnoby mówić o całej twórczości Skamandrytów, Czartakowców i t. d., i t. d.

Wymienić tutaj jeszcze należy nazwisko poety, który wywarł brzemienny wpływ na cały zastęp młodych twórców. Jest nim Bolesław Leśmian.

Jest Leśmian autorem dwóch tomików, z których „Sad rozstajny” wydał jeszcze w roku 1912, a „Łąkę” w r. 1920.

Śpiewak to baśni pełnych fantazyj, wolnych od wszelkiej naleciałości ziemskiej. Oddaje w swych

utworach piękno nieprzemijające, nieśmiertelne. Jest poetą marzeń nieziszczonych, snów na jawie, uczuć niedośpiewnych.

Osobny dział w twórczości Leśmiana stanowią przepiękne ballady. Cechuje je symbolizm, pełen prymitywizmu.

Wiersz jego nieskazitelnej czystości, styl niewymownie obrazowy, pełen niepospolitej barwności i rytmiki. Zwłaszcza „Łąka”, przez współczesnych niedoceniona, dzisiaj uważana jest za prawdziwe arcydzieło — stała się też dla wielu poetów prawdziwym objawem, zrodziła t. zw. „leśmianowców”.

Poezja to wolna od zgrzytów i pesymizmu, pełna pogody, z jaką poeta wędruje przez życie — przez „Zwiewne nurty kostrzewy”, czy „Malinowe chróśniaki”...

Wlewa ona w duszę ludzką ukojną słodycz i wiarę w życie, każe choć na chwilę zapominać o wszystkim, co boli i serce rozdziera.

Najlepszym wprowadzeniem do cudnych liryk „Łąki” będzie zakończenie końcowego utworu za tytułowanego „Łąka”.

*...Nawołujcie się ludzie pod jasnym lazurem,
Chórem w światy spojrzycie, zatrwożcie się chórem!
Miłość, wichrem rozpędzona
Wszystko złamie i pokona,
Zaś tych, co się sprzeciwią, w śnie skrępuje sznurem!*

*A opaszcie świat cały ścisłym korowodem,
Aby wam się nie wymknął, schwytany niewodem...
Zapłąsajcie, zaśpiewajcie,
Pieśnią sobie wspomagajcie,*

*Toć wejdziemy w świat — próżnią, aby wyjść —
ogrodem!*

*Niechaj dusza wam będzie błękitami czynu,
Stoi przed nią otworem ta jasność gościnna!*

Czegokolwiek zażądacie,

To się zjawi w waszej chacie,

Bo nastąpiła godzina taka, a nie inna...

*Ludzie — mgły, ludzie — jaskry i ludzie — jabłonie
Rozwidnijcie się w słońcu, boć napewno płonie!*

Dla mnie rosa, dla mnie zieleń,

Dla was — nagłość rozweselen,

A kto pieśni wysłuchał, niech mi poda dłonie!

PIERWSZE ODGŁOSY NOWEJ POEZJI W POLSCE.

Ekspresjonizm sam właściwie nie jest zjawiskiem obcym literaturze polskiej.

Wszak „chwytanie czystej wizji uczucia w barwach jego zasadniczych” stwierdzimy już u Juljusza Słowackiego (zwłaszcza po roku 1842), a części składowe ekspresjonizmu jak: sugestywność, niezwykła siła obrazów nierealnych, przedziwny czar stylu... stanowią istotę twórczości największych pisarzy „Młodej Polski” (Miciński, Przybyszewski, Wyspiański, Żeromski).

Niezależnie od prądów obcych i wpływów Zachodu wystąpił w Krakowie jeszcze przed wojną światową młody poeta *LUDWIK EMINOWICZ*. Ogłosił on w pismach krakowskich („Krytyka”, „Museion” i t. d.) szereg wierszy, wykazując w nich niezwykłą

potęgę uczucia, niespotykane dotychczas w poezji polskiej środki ekspresji i niezwykcyjne zdolności obrazowania.

Jak nastrojowy i emocjonalny, a daleki od wszelkiej szarżyzny i banalności jest wiersz:

W POŁUDNIE

*Poza mną miasto lśni kamienic tęczą,
a wieże w mieście, jak strzały w kołczanie.
Z pod końskich pysków słychać traw szczypanie,
komarów złoty z nad moczarów brzęczą...*

*Bór jakiś w dali nieboskłony bodzie,
Jak byk godzący w płaszcz toreadora.
Nim złotą szpadą słońce go przeora,
mierzy z południa.*

Pali się w przyrodzie!

*Tlą się pastwiska, zużli się powietrze,
żarzą się konie w pętach kulejące,
ogniem pelgają widnokręgów końce,
błękit się modrzy niby dym na wietrze.*

*Gnałem bez pamięci... Złoty ukrop mości
niebo zwieszono u płonącej zwory.
Pod powiekami ciężą mi otwory
przedłużające świat do szpiku kości.*

*Gnam czyli stoję, nie wiem sam, bo oczy
rosły się z dalą w jedno tło gorące,
choć stopa kroczy po zielonej łące,
w ciąg dalszy źrenic na spalanie kroczy...*

Ekspresjonistą jest również Adam Bederski, który jeszcze przed wielką wojną pomieścił w krakowskiej „Krytyce” szereg wierszy (..., „P o e m a o c z ł o w i e k u z w y k ł e”, „S z k a r ł a t n y t a n”...), którychby nie powstydział się ekspresjonizm Francji czy Niemiec.

Pierwszym polskim futurystą jest Jerzy Janowski.

W „Widnokregu”, czasopiśmie warszawskim, umieścił Janowski w roku 1913 dwa wiersze, napisane na wzór utworów Marinetti’ego: „S p ł o n l o t n i k a” i „M a g g i”.

Poeta wielbi moc człowieka, która nie ma granic... „póki żywioty nie sprzysięgły się w znowie”. Odczuwa on podziw dla pana przestworzy — lotnika, dla którego „świat jest zielonym bratem, a przestrzeń siłą siostrą”. Tragedja lotnika — zgon jego w wieńcu płomieni, oddane z całą potęgą wyrazu pozostawia niezatarte wrażenie. Oryginalność obrazowania, obok niezwyklej zwartości utworu zapowiadały talent nieprzeciętny.

Nadzieje jednak zawiodły. Wydany w roku 1920-ym tom poezji pod tytułem: „T r a m w p o p r z e k u l i c y” zawierał utwory słabe, pozbawione już tej siły wyrazu, jaka cechowała „S p ł o n l o t n i k a”.

UWAGI OGÓLNE

Związek z Zachodem chwilowo przerwany, już w ostatnich latach wojny na nowo podejmują nasi „Najmłodsii”.

Kroczą oni gromadnie, w zrzeszeniach, tworzą całe grupy, skupiające się zwykle koło własnych organów. Grup owych, czy też szkół ilość ogromna. Czasem nawet trudno się w nich połapać! Nieraz należałoby poszczególnych poetów pomieścić równocześnie w kilku grupach. Czasem jakaś szkoła poetycka znika bez śladu — następuje emigracja poetycka w inne strony, dając początek nowej grupie.

Na pierwszy plan wysuwają się trzy ośrodki poetyckie, w których skupi się większość naszych „Najmłodszych”: Kraków, Poznań, Warszawa.

Zabierają jednak głos i inne miasta: Łódź, Lublin, Wilno, dołączy się i Lwów, a nawet zamieszka muza i w małych miasteczkach prowincjonalnych.

Kraków jest kolebką futuryzmu polskiego. W Poznaniu rozbije namioty ekspresjonizm, a w Warszawie na pierwszy plan wysuwa się grupa „Skamandra”, wywodząca swój rodowód od „Picadorczyków” i „Pro arte”.

GRUPY POETYCKIE

FUTURYZM, JEGO LOSY I PRZEMIANY

a) KRAKÓW.

Najgłośniejszą bezsprzecznie z najmłodszych grupą byli futuryści, usiłujący zdobyć rozgłos zapomocą ulotek, manifestów, publicznych, krzykliwych występów, odczytów, demonstracyj i t. d. Z całą gwałtownością występują oni przeciwko tradycjonalizmowi. Wprowadzają fonetyczną pisownię i wyszukany układ czcionek. Na całej też linii wypowiadają walkę burżujom! Klub ich krakowski „Gałka muszkatałowa” był widownią bojowych występów, wywołujących zgrozę u spokojnych, zrównoważonych mieszkańców Krakowa. Takim samym klubem futurystycznym była następnie t. zw. „Katarynka”.

Na pierwszy plan wybijają się *STANISŁAW MŁODOŻENIEC*, *JAN HRYŃKOWSKI*, *BRUNO JASIEŃSKI*, *TYTUS CZYŻEWSKI*.

JASIEŃSKI wydaje głośnie „jednodniówki”, jak „Nuż w bżuhu”, — zbiór wierszy „But w Butonierce”, *MŁODOŻENIEC* „Kreski i futureski”, w których „uchodzone umyślenia upapierza i poemaci”, *CZYŻEWSKI* „Zielone oko” — „Noc i dzień”.

Wyrazem ich wiary jest „Manifest futuryzmu polskiego” (1921), w którym powiada: „Dość długo byliśmy już narodem - panopticum, produkującym tylko mumje i relikwie.

Szalone i niepowstrzymane dziś wali do wszystkich naszych okien i krzyczy, dopomina się, wymaga. Ogłaszamy za Stanisławem Brzozowskim wielką wyprzedzą starych rupieci. Przekreślamy trzy zasadnicze momenty życia współczesnego: maszynę, demokrację i tłum. Artyści na ulicę. Technika jest tak samo sztuką jak malarstwo, rzeźba i architektura. Dobra maszyna jest wzorem i szczytem dzieła sztuki przez doskonałe połączenie ekonomiczności, celowości i dynamiki. Aparat telegraficzny Morsego jest sto razy większym arcydziełem niż „Don Juan” Byrona. Sztuka jest tworzeniem rzeczy nowych. Każdy artysta obowiązany jest stworzyć zupełnie nową, niebywałą dotąd sztukę, którą ma prawo nazwać swoim imieniem. Zrywamy raz na zawsze z wszelkiem opisywaniem, ale z drugiej strony i z wszelkiem onamatopeizowaniem, naśladowaniem głosów przyrody itp. niesmacznymi rekwizytami pseudofuturyzującego neorealizmu... Sztuka nie jest pamiętnikiem stąd inąd może ciekawych przeżyć i perypetyj wewnętrznych artysty. Pochwalamy życie, które jest wiecznym, mozolnym zmienianiem się, — ruch, motłoch, kanalizację i miasto. Przekreślamy zdanie jako antypoezyjny dziwolaż, przekreślamy logikę, jako mieszczańsko-burżuazyjną formę umysłu”.

Dla uzupełnienia dodać należy, iż pisownia manifestu jest ściśle fonetyczna; nie uznaje więc rz, ch, ó, oraz samogłoski i — jako znaku zmiękczenia!

Nazwa „Futuryzm” jednak szybko znika w Krakowie.

Natomiast pojawia się t. zw. „Formizm”. Organem formizmu jest pismo „Formiści”, którego w latach 1919—1920 wyszło 6 numerów.

Teoretykami formizmu byli *KONRAD WINKLER*, *LEON CHWISTEK*, *TADEUSZ PEIPER*, głównym zaś heroldem *TYTUS CZYŻEWSKI*, poeta-malarz, a współpracownikami *JASIEŃSKI*, *MŁODOŻENIEC*, *HRYŃKOWSKI*...

„Formizm” miał być „próbą stworzenia nowego stylu na podstawie pojęć realizmu i piękna, jakie rozwinęły się z doświadczeń kubistów, futurystów i ekspresjonistów”.

Styl formistyczny określa Leon Chwistek w tych słowach: „Osoby obdarzone wyobraźnią, na widok jakiegoś fantastycznego ornamentu, nawet najzwyczajszej plamy, dopatrują się różnych kształtów, scen, krajobrazów i t. d. Te pomyslane obrazy są tem bardziej zmienne i zależne czyto od osoby patrzącego, czy od chwili patrzenia na nie, im mniej szczegółów wpływa na to, żeby w danym konturze widzieć pewien określony przedmiot.

Więc i obrazy formistyczne mają na celu dawać jak najmniej tych szczegółów, aby patrzącemu pozostawić najwięcej pola do twórczości jego własnej wyobraźni...”

Coprawda poglądy te dotyczą raczej malarstwa, można je jednak odnieść w całej pełni i do poezji.

Wszyscy bowiem przedstawiciele poezji formistycznej byli zarazem malarzami lub rysownikami.

W katalogu „Formistów” krakowskich prawie każdy z malarzy, wystawiających swoje obrazy i rysunki, dał równocześnie i jakiś utwór poetycki.

W wierszach tych stwierdzić można to samo, co i w rysunkach, dążenie, by podać czytelnikowi jak najmniej szczegółów, mogących krępować jego wyobraźnię, poddając mu wyłącznie w najogólniejszy sposób widzenia. Mamy więc w tych wierszach niekiedy proste tylko zestawienie wyrazów, bez podania związku składniowego, brak przecinków i t. d.

W łonie krakowskiej grupy formistycznej wybuchły jednak tarcia programowe. Do ostatecznego zaś zanku jej przyczyniło się rozprószenie poetów-formistów (Jasiński i Czyżewski osiedli w Paryżu — Młodożeniec w Zamościu...).

Kontynuacją „Formistów” była „Zwrotnica”, wydawana przez Tadeusza Peipera od roku 1922. W ciągu lat pięciu do roku 1927-go pojawiło się 12 numerów pisma. W pierwszym numerze z maja 1922 r. w tych słowach kreśli wydawca program nowego pisma: „Zwrotnica pragnie wszyć w nowego człowieka nerw terażniejszości, pragnie rozognić w nim miłość do nowości, którą sam stworzył, a w stosunku do której nie umiał nie być o kilka wieków starszy, pragnie obudzić w nim wiarę w cudotwórczą epokę, w której żyje i niechęć do martwych epok, które żyją w nim. Z nowej duszy pragnie wyprowadzić nową sztukę, pragnie oświetlić pierwiastki piękna, świeżo wyrosłe z miejsca, form i narzędzi nowoczesnego życia, pragnie iść za stylem epoki”.

Koło „Zwrotnicy” grupuje się szereg uzdolnionych indywidualności. Zaliczamy do nich *JANA BRZĘKOWSKIEGO*, *TADEUSZA PEIPERA*, *JULJANA PRZYBOSIA*, *ADAMA WAŻYKA*, *KURKA*.

TADEUSZ PEIPER — autor trzech zbiorów poezji („*A*” — „*Żywe Lilje*” — „*Raz*”), wy daje bardzo ciekawą, własną „ideę poezji” p. t. „*Nowe usta — odczyt o poezji*”. W tej, pewnego rodzaju „ars poetica” powie: „Bo my kochamy słowo, podobnie jak Pani kocha kamee, a Pan, proszę Pana, stare monety, kochamy wszystko, co dotyczy słowa; jego życie i jego odmiany i drobne odcienie, jego związki i związki związków. A szczególnie kochamy nieznanne jego możliwości, to co my sami uczynić z niego potrafimy, kochamy każdą pracę nad niem”.

Poezje Peipera nie znajdują jednak czytelnika. Stanowiąc swego rodzaju szczególną konstrukcję, są jakby pismem szyfrowanem, wymagającym znacznego przygotowania i stosownego klucza, umożliwiającego dopiero zrozumienie!

Wszelkie podobne próby porozumienia się z czytelnikiem muszą też zawsze spełznąć na niczem!

Prawdziwemi talentami wśród poetów „Zwrotnicy” byli *WAŻYK* i *PRZYBOŚ*.

Pierwszy wydał zbiór wierszy p. t. „*Oczy i usta*” (1926), w którym okazał daleko rozwiniętą wrażliwość słuchową, bogactwo obrazowania, oraz ciekawą formę wiersza.

PRZYBOŚ jest autorem zbiorów: „*Oburącz*” (1926) i „*Śruby*” (1925). Talent to szczery, prawdziwie męski. Zwłaszcza „*Śruby*” cechuje niezwykła obrazowość i plastyka wyrazu i energja rytmu. Jako

motyw zasadniczy w twórczości Przybysia występuje „ruch”, oraz „obraz linii prostych, biegnących w dal”, wreszcie motyw „nieciągłości i przerywanego działania”.

JALU (Franciszek) KUREK pomieszczał na łamach „Zwrotnicy” tłumaczenia poezyj Marinetti’ego, by potem wystąpić jako oryginalny poeta z „Upałami” i „Śpiewami o Rzeczypospolitej”.

b) WARSZAWA.

Na gruncie warszawskim pojawiają się futuryści w roku 1919-ym. Z początkiem tego roku urządzają pierwszy w Polsce wieczór futurystyczny „Wieczur futurystyczny, użądzony przez białych mužynów” (!).

W tymże roku pojawia się mała ulotka „Tak”.

Anatol Stern wydaje swego „Nagiego człowieka w śródmieściu” i „Słońce na półmisku”. Aleksander Wat wygłasza „Ja z jednej strony i ja z drugiej strony mego mopsożelaznego piecyka”.

Pojawia się jednodniówka „Żelazne pięty”, a wreszcie pierwszy polski almanach futurystyczny „G ga”. Głoszą w nim futuryści: „Cywilizacja, kultura z ich chorobliwością na śmietnik; przekreślamy historję i potomność. Wybieramy prostotę, ordynarność, wesołość, zdrowie, trywjalność, śmiech. Burzymy wszelki mechanizm, aeroplany, tramwaje, wynalazki, telefon, Sztuką jest tylko to, co daje zdrowie i śmiech...”

Futuryści warszawscy zdobywają się wreszcie na własny organ. Jest nim „Nowa Szuka”, której jednak w ciągu dwóch lat (1921-22) pojawiły się ledwie 2 numery.

Czytamy w „Nowej Sztuce”: „Nowa Szuka pragnie być jedynie polem syntezy sztuki, która uprawnia artystę do użycia jak najszerszych środków celem stworzenia innych sensacji w sztuce niżli te, które były używane dotychczas. Nie wysuwamy programu politycznego, ani hasła pożyteczności sztuki, twierdząc, że problematy owe mogą być rozstrzygane w stosunku do pewnych szkół — lecz nie są rzeczowe, gdy chodzi o sztukę nową, powszechną, a więc demokratyczną, będącą pokarmem dla wszystkich i nie cofającą się przed użyciem dla swych efektów żadnych środków ekspresji...

Pozostawcież cokolwiek człowiekowi dziakiemu, który mieszka w każdym z nas i który krzyczy: pozostawcież coś intuicji”.

Krótki również żywot miały: „Awangarda” (1 num.), oraz „Almanach nowej Sztuki” (5 num.), w którym redakcja głosiła: „Łączy nas ze sobą to, co nas dzieli od innych ...jedność przeczenia. A idea terażniejszości zszywa nas w jedność twierdzącą”.

Grupa warszawska skupiła cały szereg poetów: **ALEKSANDRA WATA, ANATOŁA STERNA, WAŻYKA, BRZĘCZKOWSKIEGO, BRUCZA, WOJTKIEWICZA**, sekundowali jej krakowscy: **PRZYBOS, JASIENSKI, CZYŻEWSKI, PEIPER, MŁODOŻENIEC**.

Futuryzm znalazł w Polsce licznych przeciwników. Wypowiedział mu nieubłaganą walkę głośny krytyk Karol Irzykowski, zarzucając futurystom naśladownictwo — czy też nawet plagjat zagranicznych wzorów...

Jednakże do upadku futuryzmu w pierwszym rzędzie przyczyniły się rozbieżności ideologiczne, coraz bardziej zaznaczające się w grupie.

Szybko też ona ulega rozsypce, a poeci na własną rękę rozpoczynają pracę. Niektórzy z nich zupełnie porzucają szlaki futurystyczne, wchodzą na drogę kompromisu, nawracając nakoniec na utarte drogi poetyckie „Młodożeniec: „K w a d r a t y” — Stern: „B i e g d o b i e g u n a” — Przyboś: „C h a m u ł y”...).

Prąd ten, owa „poezja jutra” należy już dzisiaj do przeszłości. Można więc zdać sobie sprawę z roli, jaką odegrał w dziejach poezji polskiej.

Miał słuszność Irzykowski, kiedy zarzucał naszym futurystom zbyt dalekie posunięte naśladownictwo obcych pisarzy. Pomijając już wpływ Zachodu (Francji i Niemiec), Południa (Włoch), na naszych futurystów oddziaływali przemożnie poeci rosyjscy: Włodzimierz Majakowski, Siergiej Jesienin, Kamieński i inni.

Zbyt wiele było u futurystów polskich sztuczności, sadzenia się na niezwykłość i olśnienie „burżuja”. Na plan dalszy ustępowała treść, a pozostawała krzykliwa, pełna hałasu i pozy gadania o... niczem.

Nie wolno jednak zapomnieć i o zasługach, zwłaszcza w dziedzinie poetyckiej. Toczyli oni bój o nową formę, o nową budowę wiersza. Wywalczyli

też w poezji miejsce poczesne dla motywu „urbanizmu”.

Nie brakło też między nimi istotnych talentów, które po początkowym, futurystycznym „Sturm und Drangperiode”, otrząsnąwszy się z ekscentryczności, dały rzeczy istotnie piękne i cenne, budową swą i treścią zasługujące na wyróżnienie w powodzi poetyckiej epoki współczesnej.

* * *

Nawiązując do programu krakowskiej „Zwrotnicy”, jakby wyraz wznowionego futuryzmu (a raczej formizmu) powstała ostatnio (r. 1930) w Warszawie grupa, która przybrała nazwę „a. r.” (1).

Program swój w ten sposób określa: „podejmuje walkę o sztukę nowoczesną w Polsce — wypowiada bezwzględna walkę starzyźnie, fałszowaniu wartości artystycznych, starczemu uwiądowi pseudomodernistów, walczy o sztukę opartą na prawach niewzruszonych, jak prawa natury. — Poezja — to jedność wizji, skondensowana w maksimum aluzji wyobraźniowych i minimum słów, a nie kołysanka melodeklamacji... łączy współpracą plastykę z poezją...”

W grupie znajdujemy Młodożeńca, Przybosia i Kurka...

Pierwszy wydał „Niedzielę” — drugi „Z ponad”.

Owe tomiki są jakby ostatniem echem przebrzmiałego bezpowrotnie futuryzmu czy formizmu, których jednak nic już do życia wskrzesić nie zdoła. W chwili obecnej są one wprost jakimś przeżytkiem.

„Z ponad” samą swą konstrukcją i niezwykłym układem odstręcza czytelnika, nadaremnie doszukującego się piękna jakiegoś w zbiorku.

„Niedziela” zawiera częściowo wiersze znane już nam z okresu „Katarynki”. Mimo sztucznej formy i „specjalnego” języka cierpliwym czytelnik znajdzie w utworach Młodożeńca treść głębszą, myśl nieprzeciętną i oryginalne pomysły. Godzą nas też one z ową „oryginalną” szatą poetycką.

Filarem i teoretykiem ekspresjonizmu polskiego stał się Jerzy Hulewicz.

W roku 1917-ym rozpoczyna wydawać w Poznaniu czasopismo „Zdrój”.

Pismu początkowo brakło ustalonego programu. Łamy jego są otwarte dla wszystkich. Nie ograniczając się do młodych, ogłasza także utwory pisarzy starszych — znajdują u niego gościnę poeci „Młodej Polski”.

Licznie też reprezentowany jest w „Zdroju” dział tłumaczeń; wymienić choćby pisarzy jak: Marinetti (I), Claudel, Carducci, Rimbaud, Capek, Miłosz, Werfel i t. d., a nawet... Tristan Tzara (twórca dadaizmu).

Ze starszych znajdziemy Przybyszewskiego, Miriamę, Berenta...

Nie braknie i późniejszych Skamandrytów (Tuwim, Wierzyński, Iwaszkiewicz...), Czartakowców (Zegadłowicz, Kozikowski) i t. d.

W dziale rysunków znajdziemy również Chwistka, Czyżewskiego...

Dopiero po trzech latach istnienia zdobywa się ekspresjonizm polski na pewien program.

Twórcą programu jest Jan Stur. Mieści się on w artykułach: „Czego chcemy” i „Z manifestu nowego dnia”.

W artykule „Czego chcemy” (1920 rok *) czytamy: Ekspresjonizm jest dalszym ciągiem romantyzmu. Jest dalszym ciągiem to zn. jest dążeniem, idącym w tym samym, co romantyzm kierunku, jeno że dalej, spełniając jego postulaty w sposób bardziej konsekwentny, a tem samem bardziej radykalny. „Czucie i wiara” — powiada Mickiewicz w „Romantyczności” — „silniej mówią do mnie, niż mędrca szkiełko i oko”. Czyli to, co się we mnie dzieje, czego dostrzec, usłyszeć, dotknąć się, żadnym zmysłem uchwycić nie mogę, co jedynie odczuwam i w co wierzę, jest rzeczą prawdziwą, wznioślejszą, niż wszystkie objawy zewnętrznego, dotykającego świata. Konsekwencją logiczną wywyższenia duszy, wewnętrznych, niepodpadających pod zmysły uczuć, rozmyślań, namiętności i t. d. ponad świat materialnych kształtów, jest wywyższenie prawdy ponad piękno. Skoro uczucia nasze są rzeczą najpierwszej wagi, musimy się bezwarunkowo starać, by całe, nietknięte, żadną stylizacją, żadnem przeinaczeniem niesfałszowane, nie tracąc swego zabarwienia, ni intensywności, przedostały się z wnętrza naszego do wnętrza osób, którym pragniemy je zakomunikować. Musimy — o ile to możliwe — osłabić znaczenie Mickiewiczowskich słów: „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie” i o ile możności nie kłamać, to znaczy nie przystosowywać, nie przy-

*) Przedrukowany w książce „Na przełomie”. Lwów 1923 (str. 127).

krawywać uczuć do reguł, t. zn. piękna ograniczającego wolny sposób wyrażania się, ale przystosowywać sposób wyrażania się do szukających wyrazu uczuć. Piękno było dotąd ściśle związane z objawami widzialnej, dotykalnej rzeczywistości. A jak już zaznaczyliśmy, dla ekspresjonizmu, jako prądu metafizycznego, zewnętrżność wobec wewnętrzności jest niczem. Przeto nader łatwo może z piękna w imię prawdy zrezygnować.

Czyni to ekspresjonizm. Ale rezygnuje jeno z piękna, polegającego na jakimś tam danem ustosunkowaniu, na jakiejś tam pod zmysły podpadającej proporcjonalności kształtów, przy pomocy których wyrażają się myśli i dążenia duszy. Temu pięknu przeciwstawia ekspresjonizm piękno inne, polegające na harmonji kształtu z tem, co w kształcie chciało się wyrazić, na zupełnem dostosowaniu formy do szukającej wyrazu treści i płynącej stąd olbrzymiej improwizacyjno - mickiewiczowskiej mocy uczucia.

Nie forma, ale treść jest istotą nowego prądu!

Ekspresjonizm pragnie sprawę stosunku formy do treści rozwiązać w syntetyczny sposób. Chce, by dzieło wywierało wrażenie nie wskutek „jak” formy swojej, a bez względu na zamkniętą lub zgoła nie zawartą w niem treść, lecz wskutek „jak” wypowiedzianej się treści, która wypływa z niej niby forma postaci ludzkiej z działających we wnętrzu tej postaci sił, niby kształt kuli ziemskiej lub trójkąta z istoty tych przedmiotów jako kula ziemską właśnie i właśnie jako trójkąt...

Pragniemy uczucia swe i myśli, wywołane widokiem dookolnych zderzeń wypowiedzieć publicznie, a tak, by znalazły oddźwięk jak najgłośniejszy i jak najwierniejsze echo...

Pragniemy być ludźmi, których porywa prąd dziejących się w rzeczywistości wypadków — którym ból sprawia ludzkość staczająca się w objęcia hańby i rozwyrzenia, naród ujarzmiany, robotnik głodny, kobieta niewyzwolona..."

Warto zwrócić uwagę na akcentowanie przez ekspresjonizm związku z romantyzmem (kult Słowackiego, uwielbianie Norwida), na zabarwienie społeczne prądu, na widoczne niezdecydowanie się programowe, na brak jakiegoś ściślejszego związku między poetami „Zdroju” — na ich sąsiedztwo, częstokroć przypadkowe.

Do właściwych poetów „Zdroju” zaliczamy Jana Sturę, Józefa Wittlina, Adama Bederskiego i braci Hulewiczów: Jerzego i Witołda (Olwida).

JAN STUR, talent szczerzy, mistyk, wielbiciel Norwida, niestety przedwcześnie zmarły, obok poezyj i rozpraw krytycznych, umieszczanych w „Zdroju”, wydał osobno „Anima nostra” i „Triumfy”. Podatny przeróżnym wpływom (Heine, Baudelaire..., Norwid, Wyspiański...) przeskakiwał z tematu na temat, poszukując własnej formy.

Wierszom jego brak nuty radosnej, cechuje je jakaś dekadencja życiowa, czasem jakieś zniechęcenie. Wkroczeniu na własną drogę przeszkodziła poecie śmierć.

Prawdziwym poetą jest *JÓZEF WITTLIN*. Największym jego dziełem są „Hymny”, które — wypadek rzadki — zdobyły aż trzy wydania! Rodowód swój wywodzi Wittlin od Whitmana, Verhaerena, Rilkego, z polskiej zaś poezji najbliższy jest Kasprówiczowi, nawiązując do zerwanej nici wielkiej twórczości autora „Mojej pieśni wieczornej”.

Pełen tęsknoty za szczęściem, poszukuje poeta celu życia. Ukochał człowieka i wszechświat cały, pojął ból życia ludzkiego — od szamotania się wśród ludzi i zgrzytów dochodząc do uciszenia się w Bogu.

Język częstokroć chropawy, nieraz użyje poeta wyrazu zbyt brutalnego — podkreślić należy oryginalność obrazowania, niezwykle łączenie wyrazów zdania i ich szeregowanie.

„Hymny” jako wyraz prawdziwego uczucia pozostaną trwałą wartością w poezji polskiej.

Po „Hymnach” jednak i po pięknym przekładzie „Odysei” (1924) zamilkł Wittlin jako poeta, występując jedynie jako krytyk i publicysta.

ADAM BEDERSKI ogłosił jeszcze w roku 1913-ym na łamach krakowskiej „Krytyki” wiersz, jak na te czasy, niezwykle „Poema o człowieku zwykłym”.

Nieliczne jego wiersze drukował „Zdrój” poznański. Szybko jednak ucichł poeta, a utwory jego osobno niewydane, skryły roczniki pism.

Była to natura głęboka, naprawdę uduchowiona, brzydząca się codziennością i wszelkim konwencjonalizmem.

Utwory jego wywołują silne wrażenie sposobem malowania barwami wyteżonemi, oraz niezwykłemi skojarzeniami.

Unikając rozwlekłości, w wierszu krótkim, a zwięzłym i silnym odtwarza nieraz całe dramaty ludzkie, zdobywając się zawsze na rytm woli, tak rzadko spotykamy w poezji polskiej.

Jan Stur, najwybitniejszy krytyk „Zdroju”, tak charakteryzuje mało ogółowi znanego poetę: „Twardy w pesymizmie nieugięty. Jak łuki sklepione, jak arkady kamiennymi spoidły złączone, ciągną się jego wiersze, by przystanąć u końca każdego słów szeregu hardo i bezwzględnie. Ktoś, co już odnalazł siebie — i przeto w budowie łącznikowej zdań przebija jego — powiedziałbym — głążność. W odezwie do czytelnika pobożnego przeciwstawił metafizycznym rozhovorom „Młodej Polski” egotyczną samotni swej polegającego człowieka. Mówiąc o stosunku poety do świata — kazał nam kroczyć nie ku zbawieniu i nie ku rajom utraconym nieb wiadomych i znanych nam, ale ku strasznej zagadce Niewiadomego. I w „Spleenie” i w „Impromptu erotycznym” wybucha stromemi szczytami smutek, ale nie rozłazący się w bezmocy, jeno czerpiący z siebie nieugiętego istnienia moc, bo on jedynie jest i człowiek jedynie — a poza nimi chyba wielki znak: — pytania”...

Z braci Hulewiczów *JERZY* — dramaturg („Samskara”, „Kain”, „Wiano”, „Aruna” i t. d.) odegrał rolę jako zapalony wielbiciel wszelkiego piękna, oraz jako pionier ekspresjonizmu na gruncie poznańskim, redagując mimo mnogich przeszkód przez kilka lat „Zdrój”.

WITÓŁD HULEWICZ w poszukiwaniu piękna przemierzał szlaki literatur świata, poszukując dla swych myśli wzorów i odpowiednich form.

Pod pseudonimem **Olwid** wydał „**Płomień w garści**”, pozatem ostatnimi laty pojawiły się dwa zbiorki jego poezyj: „**Sonety instrumentalne**” i „**Lament królewski**”.

Jako poeta oryginalny nie budzi jednak **Hulewicz** wrażenia większego.

Szcześliwszy jako dobry tłumacz. **Nadewszystko** zaś umiłował **Rajnera Maria Rilke**, którego szereg dzieł z prawdziwym ukochaniem przyswoił literaturze polskiej.

„**Zdrój**” nie wykazał większej siły atrakcyjnej. Mimo wysiłków ze strony redakcji, nie skupił liczniejszych talentów; spotkał się z jednej strony z obojętnością ogółu, a z drugiej — z licznymi zarzutami i napaściami.

Wychodząc coraz nieregularniej, upadł nakoniec z braku czytelników.

Współpracowników jego następnie znajdziemy w szeregu grup poetyckich w Polsce.

a) *Pro arte et studio — Pro arte.*

Ośrodkiem najżywszego ruchu literackiego stała się Warszawa. Sprzyjały też temu warunki.

W stolicy uwolnionej z pod jarzma rosyjskiego, zakwita bujne życie.

Narodziny państwowości polskiej, świeżo wskrzeszone szkolnictwo polskie, średnie i wyższe. czynią z Warszawy centrum kultury, ściągające z całej Kongresówki, a nawet i najdalszych części Polski ludzi nauki, uczonych, mnogie talenty w dziedzinie sztuki i literatury.

Popularny w latach wojennych w Warszawie, artystyczny kabaret „Picador” skupił liczny zastęp utalentowanej młodzieży akademickiej, zasilającej teatrzyk żartem, satyrą, wesołą piosenką. Skupienie to od nazwy kabaretu przybrało wkrótce nazwę „Picadorczycy”.

Organem „Picadorczyków” staje się założone w marcu 1916 roku czasopismo literackie „Pro arte et studio”. Po kilku numerach opuśczone drugą część tytułu, ograniczając się do wyrazów „Pro arte”.

Jako redaktor podpisywał pismo Edward Boyé, utalentowany poeta („Sandał skrzydlaty”) i tłumacz licznych dzieł z literatury romańskich.

Wśród współpracowników „Pro arte” znajdujemy Juljana Ejsmonda, Juljana Tuwima, Jana Lechoń, Zygmunta Karskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Antoniego Słonimskiego..., przyłączają się do młodzi i starsi (Kleszczyński...).

W artykule programowym podkreślało pismo wyjątkowość chwili dziejowej, w jakiej znalazła się Polska.

„Literatura jej znajduje się w okresie przełomowym, w okresie rewizji programów, w przededniu wyboru nowych dróg”.

Głosi program Picadorczyków wzniosłe hasła czystej sztuki i zapowiada walkę o nią.

Edward Boyé w „Przedśpiewie” powiada: „Umiłowana Ty sztuko jedyna — abyś nie szczęściem była, nie weselem, lecz twardą pracą człowieka olbrzyma”.

Jan Lechoń, wykazując jałowość, przypadkowość i bezideowość literatury polskiej z ostatnich lat dziesięciu, akcentuje konieczność nowej literatury, odpowiadającej zmienionym warunkom życia narodowego. Namiętnie też potępi tony przewodnie twórczości „Starej Polski”, z jej nutą smętno-patrijotyczną, krzykliwym sentymentem, z bezmyślnością nastrojową. Wierzy też głęboko, iż po zburzeniu dotychczasowych wartości, narodzi się nowa, inna Polska.

Za wyraz marzeń i dążeń poetów zgrupowanych w „Pro arte” uważać możemy dwa wiersze poety,

zapowiadającego wielkiej miary talent — Juljana Tuwima: „Modlitwa” i „Teofanja” (maj 1916 r.). W „Modlitwie” woła poeta: „Daj mi wytrwanie i sił wiele, Boże, co będzie trwożne i szalone — daj mi poczynań płomiennosc i nieugięta ku sobie wolę”.

Mieści się w niej i groźba: „Ale pamiętaj, gdy padnę, nieszczęście moje, olbrzymie w twarz cisnę Ci, Boże! wiedz: w górę wzniosę dwie żelazne pięście, Oczy spłomienię, spojrzę i zagrozę”.

W „Teofanji” przeczuwa poeta nadejście „poezji nowej”. „Jak daleka łuna czerwieni się olbrzymia moc błyskawicowa”. Widzi już ją „święta wizjo złotostruna”. Już świta, już idzie! Nie dostrzegł jeszcze jej oblicza, z którego „Bogiem tryśnie wieków treść ukryta”. A jednak wie

„że będziesz szalona, będziesz tajemnicza,
O duszo, która idziesz! w której przyszłość świta”.

— Imię jej brzmi groźnie i twórczo „Jestem”.

Obejmie ona sobą wszystko. „Tyrańsko potworna” zjawi się światu „Ognia manifestem”.

„Przyszłam po sny szaleńców — ksieni niepokorna”

Trudno jednak powyższe głosy najmłodszych uważać jeszcze za jakiś program!

W słowach gromkich, potępiając przeszłość, ograniczają się Picadorczycy wyłącznie do negacji

dotychczasowych wartości, właściwie nie rzucając ze swej strony nowych haseł, nie poruszając nowych zagadnień.

Nie jest to bowiem zgoła nowe hasło uwolnienia poezji od jakiegokolwiek tendencji, ani twierdzenie, że nie powinno się poświęcić wartości artystycznych na korzyść służby narodowej. Wszak kult piękna i pielęgnowanie czystej sztuki znalazły już pełny wyraz na łamach „Życia” w Krakowie i „Chimery” Przesmyckiego w Warszawie jako jedno z naczelných wskazań „Młodej Polski”.

Pod pewnym więc względem możnaby poezję Picadorczyków uważać za kontynuację wielkiej twórczości „Młodej Polski”.

Na każdym też kroku da się stwierdzić wpływ Leopolda Staffa, cenionego bardzo przez „najmłodszych”, a w rocznikach w „Pro arte” znajdziemy również rozprawy poświęcone Wyspiańskiemu i Kasprowiczowi, będące wyrazem głębokiego kultu młodzieży dla autora „Nocy listopadowej”, czy twórcy „Mojej pieśni wieczornej”.

Ze strony obcych: poeci francuscy (Verhaerem, Rimbaud), rosyjscy (Majakowski, Jesienin...), angielscy (Whitman), włoscy (Marinetti), egzotyczni (Rabindranath Tagore) i t. d., i t. d. należą do tych pisarzy, których wpływy można wykazać w twórczości zrzeszonych w „Pro arte” poetów warszawskich.

Nie można jednak mówić o naśladownictwie niewolniczym, o przejmowaniu dosłownem obcych motywów.

Mamy do czynienia z talentami rzetelnymi, z indywidualnościami bogatymi.

Każdy też nowy numer „Pro arte” był dowodem radosnego rozkwitu poezji „Najmłodszych”.

Po trzech latach istnienia przestaje wychodzić „Pro arte”.

Współpracownicy pisma „młodziży akademickiej” przechodzą do nowego organu „poezji”, którego pierwszy numer pojawił się w styczniu 1920 r. w Warszawie.

b) SKAMANDER.

W ciągu 8 lat istnienia pojawiło się 56 numerów „Skamandra”.

W pierwszym numerze styczniowym oświadczał „Skamander”, że „nie występuje z programem, gdyż programy są zawsze spojrzeniem wstecz, są dzieleniem nieobliczalnego przez znane”, zarazem w słowach poniższych kreślił czytelnikowi swoje credo poetyckie:

„Wierzymy głęboko w dzień dzisiejszy, którego dziećmi wszyscy się czujemy. Nie chcemy przeoczyć zła, ale miłość nasza jest nad wszelkie zło silniejsza: dlatego kochamy dzień dzisiejszy niezachwianą pierwszą miłością, jesteśmy i chcemy być jego dziećmi. Nazbyt silnie związaniśmy z okrwawionym globem, aby móc odeń ulecieć w kraj „pięknej ułudy” i nazbyt silnie wie-

rzymy, iż Królestwo Ducha jest Królestwem z tego świata, że nim będzie i być musi. Dla tej miłości gotowimy nawet nie przerazić się zarzutu, że nie dajemy nic nowego i powtórzyć stary okrzyk o bryle świata, którą nowemi tory mają pchnąć nasze ramiona. Jeśli jest to banalnością, chcemy być banalni, lecz nie zdradzimy serc dla nowinek. Największą nowiną jest cały dzisiejszy świat, jest życie współczesne, jesteśmy my sami, kto dla siebie przestał być nowiną, ten jest upiorem pomiędzy żywymi, choćby z krzykiem życie udawał. Lecz raz jeszcze rzucając dawne hasła, świadomi jesteśmy, żeśmy o sto lat starsi, że słowa nasze są inne, choć brzmienie to samo, że nadeszły inne czasy, które w starym symbolu ujrzyć pragną i muszą nową treść. Wierzymy w dzień dzisiejszy, w jego wartość, osobliwość i powagę, wierzymy we wstającą nową sztukę, która będzie krzykiem tego pokolenia, a świadectwem o nas przed potomnymi, żeśmy naprawdę byli. Wierzymy niezachwianie w wieczność naszej teraźniejszości, w nieskończoność skończonej duszy ludzkiej, w nieprzemijanie przelotnych słów, w niezniszczal-

ność kruchych kształtów. W tej wierze chcemy być słowem dnia dzisiejszego, chcemy tworzyć i budzić zachwyty nowoczesnego człowieka, chcemy w dziele naszym zawrzeć świadomą lub nieświadomą siebie jego i naszą miłość, chcemy śpiewać nowy świat i uczyć go pieśni o sobie. Chcemy raz jeszcze, ale raz jedyny ukazać wiośniany oddech poranków i płynny smutek wieczorów, dziki marsz żelaznych pociągów i rezedowy zapach księżycowych światła, rozwichrzony zgiełk wielkomiejskiej ulicy i miękki spokój białych domków przysłoniętych sadami — wszystko to wchłonąć w siebie i mówić słowem prostym, a szerokim, jak rozwarcie matczyńskich ramion. Chcemy być poetami dnia dzisiejszego i w tym nasza wiara i cały nasz program. Wiemy, że wielkość sztuki ujawnia się nie w tematach, ale w kształtach, jakimi się wyraża, w tej przenajlżejszej i nieuchwytniej grze barw i słów, która surowe przeżycie zmienia w dzieło sztuki.

W tej grze, w wysiłku kryjącym się poza wietrznymi jej formami, chcemy być uczciwymi pracownikami.

Wierzymy niezachwianie w świętość dobrego rymu, w boskie pocho-

dzenie rytmu, w objawienie urodzonych w ekstazie obrazów i wykutych w pracy kształtów...".

Podkreślając więc „dzisiejszość swej poezji”, pragnął Skamander zachować złoty środek, z jednej strony odzęgnywując się od radykalnych prądów Zachodu (futuryzm), z drugiej zaś strony, nie chcąc mieć do czynienia z tradycjonalizmem poezji „starych”.

W rzeczywistości zaś poezja Skamandrytów — to... dalszy ciąg „Młodej Polski”, z jej symboliką, wirtuozostwem formy, bajeczną kolorystyką i muzykalnością, a jak powiadają sami, to „synteza starych i nowych pierwiastków”.

Owe nowe pierwiastki — to elementy ekspresjonistycznego urbanizmu (jak program głosi: „...dziki marsz żelaznych pociągów... rozwichrzony zgiełk wielkomiejskiej ulicy...”).

Można stwierdzić organiczną łączność „Skamandra” z twórczością Wyspiańskiego, Kasprowicza, Żeromskiego — ojcem duchownym Skamandrytów można nazwać Staffa... Wpływ niezaprzeczony wywarła również prześliczna „Łąka” Leśmiana.

Na każdym też kroku na kartach Skamandra stwierdzimy prawdziwy kult wielkiej poezji, oraz entuzjizm twórczy, wyrosły na podłożu nieprzemijających wartości rodzimych i obcych (Rilke, Rimbaud, Tagore, Whitman, Majakowski, Balmont, Jesienin...).

Spotkał się też Skamander z życzliwym przyjęciem ze strony „starszych”, których nawet znajdziemy wśród współpracowników pisma (Nowaczyński, Irzykowski...).

Nie dając więc nigdy ściśle zarysowującego się programu, rozwijając się w rzeczywistości po falistej, naogół niezdecydowanej linii upodobań, zespolił „Skamander” przeróżne indywidualności twórcze.

O przyjęciu do grona współpracowników „Skamandra” decydowało jedynie „pewne minimum talentu”.

Mamy więc i „starszych” (Irzykowski, Nowaczyński, Bandrowski, Winawer, Kleszczyński...) i przedstawicieli skrajnego obozu futurystów (Stern, Wat, J. I. Witkiewicz), Zdrojowców (Wittlin) — znalazł się na łamach pisma i Feliks Przysiecki, ogłaszający utwory jeszcze w „Tece” lwowskiej (!) — i cały zastęp najmłodszych (Baliński, M. Braun, Wołoszynowski...), i poetów „proletarjackich” (Stande, Broniewski...), i niezwykle talenty kobiece (Pawlikowska...) i t. d., i t. d.

Jest Skamander albumem współczesnej poezji polskiej, księgą, mieszczącą na swych kartach utwory najwybitniejszych przedstawicieli literatury polskiej, częstokroć wielkiej miary talentów!

Do grupy Picadorczyków (następnie Skamandrytów) — odrzuciwszy tych, którzy znaleźli na łamach pisma przygodną tylko gošcinę — zaliczamy: Iwaszkiewicza, Lechonia, Słonińskiego, Tuwima, Lieberta, Wierzyńskiego, Rytarda, Podhorskiego-Okołowa, Karskiego Zyg., Karskiego Mich. Gabr., Brzechwę, Brauna Miecz., a z najmłodszych: Balińskiego, Wołoszynowskiego, Jastruna, Wittlina T., Stycza, z poetek: Tuwimównę Ireń, Pawlikowską Marię...

W luźnym stosunku do Skamandra pozostawał dawny Picadorczyk Julian Ejsmond.

NAJWYBITNIEJSI POECI SKAMANDRA

Do najwybitniejszych talentów należą: Iwaszkiewicz, Lechoń, Pawlikowska, Słonimski, Tuwim, Wierzyński.

1. JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Pisze wierszem i prozą poetycką; jest autorem kilku powieści, „tragedji romantycznej”, oraz wytwornym eseistą na tematy muzyczne (!) i literackie.

Zwrócić należy uwagę na oryginalny styl poetycki jego utworów. Wielkie bogactwo porównań — przenośnie nadzwyczaj śmiałe, pełne plastyki i nadzwyczaj barwne, udział pierwiastka fantastycznego i symboliki, naśladownictwo zapomocą słowa kompozycji muzycznych, obrazowość, w której znajdziemy sceny słoneczne, pełne pogody, a obok nich jakieś wizje okropne, obrazy wprost niesamowite, sceny budzące lęk i zgrozę — oto najcharakterystyczniejsze cechy wiersza i prozy Iwaszkiewicza.

W roku 1919-ym wydał tomik utworów „O k t o s t y c h y”. Poeta w ten sposób określa tę formę:

*Czasem spokojny smęt przez chwilę mi zamąca
Jesienny złoty grot zachodzącego słońca.*

*Dusza czująca ma odwiecznych wspomnień echa,
Do tych świetlanych plam łagodnie się uśmiecha.
Z promieni dobrych tych samotnej mojej psychy
Rodzi się perła rząd, nizane oktostychy.
I gdy przychodzi znów dni bezsłonecznych bladeść,
To w naszym życiu tym jest cała moja radość.*

— a więc mówiąc poprostu: ośmiowersz rymowany parami!

Mistrzowska forma, czasem aż zbyt wyrafinowana cechuje jego dalsze utwory poetyckie („Dionizje”, „Kasydy”, „Księga dnia i nocy”).

Zdaje się nam czasem, iż w Iwaszkiewiczu kryje się dwóch ludzi: jeden — syn stepów ukraińskich, z duszą kresowca rozlewną, sentymentalną — drugi ironicznie uśmiechnięty, z szyderstwem sądzący ludzi i ich sprawy.

A czasem niespodziewanie otworzy się przed nami cicha, skupiona dusza poety, który wówczas powiada:

„Bo sens nie w szarpaniu, ani jest w radości, ale w cierpliwości i wielkiem czekaniu”. — „Tęsknię bardzo za błękitną dalą i za stepem równym i bezdrzewnym. I za nieznanym mi człowiekiem tęsknię pewnym...”

A kiedy się znajdzie na „Cmentarzu na wiosnę”, stwierdzi:

„Czemże moja zaduma przy smutku tych, co leżą i śpią już. Wobec tej cichej wielkości małość mą w dłoni ważę, jak umarłego skowronka, którego burza przybiła”.

Ma jednak poeta nadzieję, „że kiedyś, kiedy me ciało w grobie się ciężkim spopieli, miłość ta rozproszona prawdziwy swój kwiat przywdzieje i jedynym jedynym kwiatem z mogiły w niebo wystrzeli”.

A w „Piosence do umarłej” powie: „Wszystko jest od Boga i do Boga droga... Wszystko trwa tak krótko, ja się też do ziemi przytulę cichutko...”

Ulubiona przezeń jest proza liryczna, pozostawiająca moc swobody w posługiwaniu się słowem i pozwalająca na przeróżne kombinacje muzyczne zdań.

Jeden z pierwszych posługuje się na wielką skalę asonansami. *) Zapomocą rytmu wiersza umie oddać i tęskną zadumę i melancholję i raz po raz rodzącą się rozterkę wewnętrzną... Mimo pozornej sztuczności poezja Iwaszkiewicza jest naprawdę poezją prostoty!

Juljan Kołaczkowski nader trafnie charakteryzuje poetę w tych słowach: „Jest on poetą niepochwytneho czaru rzeczy minionych i melancholji daremnych pragnień. Bywa i po epigońsku przerafinowanym, mgławicowym impresjonistą w malowaniu w couleur locale, i dandysem-sztukmistrzem kochającym się w miniaturowych robotach i czystym lirycznym niezwalczonej, śmiertelnej melancholji” **).

Poeta to prawdziwy, jeden z najprzedniejszych!

*) Patrz rozdział „Nowe rymy”.

***) Współczesna literatura polska. Feldman, uzupełnił Kołaczkowski 1930. str. 659.

2. JAN LECHOŃ

Najmniej płodny poeta z grupy Skamandra, jeden z najgłębszych.

Osobno wydał ledwie — by pominąć utwory satyryczne — dwa tomiki poezyj: „Karmazynowy poemat“ i „Srebrne i czarne“.

Pełne niewypowiedzianego czaru i bogactwa myślowego, wolne od pustego frazesu, a zarazem prostotą swą i głębią poetyckiego na świat spojrzenia niezwykle, czynią Lechońa jedną z czołowych postaci grupy.

Z przedziwną też intuicją wczuł się poeta w ducha przeszłości, pełen dojrzałości myślowej wniknął w przepastne tajnie duszy ludzkiej, stwarzając żywych ludzi.

Pierwszy swój zbiorek poprzedził Lechoń wierszem „Herostates“.

Występuje w nim poeta jako nieubłagany wróg przeszłości i tradycji. „Zwalczcież mi Łazienki królewskie w Warszawie, bezduszne, zimnym rylcem drapacze marmury. Pokruszcież na kawałki gipsowe figury, a Ceres kłosoñośną utopcie mi w stawie“.

Niech też w zapomnieniu pogrążą się wspomnienia przeszłości dziejowej Warszawy!

„Jeżeli gdzieś na Starem pokaże się Mieście i utkwi w was Kiliński swe oczy zielone, zabijcie go!“.

A pragnienia poety? Nie chce on niczego innego, „niech jeno mi płacze jesiennych wiatrów gędźba w półnagich bądylach, a latem niech się słońce

przeogląda w motylach, a wiosną
niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczą”.

Nietylko jednak burzyć pragnie poeta: „Bo
w nocy spać nie mogę i we dnie się
trudzę myślami, co mi w sercu wzra-
stają zwątpieniem i chciałbym raz
zobaczyć, gdy przeszłość wyżeniem,
czy wszystko w pył rozkruszę... czy
Polskę obudzę”. A więc chciałby stwarzać
nowe siły, zrodzić nowe życie. Jego twórcami byli-
by młodzi, budujący przyszłość własnym trudem —
podczas gdy dotychczas „rozsiadła się nam
Polska papuga wszystkich ludów w
cierniowej koronie — a my? jak wspo-
mnieniem dawnych bogactw żyjący
ubogi”.

Potępiając przeszłość, z drugiej jednak strony
sięga do tej przeszłości. Najlepsze też wiersze Le-
chonia oparte są na motywach literackich — tema-
tach zaczerpniętych z historii, literatury i sztuki.

Z niezwykłą naprawdę intuicją wniknął poeta
w tę przeszłość.

Dowodem tego choćby przewspaniały poemat
o „Mochackim”, owej wielkiej postaci czasów
powstania listopadowego. Sięga zarazem poeta i do
teraźniejszości, dając obrazy zbiorowisk ludzkich
(„Sejm” z symbolicznym Zagłobą), jak i pojedyn-
czych postaci. Obdarzony tak rzadką w młodym wie-
ku dojrzałością umysłu, wnika w duszę swych bohate-
rów, stwarzając pełne siły, wyrazistości i ekspresji
portrety („Piłsudski”, „Mochacki”, „Po-
lonez artyleryjski”).

Wielkie bogactwo myśli cechuje drugi jego zbiorek „Srebrne i czarne”.

Utwory w nim zawarte, pełne przedziwnej harmonji dźwięku i wyrazu — to poezja na wskroś filozoficzna! Brak w niej nuty radości, przeważnie panuje smutek. „Pytasz, co w mojem życiu z wszystkich rzeczy główne? Miłość i śmierć, ci powiem — obydwie zarówno. Jednej oczu się mądrych, drugiej czarnych boję, te dwie są me miłości i dwie śmierci moje. Śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci”.

W „Toaście” powiada Lechoń: „niech nas trupiospokojnych pochłonie noc ciemna, a łopata grabarza milczących zasypie”.

Męczy poetę życie. Spragniony spoczynku zwraca się do Boga z prośbą: „Bładym uczyni nas rankiem wschodzącym na niebie, obłokiem, co w południe leniwo przepływa, woalem czarnej nocy, co ziemię nakrywa — oswobodź nas od duszy i wybaw od siebie”.

Daleki jest jednak Lechoń od rezygnacji i bierności życiowej. Powraca дума i hart ducha. Nie podda się przeciwnościom losu: „Do końca bić się będę z falami wściekłemi, a śmierć niech mnie potarga jak żagiel rozpięty”.

Poezja ta — powiada K. W. Zawodziński — jak srebrne i czarne ozdoby pogrzebowe nieposzlakowanie jednolite.

Zdobył Lechoń rozgłos niezwykle wczesną dojrzałością artystyczną. Szeroka skala zainteresowań społecznych, bujny temperament przy fenomenalnym w tak młodym wieku wyczuciu tradycji narodowych, pełen szlachetnego patosu ton jego wierszy patriotycznych dały wstępnym bojem Lechoniowi czołowe miejsce w liryce współczesnej — widziano też w nim najbardziej polskiego poetę.

Niestety poeta to mało płodny. Być może, iż przyczyną tego przedwcześnie rozwinięty intelektualizm, tłumiący twórczość poetycką. Podobne wiersze jak „Na śmierć Konrada”, czy też wiersz na cześć Prousta dowodzą tego, iż u Lechonia uczucie i wyobraźnia podporządkowane są intelektowi — jest on bodźcem wszelkich wzruszeń poetyckich!

Poeta to jednak o nieograniczonych jeszcze możliwościach rozwoju!

3 MARJA PAWLIKOWSKA

Wielkiej miary talentem poetyckim, pełnym rozędu i bujności życiowej jest Marja Pawlikowska. Do rzadkości w twórczości jej należą wiersze dłuższe, kilkudziesięciowierszowe — przeważnie mamy wiersze krótkie, nadzwyczaj zwarte, znakomite w ekspresji, niezmiernie śmiałe w swoich niespodziewanych skojarzeniach i nieoczekiwanych skrótach porównawczych.

Arcydzielami Pawlikowskiej są jej minjatury poetyckie. Do mistrzostwa dochodzi poetka w operowaniu najoszczędniejszym materiałem w lapidar-

ności słowa. Jeżeli zaś przytem stwierdzimy brak wszelkiej sztuczności, a wzamian prostotę i lekkość obok przepychu metrycznego i stroficznego — otrzymujemy dzieło poetyckie niecodziennej kultury, owoc prawdziwego talentu twórczego, pasującego Pawlikowską na wielką poetkę.

Dorobek jej poetycki nader bogaty obejmuje dotychczas osiem tomików.

Pierwszy „Niebieskie Migdały” pojawił się w roku 1922. Od tego czasu wyszły: „Różowa Magja” — „Pocałunki” — „Wachlarz” — „Dancing” — „Cisza leśna” — „Paryż” — „Profil białej damy”.

Najdoskonalszym rodzajem jej poetyckim są epigramaty, odznaczające się nieskazitelnym mistrzostwem formy.

Wymienić tutaj należy w pierwszym rzędzie zbiorki „Pocałunki” i „Dancing”.

Tyle w nich nowoczesności, obok prawdziwie klasycznej dojrzałości formy!

A poprzez pogodny humor, z jakim poetka odnosi się do życia i człowieka, przegląda zwykle myśl głębsza, często przebija stosunek pesymistyczny do świata ludzkiego i stwierdzenie odwiecznego istnienia zła. Nie jest to jednak gorycz, czy jęk i krzyk bólu — to tylko proste wykazanie faktu, to tylko zwykłe przedstawienie życia ludzkiego, w którym „zachwyty pełen dzikiej trwogi, skrywa w sobie rezygnację posępną” — a „nuty życia czyż nie są dzikie i życie nie jest zamętem i krzykiem — przecież przyszliśmy na świat wśród takiej mu-

zyki" — „Ach, jak słodko jest leżeć! Ach, jak słodko nie żyć!" — „Żeby wzlecieć wysoko, trzeba upaść nisko". „Cichy dzień. Dzień przytułek. Litościwy szpital. Leży pani ginąca od śmiertelnej rany. Ktoś się nad nią pochylił. Czy śpi, ktoś zapytał. I któż jej to uczynił? Któżby? Ukochany! Cichy dzień. Biały szpital. Śnieg za oknem. Zima. Rząd godzin pielęgniarek przy łóżku się zmienia. Szepcą: czy jest nadzieja? Wzdychają, że niema. Czas w białym kitlu nie chce podjąć się leczenia".

W tych to chwilach znika klasyczny spokój, pierzcha owa, zda się, beztróska piosnka poetki, przenika zaś wiersze pełna bezpośredniego liryzmu nuta tęsknoty i melancholji, przemawia do czytelnika nie tylko myśl, lecz i serce, otworzy się nieoczekiwanie przed nami... pełna kobiecej uczuciowości dusza Pawlikowskiej.

4. ANTONI SŁONIMSKI

Talent to wielostronnie uzdolniony. Obok kilku tomów poezji ma w swym dorobku twórczym i obszerniejsze poematy, powieści, dramaty — prowadzi wreszcie stałą rubrykę teatru na łamach „Wiadomości Literackich".

Temperament niezwykle, zawsze skory do zadawania cięć i rąbania na prawo i lewo, oraz do zrzęznego parowania wrogich ciosów.

Świetny polemista, niepohamowany i gwałtowny, nader zjadliwy, bezwzględny jednak w szczerości swych wyznań.

Nie umie ukrywać swych sympatyj i animozyj, zwalczając raz po raz jakąś wielkość patentowaną jakies uznane powszechnie „arcydzieło”.

Pierwszorzędny to stylistą i mocarz języka.

Język jego jest pełen swoistego dźwięku i emocjonalnego napięcia. Prostym i niewyszukanym słowom umie nadać ton przez siebie zamierzony. By zongler, igra wprost wyrażeniami i zwrotami, przechodząc wszelkie możliwe skale, co chwila czyniąc wypadki przeciwko mnogim, przeróżnym przeciwnikom, gromiąc, obalając, szydząc, koląc.

Tkwiąc zaś w rzeczywistości, niezmiernie czuły na wszelkie zjawiska aktualne, staje się często ich krzywym zwierciadłem.

Najbardziej namiętny, pełen wprost żywiołowej pasji, kiedy przemawia w sprawach społecznych.

Wróg warstw nierobotniczych, umie jednak potępić i tych, którzy w Rosji w utworach swych bezkrytycznie wielbili krwawe rządy sowieckie.

W wierszu „Do poetów bolszewików” wypomni im, iż rozpostarli się za stołem braci rozstrzelanych.

Stanie się też ostatecznie wrogiem wszelkiej rewolucji, wszak „niema równości, wolność ginie w rewolucyjnych trybunałach — wroga zaś jest krew, płynąca w ciałach, ale braterska, skoro płynie”.

Obok nuty społecznej i religijnej (Życie człowieka na ziemi a „Bóg miłości”), oraz motywu

urbanizmu wybitną rolę w twórczości Słonimskiego odgrywa egzotyka.

Liczne podróże dostarczą poecie silnej podnieci twórczej. Tak powstaną pełne obrazowości zbiorki „W drodze na Wschód” — „Z dalekiej podróży”, w których mamy tak wspaniałe wiersze jak: „Deszcz zenitalny” — „Wiatr i morze” — „Oczy — „Miłość i podróż” — „Noc” — „Praca słońca” — „Orient”...

Szyderczy wróg wszelkich miernot umie jednak ocenić i prawdziwą wielkość, bez względu na jej narodowość, w słowach pełnych podziwu dając wyraz swemu uwielbieniu.

Tak powstanie przepiękny wiersz „Mickiewicz”, o którym poeta powie: „Tys mnie najpiękniejszymi przykuł łańcuchami, tys dla mnie słowo pierwsze, pierwszy człowiek Adam! Tyżeś mnie wyrwał z ziemi, uskrzydlił słowami, i dumny jestem z mocy, którą i ja władam”.

Na śmierć Conrada napisze Słonimski podniosłą pieśń pogrzebną, głosząc: „Na wyspy dalekie odpłynicie, w marynarską ubierzcie go kurtę i w żaglowe płótno owińcie, potem rzućcie go prosto za burtę. Bo tam w kraju dalekiej tęsknoty — modremi szklistemi falami odda mu wszystkie pieszczoty morze, płaczące perłami”.

Uwielbiać będzie śmiałego „Stanleya”, napisze „Odeę o Allanie Gerbault”...

Czasem zgoła niespodziewanie odkrywamy w duszy poety jakąś rozterkę — jakieś rozdwojenie — nostalgię za czemś nieznanem — wówczas, kiedy-byśmy się już spodziewali równowagi i jednolitości uczuciowej. Za tonem szyderczym, za nutą zjadliwą stwierdzimy obecność liryzmu i... serca.

Na modłę Juljuszowego „Smutno mi Boże” skarżyć się będzie „że tam się urodziłem, gdzie przyjąć mnie nie chcą, że kraj ojczysty kiedyś był piękny w legendzie, że mnie przeklina język, w którym tworzę, smutno mi Boże”.

A chociaż czasem rzuci wyznanie człowieka, którego ojczyzną świat cały: „Gdziekolwiek pójdę, w jaką drogę mglistą — czy pod słodkim błękitem, czy pochmurnym niebem, wszędy odnajdę mą ziemię ojczystą, każdy chleb będzie mym rodzinnym chlebem”, to jednak na myśl o pogrzebie poleca ciało swe wieźć i pochować w Warszawie: „Oddajcie mnie pod niebo ojczyste i dżdżyste, zagrzebcie pod trotuar w samym środku miasta”.

Jako poeta poszukuje Słonimski własnej formy, stara się zdobyć własny styl i nadać utworom swym własny wyraz.

Odczuwamy też w pełni, że znajduje się jeszcze poeta w poszukiwaniu drogi, że przedsięwzięcie wciąż przeliczne próby, by dojść do upragnionego... celu.

5. JULJAN TUWIM

Czołowym poetą Skamandra, uznanym przez grupę za swego wodza jest Julian Tuwim.

Już w pierwszych utworach, ogłaszanych w „Pro arte” okazał niezwykłą indywidualność poetycką, a każdy nowy wiersz, każdy pojawiający się tomik świadczył o coraz bardziej potężniejszym talencie.

W „Teofanji” głosi: „Idziesz! Przeczuwam Ciebie! Jak daleka łuna, czerwieni się olbrzymia moc błyskawicowa! Widzę cię, święta moja wizjo złotostrunna! Widzę cię — świtasz — idziesz. O Poezjo Nowa”. Wie poeta, że będzie ona „szalona — tajemnicza” — że „obejmie sobą wszystko, tyrańska, potworna” i objawi się światu „Ognia manifestem”.

Za „Confiteor” poetyckie Tuwima można uważać wiersz „Poezja” — pomieszczony w zbiorze „Czyhanie na Boga”.

Według poety poezja jest to „skok barbarzyńczy, który poczuł Boga”. Nie wzywa poeta z przeszłością, widzi jej piękno — życie jednak ma swoje prawa, pęd życia porывa człowieka, „skacze się, śpiewa szuka nowych dróg”. Nie stracił czarę romantyczny smęt róż i słowików, rusalek i goplan, Lecz coraz szybciej warczy życia pęd: Tam gdzie jest księżyc, jest i aeroplan”.

Do głosu teraz przychodzą masy — dla nich poezja: „I przechodniom ma być wolno żyć”. Pieśń staje się śpiewem powszechnym. „Gromada śpiewa — współczesności chór, tłum ekstatyczny, który w bezmiar urósł”.

A cele poety? „Chcę moje tańce, żale i zachwyty, smutki, spojrzenia, szaleństwa i burze, tęcze, koszmary, jesienie, podróże, noce, księżycy, wichry i błękity, pożary, gniewy, przemknienie i cienie, rozpusty, słońca, zwycięstwa i róże, przepaści, zbrodnie, niziny, przestrzenie — wszystko na moje wyprowadzić szczyty, wszystkimu chcę dać — Równouprawienie—”.

Wpływów też żadnych się nie lęka! „To dumam moja, że Bożych olbrzymów uczniów się stałem!”

Zbliża się chwila „Poezji nowej”. „Wkrótce się zespoli Myśl i żelazo, westchnienie i Miasto! Narodzi się Nowy Bóg — „Nowy Chrystus”.

Przeczuwa poeta, że nadchodzą wielkie sprawy. Ogarnia go radość niezmierna, oddycha „pełną pierśią” — „tak mi radośnie, radośnie, radośnie — jest mi ogromnie i powszechnie”.

„Triumfuję, szaleję z radości, upiłem się światem Bożym, pokochałem ostateczną miłością”.

Wierzy też niezłomnie poeta, że „Twórczość moja precz rzuci nakaz dawnych wiar — ogarnie Wszechbędący Byt — będzie stolicom ducha zapowiadać świt i na Twoje witanie o Idący, dzwonić!”

W wierszu tym najpełniej wyraził Tuwim marzenia i tęsknoty, dążenia i główne motywy najmłodszej poezji polskiej powojennej!

W ciągu lat dziesięciu wydał Tuwim sześć tomów poezyj. Po „Czyhaniu na Boga”, wydanym w r. 1918, ogłosił zbiory: „Siódmą Jesień” — „Sokrates tańczący” — „Wierszy tom 4” — „Słowa we krwi” — „Rzecz czarnoleska”.

Zasadniczym tonem poezji Tuwima jest radość, przenikająca jego duszę. Młodość bujna, bańczuczna, nie uznająca żadnych przeszkód, zrywająca wszelkie tamy ponosi poetę, którego poezja odzwierciedlać też będzie „Wieczną zmienność bujnego rytmu życia”.

Zetknięcie się poety ze światem jest dlań źródłem prawdziwych, a głębokich wzruszeń. Budzi się cichy, ukojny smutek wspomnień „Dzieciństwa” z „tamtych lat niedośpiwnych z przed dziesięciu, z przed piętnastu” — kiedy ślęczał „Nad Cezarem”, „kiedy kino nazywało się bioskop”, kiedy ugaśniał się za motylami — owych „dni utraconych, ukochanych” pierwszej miłości („Berlin 1913” — „Wspomnienie”).

Pełną wspaniałych barw i tonów, niewypowiedzianego wprost wdzięku jest liryka miłosna Tuwima.

Melodyjna i śpiewna, czasem delikatna by puch łabędzie, a czasem brutalna i namiętna...

Przyroda — jej bujna rosność i płodność znalazła również w Tuwimie świetnego piewcę.

Opisuje poeta, jak „rwał dziś rano ciemno-czerwone czerleśnie — w ogrodzie było ćwierkliwie, słonecznie, rośnie i wcześniej”.

„Białe akacje tchną wonią opita pod nocą srebrno modrą”.

„Rzy z rozkoszy, gdy deszcz rzęsisty zieleń zalewa — ciężar liści cieszy. W lesie pachnie miękkimi grzybami, gałązki skrzypią — trzeszczą, słońce chlusnęło, wylało — zaświergotało, załkało; frunęło śpiewem z wierzchołka. A „na gałązce usiadł ptak, zaszczebiotał, zatrzepotał, potem z świstem frunął w lot, a gałązka jeszcze drży, uradowana...”

Obok tej sielanki poranku wiejskiego widzi równocześnie Tuwim w przyrodzie żerowisko bujne, pełne zwierząt i drzew, jej słodką tłustość i płodną siłę. W odtworzeniu wrzącej i żywej mocy jarej ziemi „nabrzmiałej nową płodną siłą” nie zawaha się użyć brutalnego obrazowania: „Ty bujna, gorąca i mleczna. Ty wypierśna młoda i soczysta Babo wieczna, babo rozłożysta. O radości nieskończonej zdroje...”

Tuwim jest niemniej byстрыm obserwatorem życia. Aż do szczegółów odtwarza nędzne i ponure strony świata. Dla biednych i nędzarzy odczuwa głęboką litość — serce się w nim krwawi. Dla bezlitości paskarza, obojętności chamskiej, sytości mieszczańskie] odczuwa pogardę, budzi się w nim oburzenie.

Jedyną radą — zdaje się pocie — natychmiastowa rewolucja socjalna — stąd powstaje szereg wierszy o zabarwieniu polityczno - partyjnym („Krwawy chleb” — „Do Jenerałów” — „Symfonia wieków” — „Skwar nędzarzy”).

Współczuje Tuwim wszelkiej niedoli, wzrusza go każde cierpienie ludzkie („O chorym synku” — „Chore na serce”).

W zetknięciu się z brzydota] świata i z ochyda] ludzka] zdobywa się poeta na obrazowość potężną, będącą zespoleniem najlotniejszej fantazji z najcodzienniejszym realizmem.

W swem poetyckim widzeniu świata dusza poety, pełna ekstazy wybiega poza zakreślone granice życia — otrzymujemy wówczas wizję świata tak innego od tego ziemskiego. Na każdym też kroku ogarnia poetę zrozumienie otaczającej go złudy: „wszystko to jest nieprawdziwe, a kiedy chodzę, kroki są nie moje... kiedy na kanapie się położę, kołuje mną wielki zawrót pradawności — chaos ciemny we mnie wzbiera, chwyta mnie w prastary związek”.

Poczucie ziemskiej złudy wiedzie poetę do ekstazy religijnej.

„Wieczorem, gdy gwiazdami Bóg na niebie się rozpiera i złotemi ich ćwiekami wali na świat jak kamieniami i straszliwie napomina krążącymi światłościami, I ja i On w odwiecznej męce, miłością rozsadzamy świat, w niebie szaleją mściwe ręce i Jego oczu gwiazdny grad”.

Bóg więc — to straszliwy Mściciel grzechów świata, zsyłający na ludzi gromy.

Kiedyindziej jawi się poecie Bóg, jako dobry pasterz, jako lekarz ciała i duszy człowieczej, którego serce na oścież dla ludzkości otwarte.

Poezja Tuwima, tak bliska współczesnemu pokoleniu, łączy w sobie dzisiejszość i piękno lat minionych.

Tradycjonalista znajdzie w niej tak dobrze sobie znane tony z okresu „Młodej Polski” — choćby ów wiersz „Ojczyzna”, w którym poeta powiada: „Ojczyzną moją jest Bóg — łan Polski prostej, serdecznej — kochany dom rodzicielski...”

A człowiek dzisiejszy dowoli rozkoszować się będzie tak nowoczesnymi nawskrós utworami, jak: „Coctail” — „Pierwszy maja” — „Słopiewnie” — „Hokus-pokus”...

Technika Tuwima niezrównana — w twórczości jego występują wszelkie wartości artystyczne nowej poezji; doprowadził on formę do najwyższej skali doskonałości. Zdumiewa nas świetność niespotyka-

nych dotychczas porównań i przenośni, po które sięga poeta do rzeczywistości najbliższej człowiekowi, oraz bogactwo słowa, jego plastyka i umiejętny dobór.

Poeta jest — odnosi się wrażenie — nieograniczonym panem języka polskiego od archaizmów staropolskich aż do słów potocznych, dzisiejszych, czasem... wziętych wprost z ulicy.

Poezja Tuwima treściowo romantyczna (trzymanie się obowiązkowych tematów poezji) i formą swoją jest z romantyzmem związana.

Znajdziemy w niej rymy tradycyjne i słownictwo dalekie od futurystycznego neologizmu i dawne środki ekspresji i rytmikę śpiewną, melodyjną...

Poezja Tuwima nie jest wolna od wpływów. Sam zresztą poeta nie zrzeka się ich, mówiąc: „Ja w wpływów nie wstydzę się wcale“.

Nasuują się więc analogie z poetą rosyjskim Tiutczewem. Sam poeta wymienia kilkakrotnie poetę amerykańskiego Walta Whitmana. Należałoby także wymienić poetę francuskiego Artura Rimbaud i kilku jeszcze innych piewców rosyjskich. Analogie jednak wszelkie w niczem nie naruszają samodzielności i oryginalności poezji Juljana Tuwima, jednego z najświetniejszych liryków doby współczesnej.

Rozwój jego twórczości — to rozwój liryki w Polsce. Większość młodych poetów ulega nieodpartemu czarowi utworów Tuwima — sugestia każdego jego nowego tomiku działa z siłą przemożną. Wielu zażęgnywa się, próbuje się bronić...

Mimo wszystko pozostaje faktem niezbitym, iż dzisiejsza twórczość najmłodsza rozwija się jeszcze w atmosferze, stworzonej poezją Juljana Tuwima!

6. KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Zdobył rozgłos światowy „Laurem Olimpijskim”, za który otrzymał nagrodę na Olimpiadzie w Amsterdamie.

Wnosi Wierzyński do poezji nutę radości, słoneczności przedziwnej, wiary w piękno i dobroć świata, oraz człowieka.

Już same tytuły wnoszą pogodę i upojną radość: „Wiosna i wino” — „Wróble na dachu” — „Rozmowa z puszcza”...

„Jeno radości, radości, radości dla serc i piersi i oczu i uszu, byśmy się wszyscy pokorni i prości, stali jak ogród w wiosny pióropuszu” — głosi poeta.

Nie umie też powiedzieć, co się z nim dzieje: „Chodzę po mieście i głośno sam się do siebie śmieję. Czeremchy pachną i wicher ronda mi gnie kapelusza. Hej, jak sokami pęcznieją wszystkie me członki... Wzbiera mię wiosna i w głowę, jak wino, szumami bije! Weźcie me serce: dziś ono jest wszystkich was i niczyje”.

Jak prosta i pełna młodzieńczości, wolnej od zgrzytów życia jest filozofja poety: „Mam zamiar śmiać się, śmiać na głos... Wszystko porywa mnie, rozrywa, rozum pomieszał się, jak czas, wyprowadziłem się ze siebie, mieszkam za darmo w każdym z was. I tak wesele

się, weselę, aż się od śmiechu trzęsie glob. Zygzakiem latam przez powietrze i krzyczę wszystkim wam: hop, hop!"

Wyrazem tej, jedynej w swoim rodzaju filozofji są wszystkie wiersze dwóch pierwszych zbiorów.

Jakież to już „przedziwne” same tytuły tych wierszy!

„Jeno radości” — „W słonecznym blasku” — „Muchy niebieskie” — „Jestem jak szampan” — „Kapelusz biorę pod pachę” — „Ja jestem falą” — „O, powietrze poranne” — „Wśród krzaków leżę” — „Gwiżdżę na wszystko” — „Wieczór w bzach” — „Swoboda” — „Żórawie” — „Kolenda dziecinna” — „Madonna siejby”...

W podobnej poezji poczesne miejsce zająć muszą i lata dziecinne, pełne uroku, niezapomniane.

Wspomni poeta „Wakacje”, zatęskni „Do mojej matki”, napisze „List do domu”.. odmaluje swe lata młode w wierszu „Filozofja”...

Miłością swą obejmuje również Wierzyński przyrodę, niezniszczalne źródło czarów i dziwów — dawczynię przemnogich darów.

Jak cudownie, „gdy wiosna zakwita”, „gdy pachnie siano”, „gdy akacje zakwitną”...

Urokliwe są erotyki Wierzyńskiego, pełne prze różnych nastrojów, odcieni i uczuć, a nawet sprzecz.

ności, dalekie jednak od wszelkiego cynizmu i ja-skrawości.

W miarę dojrzewania twórczego na obliczu po-ety pojawi się zaduma, niknie chwilami nuta radości i bez troski, a ogarnia go zamyślenie.

Wyrazem tego zbiorok „Wielka niedźwie-dzica“, mieszczący cały szereg wierszy refleksyj-nych.

Głęboka jest rola poety! Winien on być nie-tylko pieśniarzem uczuć własnych, ale też musi się stać i poetą zbiorowości. W wierszu „Heroica“ głosi Wierzyński:

„Poezjo na ulicę między ludzi
w tłum. Niech twą tajemnicę, twój
nad głowami szum i blask pod ciem-
nością powiek poznają wszyscy, oby-
watele, mieszkańcy świata, każdy
człowiek...”

A kiedy wejdzie w tłum ludzki i rojne ulice
miasta, rodzi się nawet w nim i bunt społeczny
(wiersz „Miasto“).

Owocem wędrówki poety po szlakach dalekich
po świecie są piękne wiersze egzotyczne z podróży
do Szwajcarii, Włoch i Afryki.

Pozostaje jednak Wierzyński, mimo chwilowej
zadumy, pieśniarzem radosnych kart życia. Unika
nizin, wielbi siłę, hart ciała i ducha.

Obce jego twórczości jakieś dociekania — ten-
dencje metafizyczne — wszelka niejasność.

Stał się entuzjastą potęgi człowieczej, wielbicie-
lem opanowanej mocy cielesnej. Daje temu wyraz
w swych wspaniałych „dytyrambach“ „Lauru

Olimpijskiego", jednego wielkiego peanu na cześć sportu i piękna siły fizycznej człowieka.

Okazał w nich poeta niezwykłą siłę wyrazu i entuzjazm, udzielający się czytelnikowi (zwłaszcza „Nurmi” — „Spartanin” — „Skok o tyczce”).

Niezapomnianym, pełnym niezwyklej powagi jest wiersz — arcydzieło Wierzyńskiego „Pieśń o Amundsenie”.

Niektórzy „wnikliwi” badacze doszukują się w poezji Wierzyńskiego wpływów. Sięgają do rosyjskiego Siewieranina, rodowód jego wyprowadzają od Staffa.

Być może, że mają słuszność, iż dałoby się wykryć pokrewieństwo ideowe, tony analogiczne.

Mimo „owych” wpływów i analogii się nasuwających jest jednak Wierzyński wielkim poetą, indywidualnością bogatą, a poezja jego — przynosi czytelnikowi ulgę, zaszczepia optymizm i godzi z życiem.

7. WYBITNIEJSI POECI GRUPY

Jakby do tradycji „pseudoklasycznych” nawiązuje *MIECZYŚLAW BRAUN*.

W swych „Rzemiosłach” — „Przemysłach” i „Liściu dębowym” daje utwory, któreby spotkały się z pochwałą krytyków — doby koźmianowskiej — tyle w nich rzetelnej troski o piękno, tyle wysiłków, by przy najmniejszej ilości słów zdobyć się na największą trafność wyrażenia i obrazowania.

Ów klasycyzm stylizowany i to upodobanie zewnętrzne wpada odrazu w oczy. Sam zresztą poeta przynajmniej do kultu Kajetana Koźmiana!

Z uwielbieniem też odnosi się Mieczysław Braun do Mickiewicza, któremu poświęci wiersze „Mickiewicz”, wplatając w tekst własny cytaty z Mickiewicza, parafrazując jego, a nawet naśladowując wprost niewolniczo styl „damowy”. Pełne piękna i bezpośredniości są „Duma o Słowackim” i „Wspomnienia o Żeromskim”.

Liryka „naukowa” Brauna, obok poezji Słomimskiego jest ciekawym zjawiskiem doby współczesnej.

MIECZYŚLAW RYTARD utalentowany powieściopisarz wydał tomik poezji p. t. „Noże wiosny”. Jest w autorze coś z dekadenta, coś z futurysty. Wiersze oryginalne, jak i przekłady świadczą jednak o kulturze i rzetelnym talencie, choć jeszcze niezupełnie skryształizowanym.

STEFAN NAPIERSKI — mimo nasuwających się wprost podobieństw i zależności (Iwaszkiewicz — Lechoń — Tuwim) — dąży własną drogą, zdobywając się na indywidualny rytm tworzenia (posługuje się w sposób świetny wierszem wolnym).

Natura wrażliwa na piękno, zdobywa się na akcenty rozmarzenia melancholijnego, na tony pełnej uroku symfonji, kiedy znajdzie się zdala od miasta na łonie przyrody, tworząc „Carmina rustica”, kiedy przedsięwzię swą „Podróż wio-

senną", lub kiedy w „Liście do przyjaciela” w szeregu „Poematów” i „Elegji” daje wyraz swym niepokojom i tęsknotom metafizycznym, marzeniom niezemijskim i pogoni za miłością niezaspokojoną.

Twórczość poetycką Napierskiego, nader bogatą cechuje specjalna atmosfera i ton swoisty.

Obojętny na głosy krytyki, niespragniony popularności ogłasza poeta coraz to nowe tomiki.

Program swój poetycki skreśliła *IRENA TUWIMÓWNA* w wierszu „Cel” w słowach: „Niech się nareszcie słowa zamienią w róże, fontanny i żywe uśmiechy — Z serca do serca wejrzymy w siebie jak lustra i serca wzajemnie do picia podamy sobie jak usta... Kiedy powiemy jelenie i liście, będzie zieleń i cieniście. Słowo: owoce — ociekać będzie sokiem, a smutno — będzie to szal, owiany obłokiem”.

Marzy więc poetka o bezwzględnej bezpośredniości tak trudnej do zrealizowania. Mimo prób, nawet chwilowo udanych, nie zdołała jej jednak Irena Tuwimówna osiągnąć. Znamy dotychczas trzy jej tomiki: „24 wiersze” — „Listy” — i „Miłość szczęśliwa”.

Pełne są one wdzięku kobiecego, szczerości i prostoty (tak rzadkie cechy jak: unikanie rozlewności, słownik najprostszy, oszczędność środków ekspresji) — pod względem zaś formy doskonałe.

Niejeden jej utwór — to małe arcydzieło prostoty i kompozycji („Ręce” — „Nędza” — „Miłość szczęśliwa”).

JULJUSZ WOŁOSZYNOWSKI, autor pięknych opowieści o Twardowskim i Słowackim, wydał tomik poezyj „Okulary” i zbiór poematów prozą „Potęga snu”. Jest w nim szereg głębokich i pełnych uczucia, oraz ewangelicznej prostoty liryk („Monotonne zaśpiewy Marji”).

GABRJEL KARSKI jest autorem „Drzewa przydrożnego” i „Gry”, oraz doskonałym tłumaczem liryków francuskich.

ZYGMUNT KARSKI w „Musującym poranku” wykazał zdolność obrazowania i bogactwo słowa.

STANISŁAW BALIŃSKI w tomie „Wieczór na Wschodzie” zamknął w trzydziestu kilku utworach wrażenia swe z podróży po ziemiach Bliższego Wschodu, wykazując umiejętność obserwowania zjawisk i życia egzotycznego. Przepiękne zwłaszcza są wiersze: „Ślad” — „Poetyczność podróży” — „Popołudnie wspomnień”, w których, przemierzając szlaki wschodnie, natrafia co rok na swego wielkiego poprzednika w „Podróży po Ziemi Świętej” — Juljusza Słowackiego.

JERZY LIEBERT wydał „Drugą ojczyznę” i „Gusła”. Jeżeli w pierwszym zbiorze jest jeszcze wiele z Lechonia i Pawlikowskiej — to już drugi zbiór świadczy o własnej, świadomej drodze poety, umiającego się zdobyć na znaczną obrazowość.

harmonję i śpiewność („Litanja do Marji Panny” — „Ptaszki Świętego Franciszka” — „Na lipę Czarnoleską”).

LEONARD PODHORSKI-OKOŁOW, teoretyk nowych rymów wydał trzy tomiki poezyj: młodzieńczy „Słoneczny śmiech” (jeszcze w roku 1912), oraz nawskroś już dojrzałe zbiorki: „Droga do Emaus” (1923) i „Białoruś” (1924).

Małeńkie to książeczki, liczące ledwie po kilkanaście utworów. Cechuje je jednak wysoki i świadomy kunszt poetycki — pod każdym względem dowód prawdziwego talentu.

Są to utwory pełne obrazowości — i rymy i rytmika i wiersze wspaniałe, niezwyklej współdźwięczności, nadzwyczajna śpiewność i szczery liryzm czynią z wierszy Podhorskiego-Okołowa arcydzieła liryki polskiej.

Na uwagę zwłaszcza zasługuje „Białoruś”. Poświęcił zbiorok poeta w całości rodzinnej swej Białorusi.

Słowami:

„O ty — daleka, ty — niezapomniana,

Zielona moja ziemia białoruska.

Gdzieś tam, jak niegdyś, równin twoich łona

Westchnieniem sennem wiatr wiosenny muska...”
rorpoczyna poeta zbiorok, przeniknięty przedziwnym sentymentem i umiłowaniem białoruskiej ziemi.

Wiersze cechuje koloryt lokalny, roztoczony w charakterystycznych prowincjonalizmach.

Pełne wzruszeń rozmarzenie udziela się czytelnikowi, mimowoli ulegającemu czarowi śpiewnych

strof utworów poety, dla którego niemasz droższej krainy jak owa niezapomniana, a na zawsze utracona „Białoruś”, za którą „nie przeminie żal pielgrzyma”.

Tomiki owe pozostaną trwałą wartością poezji polskiej.

W gronie Skamandrytów znalazł się i *FELIKS PRZYSIECKI*, ongiś drukujący utwory swe w „Tece” lwowskiej. W roku 1921 ogłasza „Śpiew w ciemnościach”.

Znalazłszy się w gronie młodych, przeżywał poeta jakby drugą młodość.

Zbiorek jest wyrazem jakiejś rozterki duchowej. Poprzez utwory przewija się nuta tęsknoty. Poeta znajduje się w poszukiwaniu prawdy — obce mu wszelkie tony radosne. Naprawdę to „Śpiew w ciemnościach”, w których droższy nie rozświeci poecie żadne światło, a krąży po niej jedynie smutek.

Poeta to głęboki, unikający błahych, codziennych zagadnień życiowych.

Formą swą przypomina nam poezja jego czasy romantyzmu. Pozornie zaniedbana, a naprawdę wyszukana budzi urok niecodzienny.

Jest to mowa człowieka, który przywykł przez szereg lat do milczenia i daje nagle upust myślom swym, kłębiącym się w duszy.

„Śpiew w ciemnościach” nie utonie w potopie poetyckim doby współczesnej.

Pośrednio z grupą Skamandra związany jest **JU-
LJAN EJSMOND**.

Miłośnik antyku, świetny tłumacz łacińskich utworów Kochanowskiego, Sarbiewskiego, Owidjusza, malarz świata zwierzęcego, utalentowany, szczerzy poeta jest jedynym w chwili obecnej, a zawsze pełnym inwencji bajkopisarzem — utwory jego, związane z chwilą bieżącą są pierwszorzędnym zwierciadłem.

Za kontynuację Skamandra uważać można miesięcznik literacki „K w a d r y g a”, wychodzący obecnie rok trzeci w Warszawie.

Mimo, że współpracownicy „Kwadrygi” odznaczają się od jakiegokolwiek pokrewieństwa z poezją Skamandrytów, chociaż nader krytycznie odnoszą się do poszczególnych poetów grupy „Skamandra”, to jednak na każdym kroku da się stwierdzić zależność poetów „Kwadrygi” od czołowych Skamandrytów, dość widoczne jest naśladownictwo „piątki” poetyckiej (zwłaszcza Lechonia i Tuwima), z Czartakowców Zegadłowicza i t. d.

Sami rzucili hasło „sztuki uspołecznionej”. Za swych mistrzów duchowych uważają Norwida i Brzozowskiego.

Filozofja pracy Brzozowskiego, poglądy Norwida na sztukę (sztuka jako praca, oraz praca jako sztuka), znalazły u poetów „Kwadrygi” gorących propagatorów, występujących do walki z marazmem społecznym o lepszy dzień jutrzejszy.

„Kwadryga” skupiła zastęp poetów najmłodszych, u których młodzieńczość znać jeszcze na każdym kroku.

Poezji ich daleko do dojrzałości. Szukają jeszcze własnych dróg, ulegają też wahaniom i różnym wpływom.

Przyszłość pokaże, czy z grupy wyłonią się jakieś wielkie talenty. Narazie przechodzą „najmłodsii” z „Kwadrygi” swój „Sturm und Drangperiode”!

W skład grupy wchodzi: *CIESIELCZUK, DOBROWOLSKI, FLUKOWSKI, GAŁCZYŃSKI, MALISZEWSKI, RYDZEWSKA, SŁOBODNIK, SEBYŁA, WOLICA...*

Ostatnio zgłosili przystąpienie do grupy Czechowicz Józef, a po rozłamie w „Meteorze” *MARJAN PIECHAL* i *ŚWIATOPEŁK KARPINSKI*.

Największy bezsprzecznie talent posiadają *WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK, WŁADYSŁAW SEBYŁA* i *NINA RYDZEWSKA*.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK jest autorem dwóch zbiorów: „Modlitwa o słowo” — „Cień skrzyпка”. Zbliżony może najwięcej do „Skamandra” odczuwa głęboko przyrodę, wielbiąc jej siły życiodajne i tę „ziemię ciężarną i urodzajną”, z której pracą rąk ludzkich „z chłopskiego trudu wyrosną chleby, chleby mięsiste”.

Opiewać będzie „Kosbę” — „Żniwa” — „Owocobranie” — „Wieś mazowiecką”, głosząc wszędzie piękno pracy, prężącej muskuły: „sława robocie, połowie sława, sława zgrubiałej, chropawej dłoni”!...

Od niw i pól wróci poeta do murów miejskich, zagładnie nawet do Ghetta, kolebki swych lat dzie-

cięcych, kiedy nie wiedział „niemowlę, że Polskę ukocham nad wszystko, że wszystko będzie daleko, tylko Polska będzie blisko..”

NINA RYDZEWSKA jest autorką cyklu poetyckiego p. t. „Miasto”. Większość zbioru należy zaliczyć do poezji urbanistycznej. Poetka żywo odczuwa niedolę nędzarzy, gnieźdzących się w „suterynach jak parszywe szczenięta”. Głód i choroby, zaraza, zgnilizna moralna i zbrodnia mieszkają w zatęchłych norach kamiennego, zimnego miasta. Poetka głos swój podnosi aż do buntu: „Dlaczego śmiercią jak miotłą zamiatasz nas jak śmieci. Życ chcemy, choć nam ból skręca i wyżyma krwawiące wnętrzości..”

Ty do ucha szepcesz: nie warto żyć dłużej. Potępienie ciskasz z błękitnych wysokości. Dlaczego jesteś pełen czarnego gniewu i złości?

WŁADYSŁAW SEBYŁA znajduje się również w orbicie wpływów poezji Tuwima, oddziaływającego sugestją swej twórczości na najmłodszych.

Nie można — oczywista — mówić o świadomym naśladownictwie jest to raczej „atmosfera tuwimowska”, której czasem bezwiednie ulegają najmłodszy z młodych.

Podobne jednak wiersze, jak „Uczeni” — „Modlitwa” — „Ślepiec” prawdą uczucia, szczerością wzruszeń i siłą wyrazu dowodzą rzetelnego talentu.

Z dorobku poetyckiego pozostałych „Kwadrygowców” ze wszech miar ciekawy jest tomik poezyj

J. CZECHOWICZA „Dzień jak codzień”.
Zadaniem poety jest zanalizować rzeczywistość współczesną w przeróżnych jej objawach. Poeta dąży do ścisłości w odtwarzaniu doznawanych wrażeń. W wierszu mamy wiele liryzmu i prostoty — chociaż ta chwilami graniczy ze sztucznością.

W każdym bądź razie „Dom jak codzień” jest tomem rzetelnej poezji.

POECI PROLETARJACCY

Chociaż, używając terminu „poezja proletarjacka“, możnaby mieć pewne zastrzeżenia, to jednak posługuję się nim, jako najlepiej może podkreślającym klasowość pewnej grupy poetów, u których wszystko zagłusza hasło walki z kapitałem i ustrojem „burżuazyjnym o prawa proletariusza“.

Wśród naszych poetów stanowią owi twórcy „proletarjaccy“ skrajną lewicę społeczną.

Za czasów istnienia „Skamandra“ z nazwiskami ich spotykaliśmy się na łamach organu Picadorczyków, obecnie zaś wydają własny organ pod redakcją Aleksandra Wata „Miesięcznik literacki“.

Do najwybitniejszych poetów proletarjackich należą *WANDURSKI, STANDE, BRONIEWSKI*.

Wystąpili oni wspólnie z biuletynem poetyckim p. t. „Trzy salwy“ (1925).

Powiadają w nim: „Jesteśmy robotnikami słowa. W bezlitosnej walce proletariatu z burżuazją stoimy zdecydowanie po lewej stronie barykady. Gniew, wiara w zwycięstwo i radość — radość walki — każą nam pisać... Walczymy o nowy ład społeczny.

Walka ta jest najwyższą treścią naszej twórczości".

Zadaniem ich „smagać słowem, bić pieśnią — bić aż do śmierci — ciskać do dusz prochni płonące główne".

Hasła podobne wypełniają poezję wspomnianych twórców. Jest to pieśń skrzywdzonych, upośledzonych — brak w niej zgoła nuty radości, jakiegokolwiek pogody — na pierwszym planie uczucie nienawiści. hasło zagłady i niszczenia. „Czas już wysadzać w powietrze Paryż, Londyn! Czerwony kogut niech lata po słodkiej Warszawie. Dezynfekować Europę kłębami dymów!"

Ta nuta jednostronna wywiera czasem wrażenie wprost przygnębiające, przytłacza czytelnika, budząc w nim przeróżne wątpliwości. Widoczny też tutaj wpływ współczesnych autorów komunistycznych (Majakowski, Jesienin, Błok, Pilniak...).

Utworom ich nie można odmówić siły wyrazu. Pełne ekspresji wywołują nieraz niecodzienny nastrój.

WITOŁD WANDURSKI — przebywający obecnie w Sowietach — jest autorem kilku utworów dramatycznych, oraz zbioru poezji „Sadze i złoto".

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI wydał „Wiatraki", oraz „Dymy nad miastem".

STANISŁAW R. STANDE ogłosił „Młoty" i „Rzeczy i ludzie".

M E T E O R

Na terenie Łodzi powstaje grupa poetycka „Meteor”. Tworzą ją młodzi poeci, wychowawcy szkół łódzkich. Cechuje ich szczery zapał i entuzjazm.

Nie znaleźli jednak dotychczas własnej drogi. Urbanizm, hasła społeczne, przekonania o konieczności zmiany istniejących stosunków, walka z obłudą — z konwencjonalizmem życia — to hasła już dobrze nam znane.

Brak im jeszcze oryginalności.

Nie mogą się też wyzwolić od wpływów poezji Skamandrytów (mimo usilnych zaprzeczeń!) — zwłaszcza Tuwima (zresztą to cecha wszystkich najmłodszych).

W skład grupy wchodzi: utalentowany poeta **ROMAN KOŁONIECKI**, szczęśliwie debiutujący jeszcze w roku 1927 tomikiem „Wschody i Zachody”, oraz twórca „Kosodrzewiny”, **MARJAN PIECHAL** — poeta Łodzi, odczuwający nędzę i niedolę robotnika, zdobywający się na siłę wyrazu w „Krzyku miasta”, — **KAZIMIERZ SOWIŃSKI**, poszukujący własnej ścieżyny w „Gniazdach na strychu”, — Rosjanin

TIMOFIEJEW, który w Polsce znalazłszy drugą ojczyznę, tęsknem wspomnieniem wraca do „Kraju rodzinnego” i „Domu kwitnącego”, pozostawionego „Na Podolu”.

Zbiorek Timofiejewa „Niema mnie w domu” szczerością i bezpośredniością uczucia pociąga czytelnika-Polaka, wiedzącego dobrze, co to znaczy „nie mieć ojczyzny!”

Grupa zdobyła się nawet na własny organ „Meteor”, który jednak na 2 numerach zakończył żywot. Sama również grupa nie istniała długo.

Następuje rozbitcie. Niektórzy „Meteoryci” zasilają zastępy „Kwadrygi”, inni organizują „Torpedę”, pozostali nakoniec rozpoczynają wydawać własną „Naszą bibliotekę”.

K A D R A

Najmłodszą grupą poetycką jest „Kadra”, — wyrosła w Warszawie, z odgałęzieniami w Lublinie i Łodzi. Nie mając jeszcze ściśle ustalonego programu, w rzeczywistości nie daje niczego nowego, przeżywając to wszystko, co znane nam już jest z twórczości „Skamandra”, „Kwadrygi” i z twórczości poszczególnych poetów. Dotychczas daleko „Kadrowcom” jeszcze do samodzielności — niewiadomo też, czy z nich, mimo nieraz rzetelnych zadatków, wyrośnie prawdziwy talent.

Organem grupy jest „Kadra”, pojawiająca się w Warszawie, pozatem w Łodzi i w Lublinie do miejscowych gazet dodawane są dodatki poetyckie „Kadry”, (często pod tytułem „Współczesność literacka”).

Do grupy zgłosili przystąpienie: CZERESNIEWSKI, SZCZAWIEJ, FRYDE, MADEJ, ŻYTOMIERSKI, WERNIC...

C Z A R T A K I H E L J O N

Odrębne miejsce w gronie poetyckim zajmują grupy „Czartaka” i „Heljonu”.

1. CZARTAK.

W maju 1921 roku wychodzi w Warszawie pierwszy numer „Ponowy”, redagowanej przez Jana Nep. Millera i Emila Zegadłowicza.

Wystąpili oni przeciw Skamandrytom, „nie spojonym żadnemi niemi z trudem i męką życia ludzkiego..”

Uznając hasło „sztuki wolnej od wszelkiej tendencji i kołtuńskiej ckliwości patriotyzmu”, domagają się zespolenia życia ze sztuką, dążenia do pełni, syntezy „doszukiwania się formy swojskiej dla treści ogólnoludzkiej”.

Głoszą też: „Nie przychodzimy wypełniać, lecz zwiastujemy godzinę odnowy i wyciągamy ręce do odnowiciela. Na podwalinach niepodległego bytu narodu czuć chcemy nieskrępowanie, żyć pełną piersią człowieka.

Sztuka nie jest odświętną zabawą, obchodem patriotycznym — jest słowem, barwą, kształtem, dźwiękiem, mimiką, gestem i ruchem, czemś, co realizuje się zawsze i wszędzie we wszystkim. Dążymy do pełni wyrazu, pełni czucia swego. Nie wyrzekamy się żadnych środków ekspresji znanych czy nieznanymi... Sztuka najnowsza wyrosła z woli natężonej człowieka, doszukującego się wyrazu dla wzbierającej w nim treści wewnętrznej, tej treści, co do wszystkich się zwraca, starając się uwielokrotnić, rozwielić miliona dusz ludzkich i światów ogromem".

Był to więc nawrót do polskiego romantyzmu z hasłami naczelnymi „ludowość” i „rodzimość”. Na ich podłożu należy dokonać „ponowy” (nowego siewu)... a z niej zakiełkuje prawdziwa twórczość, której brak w innych grupach poetyckich.

„Ponowa” na pięciu numerach — skutkiem braku czytelników zakończyła swoje istnienie.

Spadkobiercą „Ponowy”, mającym rozwijać i propagować postulaty i hasła grupy tradycjonalistów-ewolucjonistów stał się „Czartak”, którego pierwszy numer wydał z początkiem roku 1922-go Emil Zegadłowicz wspólnie z Edwardem Kozikowskim i Janem Nep. Millerem — drugi numer, a raczej cały rocznik, pojawił się dopiero w roku 1925, trzeci natomiast w roku 1928-ym — jako tom kilkusetstronicowy.

Skąd nazwa grupy?

„Nazwaliśmy się „Czartakiem”, zborem poetów. Zbór nie jest zbiorem tylko. O starej budowli w Mucharzu nad Skawą, od której wywodzi się nasze zawołanie, głosi podanie, że miała być w 17 w. zborem arjańskim. Historycy wątpią w to zupełnie serjo. Dla nas jest w surowej architekturze tych murów coś urocznego, coś z powagi domu, w którym obcuje się z Bogiem, w żywej walce ze sobą szukając prawdy. Jest to symbol pewnego zakresu i wzór konstrukcji zapewne”.

Czartak głosił: „Polska niepodległa musi zdobyć się na nową sztukę — bez zezów wallenrodycznych i bez czkawki odbrzuszonej na podłożu duchowej czystości, rzetelności, prawdy, zachwytu i olśnienia przed wiecznościowymi perspektywami życia narodu wolnego. Z ducha wolnej i nieskrępowanej pracy człowieczej; czerpiemy odżywczy dech; oto tęsknotą wołana, nowa forma poetycka swojego wyrazu wszechludzkiej i kosmicznej treści, co wypełnia nam dusze. Wołamy: wyrazu, któryby w pełni oddał krzyk ucłowieczonej przez dzieje duszy polskiej”.

Najpełniejszy wyraz marzeniom swym i dążeniom dał „Czartak” w roczniku z roku 1928.

Naczelnny poeta Czartaka Zegadłowicz powiada:

„Wywodzimy się z ziemi. W naturze i w jej człowieku widzimy zasadniczą istotę wykreślającą drogę właściwą i cel ostateczny ducha ludzkiego.

Postulaty nasze są wyraźnie antyurbanistyczne. Poezja polska idzie po linii ziemi.

Forma jest w zamierzeniu naszym na planie dalszym, jest raczej zagadnieniem osobistego zamiłowania i przyzwyczajenia, które z radosną skwapliwością poświęcamy dla formy wewnętrznej; zresztą duch w chwili nawiedzenia zawsze melodję znajdzie najwłaściwszą i w ton potrzebny uderzy.

Treść jest wszystkim; o nią w sobie walczymy. Forma jest ciałem, treść jest duchem kształtującym powłokę swą wedle miary i potrzeby.

Stąd też otwarte są naroścież okna i drzwi na wszystkie zagadnienia artystyczne, religijne i społeczne; artystyczne: szczerość, prostota, bezpośredniość; religijne: oparcie o ewangelję, o miłość; społeczne: pokochanie wzwyż i upadków, każdej biedy ludzkiej i nędzy, dojrzenie poza jakąkolwiek maską i udaniem, poza czy histrjoniństwem: człowieka! — we

wszystkiem, bliskiem i dalekiem, nie zapominając ani na chwilę o misji duchowej narodu przez „osadzenie w duszy człowieczej tronu dla Boga”.

Jesteśmy jednym z dźwięków poezji polskiej, która jest znów jednym akordem poezji globowej.

Gdy tu mówię „my”, mówię o tem, co jest platformą wyżynną, na której się spotykamy w odwiecznej bożą — pozatem każdy z nas ma swoje góry i doliny, turnie i przepaście w sąsiedzkiej, pomocnej zgodzie.

Czartakowcy dzięki założeniu i właściwościom świadomego ustosunkowania się do zjawisk życia — przenoszą wiarę poezji swej w życie! Chcą stać się i są wiary tej wyznawcami i apostołami; sięgają poza momenty twórcze, poza osobowość poezji — w życie. Tworzą je jako koncepcję pełną, nieprzerwaną, jednolitą i harmonijną w tem upragnieniu, aby zarówno w słowach, jak i w działaniu jedna była potęga, aby napisanie książki i przeżycie dobre dnia było jednakim, błogosławionym trudem”.

Według Czartakowców „miasto jest negacją najprostszycch prawd ewangelicznych: wiary, nadziei i miłości”.

Naczelný poeta Czartaka Zegadłowicz powiada:
„Wywodzi się z ziemi. W naturze i w jej człowieku widzimy zasadniczą istotę wykreślającą drogę właściwą i cel ostateczny ducha ludzkiego.

Postulaty nasze są wyraźnie anty-urbanistyczne. Poezja polska idzie po linii ziemi.

Forma jest w zamierzeniu naszym na planie dalszym, jest raczej zagadnieniem osobistego zamiłowania i przyzwyczajenia, które z radosną skwapliwością poświęcamy dla formy wewnętrznej; zresztą duch w chwili nawiedzenia zawsze melodię znajdzie najwłaściwszą i w ton potrzebny uderzy.

Treść jest wszystkim; o nią w sobie walczymy. Forma jest ciałem, treść jest duchem kształtującym powłokę swą wedle miary i potrzeby.

Stąd też otwarte są naroścież okna i drzwi na wszystkie zagadnienia artystyczne, religijne i społeczne; artystyczne: szczerość, prostota, bezpośredniość; religijne: oparcie o ewangelję, o miłość; społeczne: pokochanie wzwyż i upadków, każdej biedy ludzkiej i nędzy, dojrzanie poza jakąkolwiek maską i udaniem, poza czy histrjoństwem: człowieka! — we

Tylko „sąsiedztwo o miedzę czterech pór roku” działa hartująco i umoralniająco na człowieka, przybliża Boga i ludzi w człowieka sumieniu...

„Gwoli też temu sumieniu pożegnaliśmy miasto, udając się do naszej Republiki Górskiej”.

Górami „Czartakowców” jest pasmo Zachodniego Beskidu. „Beskid to nasz Piemont, z którego wychodzimy ku odrodzeniu najpierw własnemu”.

„Jako barki człowieka w pracy pochylonego są wzgórze Beskidu; moc i krzepkość przeto znaczą”.

„Cechy jego, jego gwarę, sztukę, przyrodę i ludzi będą opiewać i w twórczości swej utrwaląc, chroniąc je przed ostateczną zagładą”.

W ten sposób powstanie niesłychanie ciekawa poezja regionalna „beskidzka”, budująca dzieło swe na podwalinie pierwiastków ludowych!

W skład grupy „Zboru poetów beskidzkich” weszli: *EMIL ZEGADŁOWICZ, JANINA BRZOSTOWSKA, WIKTOR HANYS, TADEUSZ SZANTROCH, EDWARD KOZIKOWSKI, JÓZEF BIRKENMAJER.*

Związek wewnętrzny poetów beskidzkich jest naogół dość ścisły.

Unikając jakichkolwiek urbanizmów, pełni umiłowania ziemi, dążą do jak największej prostoty i bezpośredniości. Doszukują się wszędzie nuty pogody i radości życiowej, głoszą: „Idziemy w szeroki świat z dobrą dla wszystkich nowiną, która w nas rośnie To jest

nasz uniwersał. On niech pochwali
ziemię, z której wyszliśmy”.

a) EMIL ZEGADŁOWICZ

Przewodcą grupy całej jest Emil Zegadłowicz. Zawód poetycki rozpoczął jeszcze w roku 1908 tomem „Drogą życia”, „pierwszym przejawem ekspresjonizmu na gruncie polskim.

Kilka lat wówczas, jak sam powiada poeta, spędził „nad rymowaniem, rytmiką, stroficznością, cyzelowaniem, szlifowaniem, zmienianiem, nigdy nie kończącymi się poprawkami i t. d., aż powstał z tego tom poezji, pod nazwą „Images” w świat rzucony.

Już sam tytuł mówi o tem, że zasadą poezji zdało się być autorowi znachodzenie obrazu na wyrażenie t. zw. „stanów duchowych istotnych lub domniemanych”.

Zegadłowicz tak je charakteryzuje: „są to strony przeważnie chłodne, zbyte ognistości bezpośredniej — kunsztowne”, a dla poety później „są obce, tak obce, że ze zdumieniem dowiadują się po latach, że taki to, a taki wiersz ja napisałem”.

Przez kilka lat uchodził Zegadłowicz za filar ekspresjonizmu, drukując w poznańskim „Zdroju” „Legendę ziemi”, „Odejście Ralfa Moora...”

Ostatnim jego utworem drukowanym w „Zdroju” jest poemat p. t.: „U dnia, którego nie

znam, stoję bram", nazwany przez autora „poematem symfonicznym”.

Wraz z J. N. Millerem przystępuje w roku 1921 Zegadłowicz do redagowania „Ponowy” pod hasłem „ludoności”.

„W tem zawołaniu”, jak powiada, „była zdrowa myśl nawiązania do dobrej tradycji” — hasła młodzieży wileńskiej z przed stu laty.

Ostatecznie rzuca Zegadłowicz miasto i przenosi się w pełne urokliwej siły góry Beskidu „wraca do ziemi”.

Osiada na wsi — w Gorzeniu Górnym koło Wadowic.

„Poezja moja — wyznaje Zegadłowicz — wyrosła na tle gór, jasna po stronie słonecznej, mroczna po stronie ciemnej — naukę poetyki pobierałem od pasterzy, z którymi miałem szczęście paść krowy w dzieciństwie: ukochanie swobod, ekstatyczne wsłuchiwanie się w mowę ziemi i nieba i miłość biedoty bytowania człowieka — już w młodości widziałem Chrystusa idącego po grapach beskidzkich — wiara w przyjście jego (symbolicznie: w odrodzenie ludzkości przez miłość) jest we mnie ponad wszystko mocna”.

Odczuwa Zegadłowicz bezgraniczną wprost miłość ziemi i „wielkiej świętej pracy globu i bezwzględną do niego przynależność”, staje się wyznawcą wiary, „że we

wspólności z ziemią i z nią jedynie duch krzepnie, nabiera tężyzny i religijnieje w tych zmianach pór i lat, któremi Bóg rządzi”.

Sięga poeta do gwary beskidzkiej, a pomieszawszy ją z językiem literackim, stwarza w ten sposób swoistą stylizację językową — w niej powstaną jego utwory poetyckie i dramaty.

W twórczości swej zajdzie do najprostszej „czeladzi Bożej — na Bożej służbie” — do owej „biedoty bytowania ludzkiego”. Tak powstaną niezapomniane „Powsinogi beskidzkie” — „Gody pasterskie” — „Wielka nowina” — „Koleđziołki” — „Ballada o Wowrze” i t. d.

Bohaterami ich są ubożuchni mieszkańcy grup beskidzkich, druciarze, szklarze, sadownicy, świątkarze, kamieniołupiecarze, zabawkarze i t. d.

A w pracy bożej czeladzi bierze udział cała przyroda, ożywiają się garnki, dzbanki, miski, kotły — tam w polskiej, góralskiej, chłopskiej stajence rodzi się Chrystus — „wcielone słowo miłości” — schodzi On w wiosenny ranek ze zbocza górskiego, a napotkawszy powsinogów zgromadzonych koło przydrożnej figury Jezusa, powierza im „dar bezcenny: „głoszenie prawdy, darzenie szczęściem, uczeniem i wskrzeszeniem miłości przymarzłej w sercach ludzkości w chłodzie wiecznych trosk, zgryzot i nienawiści...”

Chrystus Zegadłowicza — to pasterz, głoszący pokój ludziom dobrej woli — to Chrystus św.

Franciszka z Assyżu, w postaci przydrożnego świątka, wyciosanego ręką wioskowego rzeźbiarza wędrujący wśród mieszkańców gór beskidzkich — Chrystus — Miłość — Radość — Dobro!

Poeta roztoczył przed nami świat, jakiego dotychczas nie znała poezja polska...

I nasuwa się nam na myśl „Mój świat” Kasprowicza, z którym tyle wspólnego łączy poetę...

Niezwykła prostota, forma doprowadzona do prymitywu, bogactwo słowa, wartości dźwiękowe tegoż dają owym balladom, czy kołędziółkom, czy godzinkom, jak gdyby sens i rytm napoły dziecięcych, pełnych naiwności, napoły prostaczych, jakby płodów rymarza odpustowego, stając się źródłem niewypowiedzianego, przedziwnego uroku.

Wolny od obcych wpływów, tkwiący korzeniami w glebie rodzimej, marzący o stworzeniu rzeczywistej, polskiej sztuki znajduje się Zegadłowicz w pełni twórczego rozkwitu.

Plon poetycki jego nader bogaty — liczy dotychczas blisko pięćdziesiąt tomów poezyj, dramatów, powieści i przekładów!!

*

Trudno zaiste o sądy bardziej sprzeczne, jak głosy naszych krytyków tyczące się Emila Zegadłowicza.

Jeżeli jedni są pełni podziwu dla twórczości autora „Powsinogów beskidzkich”, tymczasem inni posądzają Zegadłowicza wprost... o grafomanję, odsądzając go od miana poety!

Zarzucają mu najdalej posunięte zaniedbanie formy, gadulstwo, brak jakiegokolwiek piękna, dzi-

wiąc się rozgłosowi, jaki zdobył w Polsce główny poeta Czartaka!

Jak bezkrytyczne głosy uwielbienia, tak i skrajne, surowe odsadzające poezje Zegadłowicza od wszelkich wartości są pełne przesady i krańcowości.

Prawda, że twórczość Zegadłowicza jest zbyt pośpieszna, że czasem razi nas ona swym niewykończonym — niedbałością — swą prozaicznością — czytelnik poszukujący jednak prostoty, łaknący piękna nie owego przerafinowanego, wyszukanego, lecz płynącego wprost z ziemi, zdobytego drogą odczucia i obcowania z przyrodą sięgnie do tak naiwnością swą i prymitywem pociągających rymów Zegadłowicza.

Zazna on wielu wrażeń, powędruje w świat inny, tak odrębny, a może... dlatego dla wielu krytyków niepojęty, wprost im obcy!

b) INNI POECI CZARTAKA

Zegadłowicz skupił dokoła siebie grono poetów. Powstaje „Zbór Czartaka” — poetów wsi, piewców przyrody. Do obywateli owej „Republiki Górskiej” należą: *JANINA BRZOSTOWSKA*, *EDWARD KOZIKOWSKI*, *TADEUSZ SZANTROCH*, *JÓZEF BIRKENMAJER*, *WIKTOR HANNYS*.

BIRKENMAJER — świetny tłumacz, dobry stylista i wytworny krytyk literacki przywiózł z wędrówki syberyjskiej „Poszumy Bajkału”, wydając nakoniec tomik „Ulicą i drogą”, pełen prostoty i bezpośredniości.

Bezpośredność również, brak wszelkiej sztuczności, szczerą przeżył i wzruszeń, styl najprostszy, ubogi w ozdoby cechują poezję *JANINY BRZOSTOWSKIEJ*, autorki „Szczerca w cudzem mieście” — „O ziemi i mej miłości”, oraz „Najpiękniejszej z przygód”.

EDWARD KOZIKOWSKI, autor pięciu zbiorów poetyckich sięga przeważnie po tematy w krainie przyrody, dążąc do wydobycia z niej istotnej treści zjawisk życiowych. Stara się o jak największą prostotę, popadając czasami w rozwlekłość i skutkiem tego spotykając się nawet z zarzutami „prozaicznego gadulstwa”.

Poeta to jednak bezwzględnie szczerzy, krocący własną drogą, wolny od jakichkolwiek obcych wpływów.

TADEUSZ SZANTROCH wyniósł z przeżyć wielkiej wojny dwa zbiory poetyckie: „Lutnia żołnierza” i „W zorzach krwi”.

W roczniku Czartaka (z r. 1928) pomieścił szeroki cykl liryk ściśle beskidzkich, okazując w nich wielki dar obrazowania i siłę wyrazu.

Przepiękne są zwłaszcza wiersze: „Na Kocierzku” — „W kolibie starego bacy” — „Przyjacielowi przyjeżdżającemu do Beskidu”.

Początkowo należał do grupy *JAN NEPOMUCEN MILLER*, redagujący wspólnie z Zegadłowiczem Ponowę i Czartaka, dopóki się drogi ich nie rozeszły.

Twórca dużej kultury literackiej i kultury słowa odznacza się znacznym talentem poetyckim i poczuciem piękna.

Brak jednak naogół jego utworom bezpośredniości i jakiegoś skupienia; czynią też one wrażenie czegoś sztucznego i pustego — znajdziemy jednak czasem w zbiorach i wiersze pełne śpiewności i rozpędu lirycznego („Czar ulicy” — „Dom nawiedzony”).

2. HELJON

Grupa zbliżona do Ponowy i Czartaka, oraz w pewnej mierze wywodząca swój rodowód od „Łąki” Leśmiana.

Stworzyli ją najmłodszy poeci, słuchacze Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Złączyła ich radość życia, pęd swobody, pragnienie czynu, umiłowanie przyrody — a przytem brak nuty melancholji, czy pesymizmu życiowego.

Program ich wypowiada Jerzy Braun w słowach:

„Futuryzm nasz — to będą orle szpony!, które trza wbić w przegniłych mózgów pleśń, wygodę ciał przemienić w trud szalony — w zawrotny pęd, w rewolucyjną pieśń!!”

W skład grupy weszli: *JERZY BRAUN*, *JÓZEF AL. GAŁUSZKA*, *JAROSŁAW JANOWSKI* — w pewnym związku pozostawali *JULJUSZ FELD-HORN* i *MARJA MORSTINÓWNA* (Morstin-Górska); przyłączył się do nich również i Witołd Zechenter.

Organem grupy była „Gazeta Literacka”.

a) POECI GRUPY

JERZY BRAUN wystąpił w roku 1922-im „*Najazdem Centaurów*” — poezją radości, życia i ruchu.

Jeszcze w wierszach „*Najazdu*” jest zbyt czyny werbalizm i puste upajanie się słowem; stwierdzimy jednak u poety już znaczną siłę poetyckiego wyrazu.

W krainę morza wkracza Braun „*Ocenjadą*”. Niewielu marynistów posiada nasza literatura. Dopiero w czasach Polski Niepodległej odkryto tak bogaty świat wrażeń.

Jako piewców morza (przed Braunem) godzi się tu wspomnieć Marjusza Żaruskiego i jego „*Sonety morskie*”, oraz niezapomnianego Stefana Żeromskiego („*Wiatr od morza*”, „*Międzymorze*”).

Mimo pięknych, niektórych ustępów („*I czyta się romans zamorskiej podróży*” — „*Na pełnym morzu*” — „*Burza*”) brak jest wierszom zbiorku wczucia się w potęgę morza i tak niezbędnej bezpośredniości przeżyć.

Ostatni tom „*Ziemia i niebo*” jest dowodem ciągłego rozwijania się talentu poety, zdobywającego się na coraz większą siłę wyrazu przy wzrastającej zwartości słowa. Warto tu wymienić takie wiersze jak: „*Sen ślepcy*” — „*Morze*” — „*Ziemia*”.

Talent to szczerzy, znajdujący się w pełni rozwoju.

JULJUSZ FELDHORN zwrócił na siebie uwagę raczej przekładami z włoskiego, niż jako oryginalny poeta.

Mimo znacznej kultury literackiej brak jego utworom naturalności — razi nas sztuczność uczucia. Pierwsze jego zbiorki („Domy”...) możnaby nazwać próbami poety, który nie znalazł jeszcze odpowiedniej drogi.

JAROSŁAW JANOWSKI wydał tom wierszy p. t. „Siejba tęcz”.

Mimo pewnego niezdecydowania co do wyboru środków artystycznych, niedojrzałości jeszcze młodzieńczej i znacznych wpływów zewnętrznych „Siejba” uważać należy za debiut dodatni. Poeta dąży do prostoty, osiągając z wolna równowagę elementów twórczych. Takie wiersze jak cykl „Krzyż w stokrociach” mogłyby być ozdobą każdego tomu.

MARJA MORSTINÓWNA, ogłosiwszy w roku 1922 „Błyski latarni”, po przerwie siedmioletniej wydała „Krań miłości” (jako Morstin-Górska).

Wiersze to piękne — choć dalekie od oryginalności twórczej.

Poetka znajduje się w orbicie wpływów Pawlikowskiej, Iłakowiczówny, Tuwima — podstawę zaś psychiki twórczej Morstinówny stanowi wielkiej miary intelektualizm.

Są to jednak utwory pełne wdzięku i prawdziwej kobiecości.

Przemily, przepojony głębią uczuciowości kobiecej jest „Ślub”.

Naprawdę nastrojowe są „Szara godzina” — „Nokturn”, godne też czytania „Wiosna, lato, jesień, zima”...

Poezje te cechuje mistrzowska forma — troska o kunsztowność wiersza i strofy.

Najmłodszy z „Heljonu” **WITOŁD ZECHENTER** zbiorkiem „Ręka na sterze” zapowiada się jako rzetelny talent, umiejący zdobyć się na bezpośredność uczucia.

b) **JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA**

Najwybitniejszym talentem Heljonu jest **JÓZEF A. GAŁUSZKA**.

Debjuował jeszcze w roku 1920 tomem „Promień i grom”, od tego zaś czasu w ciągu lat dziewięciu wydał 6 zbiorków poezyj.

Talent to prawdziwy, a samorodny, z każdym nowym tomem coraz bardziej się rozwijający.

Poezja Gałuszki — to wyraz radości i pogody, niezmiernego ukochania ziemi. Można by mówić o pan-teizmie poety — na każdym kroku stwierdza Gałuszka wszechobecność Boga, którego potęgi i mocy objawem jest ziemia — skarbnica dobra i piękna.

Stąd najpiękniejszymi, najszczerzszymi, najbardziej bezpośrednimi będą liryki poświęcone ziemi i malujące przeróżne oblicza przyrody. Okaże w nich dar opisowy, prostotę i szczerłość.

Odczytajmy „Kwitnące jabłonie” — „Wieś polską” — „W wiejskim kościółku” — „Liście spadają” — „Las w śniegu” i t. d. Tyle w nich pogody i uśmiechu „syna ziemi”!

Jest Gałuszka i poetą Krakowa. Obok mało przemawiających „Sonetów krakowskich” mamy

w jego lirykach „Zielone Świątki na Pannieńskich skałach” — „Kraków z Zygmuntofskiej wieży”, pełne umiłowania i bezpośredniością przemawiające do czytelnika.

Chociaż pierwsze liryki Gałuszki powstawały czasu wojny, nie pozostawiła ona jednak głębszych śladów w jego twórczości.

Z chwilą bieżącą wiąże się jego liryka patriotyczna. Piękne, naprawdę szczere, a wolne od banalności są takie utwory jak: „Ziemii polskiej” — „Ułanom z pod Rokitny” — „O ziemio matko nasza”.

Głęboki ton religijny duszy poety, z serca płynące umiłowanie Boga odbiły się w szeregu wierszy — hymnów, pełnych powagi i nabożnego wprost skupienia.

Arcydzielami Gałuszki są wiersze: „Zmartwychwstanie” — „Święty dzień” — „Święty Boże” — „Niedźwiedź” (rodzaj legendy o staruchu i Bogu-Gaździe).

Nutę pogody zamroczą czasem zgrzyty. Obok światła pojawiają się cienie. Kiedy dusza poety, odrwawszy się od przyrody, znajdzie się wśród dusznych ulic miasta, ogarnia ją gorycz, posepnieje — budzi się jęk.

Nie znajdzie ona w rynsztokach gwiazd, urąga tam na każdym kroku nędza i ludzka obłuda.

I w „Duszy miasta” przeklinać będzie, miotać klątwy zboląły i smutny („Ulicznicy” — „Zła godzina”).

Rzadkie to jednak chwile w twórczości Gałuszki.

Dusza jego tak czuje się obca w gwarze i w tłumie miasta. Wróci też szybko na wieś, na łono przyrody.

Wyrazem tego ostatni, najbardziej dojrzały tomik „Głosy ziemi”, mieszczący cały szereg utworów, stwierdzających nader bogatą wyobraźnię, umiejętność ujmowania zjawisk, wielki talent obserwacyjny („Na śmierć autora „Popiołów” — „Wyczółkowski” — „Żelazna gwardja” — „Hymn”...).

Pod względem formy poezja Gałuszki osiągnęła znaczny stopień doskonałości. Warto zwrócić uwagę na parable, metafory „budowane na tonach i półtonach, naśladujących dźwięki i rozdzwięki rytmem, zestawieniem spółgłosek i samogłosek” — wreszcie na szczęśliwe użycie asonansów.

Poezje Gałuszki zachowają trwałą wartość w dziejach poezji polskiej.

Najważniejsze to grupy poetyckie — godne pamięci!

Niektóre z nich wykazały znaczną żywotność i skupiły rzetelne często talenty.

Zalew poetycki, który tymczasem ogarnął całą Polskę, stał się pewnego rodzaju chorobą nagminną, udzielającą się w sposób wprost zastraszający coraz większym zastępom „młodych — młodszych — najmłodszych”!!

Wyrazem tego pojawiające się i znikające grupy, grupki, awangardy, manifesty, pisma poetyckie „poetów” przekonanych o „swem” posłannictwie i potędze „swego” talentu.

Taka ich ilość, że trudno się nawet w tej mnogości połapać, tembardziej, że „bieg ich życia krótkotrwały”.

Na terenie Krakowa przez pewien czas istniały kluby „Katarynki” i „Dionizego”.

W roku 1922, pojawił się w Warszawie „Quincunx”, pismo młodzieży literackiej.

W Lublinie mamy miesięcznik poetycki „Lucifer” — grupę „Reflektor”...

Zwłaszcza w latach ostatnich owych grup bez liku!

Mamy „Torpedy” — „Kadry” — „Awangardy” i t. d., i t. d., a takich zastępów poetyckich dałoby się odkryć moc we wszystkich większych miastach Polski!

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

AL. POECI

POECI NIEZRZESZENI

W tym tomie znalazły się wszystkie utwory
niezrzeszeni, które w latach 1918-1920
zostały wydane w "Pracy" i "Kulturze".
W tym tomie znalazły się wszystkie utwory
niezrzeszeni, które w latach 1918-1920
zostały wydane w "Pracy" i "Kulturze".

W tym tomie znalazły się wszystkie utwory
niezrzeszeni, które w latach 1918-1920
zostały wydane w "Pracy" i "Kulturze".

W tym tomie znalazły się wszystkie utwory
niezrzeszeni, które w latach 1918-1920
zostały wydane w "Pracy" i "Kulturze".

W tym tomie znalazły się wszystkie utwory
niezrzeszeni, które w latach 1918-1920
zostały wydane w "Pracy" i "Kulturze".

W tym tomie znalazły się wszystkie utwory
niezrzeszeni, które w latach 1918-1920
zostały wydane w "Pracy" i "Kulturze".

W tym tomie znalazły się wszystkie utwory
niezrzeszeni, które w latach 1918-1920
zostały wydane w "Pracy" i "Kulturze".

W tym tomie znalazły się wszystkie utwory
niezrzeszeni, które w latach 1918-1920
zostały wydane w "Pracy" i "Kulturze".

W tym tomie znalazły się wszystkie utwory
niezrzeszeni, które w latach 1918-1920
zostały wydane w "Pracy" i "Kulturze".

a) POECI.

LUCJAN ANDRE wydał „Walkę o człowieka” — „Szlakiem Niepodległych” i „Jaskinię Platona”. Poezja jego ściśle związana z życiem współczesnym, pełna entuzjazmu i zrozumienia momentu dziejowego. Cechą jej siła wyrazu, tężność obrazów, jakaś zapalna młodzieńczość, z jaką poeta przystępuje do zdarzeń i ludzi.

Związane są utwory Andrego z chwilą bieżącą. Takie wiersze, jak: „Bunt” — „Szara i błękitna” — „Imponderabilia” — „Legenda o Nieznanym Żołnierzu” — jako wyraz pewnej chwili dziejowej zachowają trwałą wartość.

Umie się jednak Andre zdobyć i na inne tony, czego wyrazem ostatni tom „Jaskinia Platona”, w którym stwierdzimy obecność prawdziwego liryzmu i jakiejś tęsknoty za czemś nieosiągalnym („Szukałem cię prawdo” — „Samotność” — „Październik” — „W głąszy leśnej”). Forma wszystkich utworów nieskazitelna.

Poeta to jeszcze w pełni rozkwitu.

Cichym, skupionym w sobie, pełnym zadumy poetą jest **STANISŁAW BAKOWSKI** — jedyny lyryk „Najmłodszej Polski”.

Obce mu gwarne miasto i jego uciechy. Unika świata ziemskiego — znikomego. Zajmują go jedy-

nie zagadnienia odwieczne: problem życia i śmierci, — winy i kary, zagadka grzechu pierwotnego i bytu ludzkiego.

Głęboko religijny — przeniknięty żarliwą wiarą nie buntuje się przeciwko Bogu, nie zlorzeczy prawom odwiecznym — poddając się woli Boskiej.

Bliski Kasprowiczowi — jednak nie autorowi „Chrystusa” i „Święty Boże”, lecz „Mojej pieśni wieczornej” i „Mojego świata”.

Z poetów obcych przypomina Rilkego, głośnego autora „Księgi obrazów” i „Malte”.

Wydał w r. 1922-im „Rytmy wędrowca”, a w r. 1926-ym „Gawędy z Panem”.

Mowa jego prosta, rytm twardy, styl wolny od jakichkolwiek ozdób, pełen niezwykłego namaszczenia — trafiają do głębin duszy ludzkiej.

Poezja to nieobliczona na poklask tłumy, to strawa dla tych, którzy szukają w wierszu głębi myśli i prawdy odwiecznej i „głębokich haustów ostrego powietrza z dalekiej, wolnej przestrzeni, z rozległych na ścieżaj otwartych horyzontów” (Ortwin).

W tradycji tkwi, zrzekając się innych tematów, **ANTONI BOGUSŁAWSKI**, autor zbiorów „Honor i ojczyzna” — „Dwór”.

Same tytuły wierszy najlepiej nam mówią o ich zawartości: „Pan chorąży” — *Hommagium pana kasztelana* — „Szopen u Radzi-

wiła, — „Krechowce” — „Trzej strzelcy cesarscy” i t. d.

— Zalatuje nas echo przeszłości, przesuwają się przed naszymi oczyma przeróżne sceny „temporis acti”.

Poeta to szczery — żołnierz z powołania — poezja jego ma też coś z zamaszystości i bezpośredniości żołnierskiej.

Młodym, wiele obiecującym poetą jest *MŁOSZ GEMBARZEWSKI*. W najlepszym swym tomiku „Pieśni Słowianina” przypomina w pewnej mierze Bogusławskiego. Bogatszy jednak od niego pod względem tematów i myśli daje utwory pełne wdzięku i piękna („Wiatr polny” — „Król” — „Ślepiec” — „Modlitwa”).

Próbki rzetelnego talentu złożyli młody poeta krakowski *FELIKS KONOPKA* w zbiorze p. t. „Słowa w ciemności” i *TADEUSZ MAKOWIECKI*, zdolny krytyk warszawski w wierszach, ogłaszanych na łamach „Pamiętnika Warszawskiego”.

EUGENJUSZ MAŁACZEWSKI.

W zaraniu twórczości zmarł prawdziwy, wielkiej miary poeta i mistrzowski prozaik-narrator *EUGENJUSZ MAŁACZEWSKI*. Dorobek jego twórczy ogranicza się do tomu nowel „Koń na wzgórzu” i cyklu poezyj „Pod lazurową strzechą” — ujmujących „wdziękiem niewymuszonej swobody wysłowienia, czystością i żołnierską prostotą wzruszeń, rzeczyby się chciało, tak rzadką dziś umie-

jętnością bezpośredniego wzruszania się, jakąś naiwnie zmysłową, śnieżystobiałą dziewiczością uczuć — owiewają szerokiem tchnieniem stepowem — uderzają bujną faliście, płynną potoczystością rytmów i rymów, goniących nieprzerwanie dowolnym, przeważnie nieokielzanym wstrofy ciągiem, cwałujących z wiatrem w zawody niby na nieosiodłanych źrebcach gdzieś z zaporoskiej Siczy... Wnosi z sobą rozmach i żywiołowy temperament kresowca o długim rozpierającym pierś oddechu" (Ortwin).

Prawy rycerz przemierzył Małaczewski czasu wojny szlaki rosyjskie, aż dostał się z bracią żołnierską na daleki Murman. Wrażenia owej chwili, kiedy ścigani przez zastępy bolszewickie ujrzeni żołnierze polscy morze, zamknie poeta w wierszu „Z olśnień chwili”.

„Dotąd pamięć o chwili tej, kiedy morze ujrzałem, w okrzyk duszę porywa mi i, jak spazm, targa ciałem”...

Poległym na dalekiej Północy poświęci poeta wiersz:

„Mogiłom Archangielskim i Murmańskim” i „Głos wiela mogił”.

W „Poematach wojennych” obrazuje grozę i potęgę wojny. Ziemia zamieniła się w arenę śmierci. „Jesteśmy na arenie wojennej, krwawej śmierci, co szarpie w okamgnieniu sto głów, sto ciał na ćwierci

i oczy gasi żywe, jak świec płomyki
nikłe ćmią wiatry przeraźliwe" („Are-
na śmierci”).

Na owej arenie przeszywają powietrze salwy
karabinowe i armatnie. „Świegot kul” i arma-
ty „wygrywają złowrogą symfonię, głosząc wielkość
chwili — „ten, kto żyje dziś, ten żyje
z żywiołami...! Wspaniały, nagi czyn
dziś wciska miecz do rąk...”

Z pożarów i morza krwi, z piekła wojny wyniósł
poeta wiarę w Polskę, w jej jasną przyszłość.

Po bitwie pod Kaniowem powstanie wiersz
„Niezlomni”, wiersz pełen niezłomnego przekonania,
iż polscy żołnierze „duchem twardego
i sercem jak kłosa prości upomną się
bagnetem o prawo do wolności”.

W drodze na Murman napisze poeta wzrusza-
jące głębią uczucia „Pożegnani e”.

Spodziewa się, iż powstaną z tajgi powstańcy
polscy, owi „co w ziemi zmarzłej do cna
w nędzarskiej leżą trumnie”, pójda ku
niemu i witać będą słowem „co jest serdecz-
nym jękiem”.

Przezuwa poeta potęgę Polski wskrzeszonej,
wierzy nieugięcie, iż wypełni się to, co wieszczili
Króle Duchy narodu. W czasach niewoli naród miał
ich czterech: Mickiewicz — Słowacki — Krasiński —
Norwid.

A „teraz piąty z wojen i burz na-
dejdzie w słowie i Polskę słupem
słowa zamiecie, naród pożarem Ducha
oczyści i Sławą wielką pójdzie po
świecie”.

jętnością bezpośredniego wzruszania się, jakąś naiwnie zmysłową, śnieżystobiałą dziewiczością uczuć — owiewają szerokiem tchnieniem stepowem — uderzają bujną faliście, płynną potoczystością rytmów i rymów, goniących nieprzerwanie dowolnym, przeważnie nieokiełznanym w strofy ciągiem, cwałujących z wiatrem w zawody niby na nieosiadłanych żrebcach gdzieś z zaporoskiej Siczy... Wnosi z sobą rozmach i żywiołowy temperament kresowca o długim rozpierającym pierś oddechu" (Ortwin).

Prawy rycerz przemierzył Małaczewski czasu wojny szlaki rosyjskie, aż dostał się z bracią żołnierską na daleki Murman. Wrażenia owej chwili, kiedy ścigani przez zastępy bolszewickie ujrzeli żołnierze polscy morze, zamknie poeta w wierszu „Z olśnień chwili“.

„Dotąd pamięć o chwili tej, kiedy morze ujrzałem, w okrzyk duszę porywa mi i, jak spazm, targa ciałem“...

Poległym na dalekiej Północy poświęci poeta wiersz:

„Mogiłom Archangielskim i Murmańskim“ i „Głos wiela mogli“.

W „Poematach wojennych“ obrazuje grozę i potęgę wojny. Ziemia zamieniła się w arenę śmierci. „Jesteśmy na arenie wojennej, krwawej śmierci, co szarpie w okamgnieniu sto głów, sto ciał na ćwierci

i oczy gasi żywe, jak świec płomyki
nikłe ćmą wiatry przeraźliwe" („Aren
na śmierci”).

Na owej arenie przeszywają powietrze salwy
karabinowe i armatnie. „Świegot kul” i arma-
ty „wygrywają złowrogą symfonię, głosząc wielkość
chwili — „ten, kto żyje dziś, ten żyje
z żywiołami...! Wspaniały, nagi czyn
dziś wciska miecz do rąk...”

Z pożarów i morza krwi, z piekła wojny wyniósł
poeta wiarę w Polskę, w jej jasną przyszłość.

Po bitwie pod Kaniowem powstanie wiersz
„Niezlomni”, wiersz pełen niezłomnego przeko-
nania, iż polscy żołnierze „duchem twardzi
i sercem jak kłosa prości upomną się
bagnetem o prawo do wolności”.

W drodze na Murman napisze poeta wzrusza-
jące głębią uczucia „Pożegnani e”.

Spodziewa się, iż powstaną z tajgi powstańcy
polscy, owi „co w ziemi zmarzłej do cna
w nędzarskiej leżą trumnie”, pójdą ku
niemu i witać będą słowem „co jest serdecz-
nym jękiem”.

Przeczuwa poeta potęgę Polski wskrzeszonej,
wierzy nieugięcie, iż wypełni się to, co wieszcz yli
Króle Duchy narodu. W czasach niewoli naród miał
ich czterech: Mickiewicz — Słowacki — Krasiński —
Norwid.

A „teraz piąty z wojen i burz na-
dejdzie w słowie i Polskę słupem
słowa zamiecie, naród pożarem Ducha
oczyści i Sławą wielką pójdzie po
świecie”.

I pełen radosnej wiary woła poeta: „Idzie już ku nam wiek Parakleta, czasy nastają, zbliża się cud, jest gdzieś u naszych dziejowych wrót: Wódz — Mąż Narodu — Harfiarz — Poeta”. („Czasy idą”).

W wierszu „Poetom Zmartwychwstałej Polski” każe „męskość niewiary w poklonną wierność przekobiec”, a wówczas zrodzi się dziecięca ufność w Boga — „z dziecka wzleci Orzeł-Mąż”, a wówczas „i lud wstanie — wielki Piast” i zawiesi pieśń nową „na pierś, jak ryngraf Matki Boskiej”.

Liryka wojenna i patriotyczna — to jedna struna poezji Małaczewskiego.

Groza wojny nie zagłuszyła w duszy poety umiłowania przyrody. Całą głębią serca ukochał ją Małaczewski. Odczuwa jej piękno, podziwia czar niewypowiedziany.

Istnieje najściślejszy związek przyrody z człowiekiem!

Trudno zaiste o piękniejsze liryki, jak: „Irysy przy fontannie” — „Astry” — „Motyle”.

Arcydziełem jest wiersz: „O wiosnie i słowikach”. Osiąga w nim poeta pełnię wymownej ekspresji.

„Z kunsztem przedziwnie wytrawnym, zapomocą niesłychanie gibkiej transpozycji dźwięków na odpowiednie, wciąż odmienne metafory, czerpane za każdym razem z innego zespołu znamienych przedmiotów oka-

lających kryjówkę ptasiego stanowiska, odgaduje po perlisternej tonacji trelów i stylu, słowiczego pięciospiewu, czy melodja jego wylewa się i dzwoni z gąszczu róż, leszczyny, wiśniowego sadu, z bzu, czy też z kasztanowej alei". (Ortwin).

Przyrodzie polskiej poświęci poeta: „Polskie sosny”. Szumią one człowiekowi: „Związańemy z wami na wieki przez kolebeczki, ciosane dla dzieci; i przez tarcice nasze, w które ćwieki wbija ubogi człek, gdy trumnę kleci—przez szubieniczne drzewo Traugutta, co jest najświętszym krzyżem polskiej męki (wiedz: najszczytniejsza miłość doń przykuta, żywicą wciekła w nasze, wszystkie sęki)”.

Poetę cechuje prawdziwa wiara chrześcijańska. Korna, a ufna wlewa siłę, daje spokój, przynosi szczęście.

Wpłynęła na nią świadomość, iż dni życia poety są policzone, iż znajduje się u progu śmierci. Z radością też oczekuje, iż „Noc minie... i Chrystus przyjdzie o poranku i odniesie nas Tobie (Bogu) na słonecznej tarczy”.

Wyrazem tej wiary są wiersze: „Znak Krzyża Świętego — „O nawrócenie słabych duchem” — „Psalm skruchy”.

Talent Małaczewskiego nawskroś rodzimy, wyrosły na glebie wielkiej poezji romantycznej.

Wnosi poeta wrażliwość bujną, a chłonną. Poezję jego cechuje niezwykła świeżość, pełna wyrazistości i obrazowości, oraz plastyczne odtwarzanie wrażeń akustycznych.

Nie ujdzie uwagi poety najlżejszy ruch i szmer w przyrodzie — wszelkie objawy życia i zjawiska ujmuje w chwili ruchu z żywiołową wprost siłą.

W twórczości swej jest zawsze pełen prostoty i przedziwnej pogody.

W przeczuciu, iż nad ścieżyną życia unosi się anioł śmierci, pisze jakby dla własnej jedynie pamięci, dla utrwalenia samemu sobie, wzlotów swych i uniesień — zrzeka się też kunsztu i niezwykłości poetyckich, posługując się najzwyczajniejszymi, niemal surowymi, nieobrobionymi, najbardziej pospolitemi w budowie i układzie sposobami wersyfikacji.

Brak jej wszelkiej sztuczności i pozy.

Odczytując wiersz Małaczewskiego, odczuwamy tchnienie prawdziwej poezji, wnikamy bezpośrednio do duszy ludzkiej, poimy się pięknem moralnym i słowem, pełnym szczerego, naprawdę polskiego serca.

Wkroczył Małaczewski do literatury jako talent w całej pełni dojrzały i oryginalny w tematach, wyrazie i stylu.

Niestety w zaraniu twórczości poezji polskiej wyrwała go śmierć!

* * *

Na pograniczu prozy i poezji znajduje się proza nowelistyczna *STEFANA GODLEWSKIEGO* (wiersze ujęte w ramy prozy nowelistycznej) p. t. „Grabinka”.

Pisarz wysokiej kultury literackiej, pierwszorzędny stylista daje utwory o doskonałej formie zewnętrznej, odznaczające się obrazowaniem zwarciem, pełnem przepychu. Z maestrią wprost pokonuje wszelkie piętrzące się trudności metryczne i stroficzne, dając utwory pisane naprzemian wierszem i prozą.

Poeta (!) to rzetelnego talentu!

Trudno jeszcze wydać o *ARTURZE PRĘDSKIM* jakiś skryształizowany sąd. Wydał on niewielki tomik „Poezyj”, liczący koło 30 utworów. W każdym razie dowodzą on kultury poetyckiej i bogatej psychiki, oraz szerokiej skali zainteresowań twórczych.

EMIL SKIWSKI — zdolny krytyk essay'ista dał tom utworów, zatytułowany „Człowiek wśród potworów”, a podtytuł „Peregrynacje”. Zabarwione satyrycznie stają się często groteską, w której Skiwski ujmuje pewne zdarzenia, nastroje i szkice portretowe. Naogół jednak brak poecie koniecznej lekkości i finezji — choć z drugiej strony nie można odmówić, by niektóre utwory nie wywoływały wrażenia (np. w cyklu: „Płomień na śniegu“...).

W ostatnich czasach debiutowało kilku najmłodszych poetów, wykazujących talent niepośledni — rokujących też na przyszłość wielkie nadzieje.

MICHAŁ RUSINEK ogłosił „Błękitną flotę”, zdobywając się na siłę wyrazu i znaczną ekspresję.

JAN SZTAUDYNGER, Krakowianin, „ekspatriował” się dla Poznania, stając się poetą „poznańskim”, jako autor „Ballad Poznańskich” — największą ich zaletą szczerość i prostota.

MARJAN CZUCHNOWSKI wydał „Poranek Goryczy”, mieszczący cały szereg tęgich wierszy, treścią swą i formą dowodzących rzetelnego talentu.

Starszy od nich *SWINARSKI*, tworzący również na terenie poznańskim, wytworny stylista i znawca teatru (inscenizacja Fausta), wydał kilka tomików poezji, z których ostatni „Błękitna godzina” zawiera utwory pełne prostoty i szczerego wdzięku.

b) POETKI.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA.

Najwybitniejszą poetką, a zarazem jednym z największych talentów poetyckich doby współczesnej jest *KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA*.

Wyszła z ziemi. Rodem ze Żmudzi, żyła w atmosferze tradycyj mickiewiczowskich i zanowskich. I choć znalazła się wreszcie na bruku miejskim, nawraca stale w swej twórczości do wspomnień dziecińczych, do dworu wiejskiego, a w pieśni jej odczuwamy tęsknicę do tych bezbrzeżnych równin litewsko-białoruskich, do owych tajemniczych lasów, do całego tego niezapomnianego świata, tak innego, niż miasto!

Zacząła pisać niemal w latach dzieciennych. Pod niektórymi wierszami widnieje data: 1907 rok.

Pierwszym jej zbiorkiem książkowym były „Ikarowe loty”, które pojawiły się jeszcze w roku 1912.

Od tego czasu talent Iłakowiczówny rozrasta się, potężnieje, nabiera siły — każdy nowy zbiorek poetycki świadczy o rozległej skali twórczej i o niezwykłym bogactwie uczuciowym poetki.

Plon jej poetycki liczy dotychczas 16 tomów.

Zasadniczą cechą poezji Iłakowiczówna jest jej religijność i to nie owa zdawkowa — lecz szczerą, głęboką, płynącą z przekonania. Stanowi ona punkt wyjścia całego szeregu liryk i poematów — nią zabarwia poetka spojrzenie na współczesne sprawy polskie.

Z religijnością tą ściśle zespala się naprawdę tradycyjny patriotyzm poetki.

Od „Kolęd polskiej biedy”, wydanych w roku 1917 (przedrukowanych w r. 1928) w zbiorze „Z głębi serca” — po wiersz „Wiara” ze zbioru „Popiół i perły” motywy religijne albo stanowią tematy całych utworów, albo zespalają się najściślej z innymi motywami natchnień poetki.

Pełna pokory zwraca się do Chrystusa: „Zstąp z gniazd swoich i pomóż mi dźwigać ciężar życia — zostanę przed Tobą, ujrzę Cię i nie puszczę”.

Zwraca się do św. Krzysztofa: „weź na ręce mię i na przeciwną stronę przenieś, bym nie zginęła, w pustce darmo szukająca brodu”.

Oczekuje Matki Bożej, która w niebo poszła...
„po miłosierdzie Boskie”.

A kiedy nadejdzie śmierć, „niech mi będą policzone te dni i godziny—powiedz wszystko Ty, Ty, Chryste w mej obronie...”

Zwłaszcza do Marji odnosi się poetka ze szczerem, z serca płynącym umiłowaniem.

W „Epilogu” do „Czarodziejskich zwierciadełek” modli się: „O Marjo... O Pani gwiazd złotych... Błogostawiona bądź po kraniec czasów...” Nazywa ją „Królową słońca i ziemi i gwiazd niezliczonych i Pięciu Mieczów Boleści”.

Na cześć Matki Boskiej Częstochowskiej poświęci szereg przepięknych wierszy — w nich określi rolę Najświętszej Panny w dziejach i życiu narodu Polskiego, dla którego Ona jest „i matką i ojczyzną, tem, co kochał, co czcił, za co walczył, za co mu ginąć przychodzi...”

Warto przytoczyć wiersz „Połów”, w którym poetka zwraca się do Marji w słowach pełnych żarliwości ducha: „O czarna Matko Boska, uwięziona w srebrnej ikonie, która trzymasz nad głową Dzieciątka wąskie, mocno złożone dłonie, spójrz na nędzę mego połowu, na dno moich podartych sieci i niech z rąk Twych nagle rozwartych ptak świetlisty cały, ku mnie zleci...”

Wśród liryk religijnych Iłakowiczówny znajdujemy szereg prześlicznych wierszowanych legend o Świętych Pańskich. Tak w tomie „Z głębi serca” mamy cykl p.t. „Krzysztof w służbie u Djabła” i „Teksty do obrazów Jana Henryka Rozena”.

Do najbardziej zaś oryginalnych ksiązek poezji polskiej, do najwspanialszych tworów poezji Iłakowiczówny należy bezsprzecznie „Złoty wianek”, — nowoczesna „Legenda aurea” polska o „Siedmiu braciach śpiących” — „O biednym Bogaczu i o świętym Żniwiarzu” — „O Duszcze świętej Krystyny” i t. d.

Poezja to najprostsza, a pełna słodyczy człowieka głęboko wierzącego, z niezachwianą ufnością odmawiającego do Pana Zastępów modlitwę poranną, czy wieczorną — rozmawiającego sam na sam z Bogiem w mrocznym wnętrzu kościółka wiejskiego.

Staje nam w pamięci cała polska literatura religijna — żywoty świętych, podania i legendy ludowe o polskich świętych, o duszach w czyśćcu cierpiących, o naszych patronach, o zjawiskach niebieskich...

Utwory to niezrównane, w których naiwność prostego ludu, żarliwość i pokora chrześcijanina, obok wizyjności groźny realizm obrazów i scen zespoliły się w jedną niezwykłą całość. „Styl utworów patetyczny, już to wzniosłe ustylizowany na prostotę staroświeckich żywotów, to znów jak najbardziej poufały, pozostający w intymnym kręgu pojęć, wyobrażeń moralnych, przesądów i fantastyki pokoju klucznicy, obwieszzonego obrazkami świętych...” (K. W. Zawodziński).

Religijność i patriotyzm przenikają dwa zbiorki: „Opowieść o moskiewskim męczeństwie” i „Z głębi serca”. „Opowieść” jest przepięknym poematem, poświęconym pamięci księdza Konstantego Budkiewicza, umęczonego przez bolszewików.

Temu świętemu kapłanowi poświęci również poetka pełen uczucia wiersz: „Głos księdza Budkiewicza z za grobu”.

Polskością przepojone są „Kolędy polskiej biedy” (1917—18), tak rzewne — na nutę kantyczkowej pieśni: „A lulaj-że, lulaj” — „Nie stało osła i wołu” — „Sukienki Jezusowe” — „Matka Boska nie ma dachu” — wyraz tęsknot i uczuć serdecznych milionów Polaków, odciętych od ziemi ojców.

Taż sama nuta przenika cykle: „Z domu niewoli” — „Wigilja powrotu” — „Dzwony zaduszne”.

Osobne miejsce w liryce patriotycznej Hłakowiczówny zajmują wiersze poświęcone sprawie Litwy.

Rodem ze świętej Żmudzi, — uczuciowo-sercem zrosła z krainą nadniemeńską — zasłuchana w głosy płynące od kresów północno-wschodnich, nie może pojąć owej nienawiści, jaka rozdzieliła dwa bratnie narody. Cierpi też niewymownie nad rozłamem, marząc o pojednaniu Orła i Pogoni.

Tak powstanie „Głos w sprawie Litwy”, który kończy modłami: „Tylko ulecz nas, Matko, od klótni, tylko ratuj nas, Matko, od zwady. — Daj szeroko wspólny sztandar rozwinąć ponad całym krajem — bez plamy... Pogódź nas

z bratnią Litwą, Królowo Ostrej Bramy”.

Toż samo umiłowanie najbliższej ojczyzny cechuje wiersz „Do Wilna”, miasta dzieciństwa poetki.

Przepięknym hymnem na cześć żołnierza polskiego jest wiersz, godzien zewszechmiar pamięci „O polskim żołnierzu”.

W świat poezji Iłłakowiczówny wkracza jako nierozłączna jej cecha charakterystyczna — baśniowość. Przeniknięte są już nią „Żywoty Świętych”.

Na motywach baśniowych i fantastycznych oparte są: „Czarownica” — „Strzyga” — „Bajka o złej matce”... Baśniowość tę znajdziemy w „Rymach dziecięcych”.

„Świątek mały, w którym dziecko się obraca, uległ poetyckiemu przetworzeniu”. Owe rymy o „Złym człowieku” — „Córce korsarzy” — „Dziewczynce”... mimo nazwy „dziecięce” są twórami najczystszej poezji, w której zlały się w jedną całość: naiwność duszy dziecięcej, stylizacja nianinego bajania i wspaniała poetyczna fantastyka autorki”.

Losy rzuciły poetkę na bruk miejski. Sercem jednak pozostała ona zrosła z ziemią, za którą ogarnia ją niczem nieukożona tęsknica.

Gniazdo jej rodzinne — ów dwór wiejski, by przecudowne mirażę przesuwają się przed jej oczyma, choć rzeczywistość mówi, iż ów „cichy brzeg zgubiony wśród łąk, wśród wierzb”

i: „dałabyś dziś wszystko za te ścieżki leśne i polne, aleć nie wolno. — Dziś oto nie masz domu... ach, gdzie są twoi?”

Tak powstała w twórczości Iłłakowiczówny poezja dworu wiejskiego — poezja wsi — borów i pól i ludzi białoruskich.

Utwory te najszczerze i najbezpośredniejsze, najprostsze, pełne prawdziwego, tak bardzo przekonującego realizmu i rzadko spotykanego wczucia się w krajobraz rodzimy, a przeto najbardziej trafiającego do serca...

Oto cykl cały poświęcony „Domowi naszemu”, w którym przy pomocy niesłychanie prostych środków wywołane zostały pełne uroku obrazy całego owego czarownego świata, prawie że dotykalne w swej rzeczywistości, tego świata, który na całe życie zapadł głęboko w duszy poetki.

Oto „Baby” — „Dziewczęta” — „Róża” — „Kacapi” — „Tamtejsi” — „Gospoia” — „Kupcy w Krasławiu”.

Oto obrazy „Dwóch kościołów” — „Cmentarza w Jurahowie” — „Wabolskiego jeziora” — „Liksnieńskiej kniejki”.

A na polach i w sadzie: „Trawy i kwiaty” — „Len” — „Berberys”... — „Kartofle” — „Jęczmień”...

I całe to życie, tak obce dla człowieka z miasta, a tak urokliwe dla zrosłego z ziemią, przesuwa się by w kalejdoskopie przed nami. Obrazy pełne czaru i plastyki, tak niezmiernie proste, a tak niezmiernie

wzruszające. „Czyż jest bowiem, gdzie taka uroda druga“? — pyta się poetka.

Czyż może być coś bardziej przemawiającego do człowieka jak np. taki wiersz:

DWÓR W DOROTPOLU.

*„Nad jeziorem — aleja lipowa:
tam mieszkała pani Piotrowiczowa.
Dwór miała rozłożysty, sad wielki i stromy,
kiedykolwiek się przyszło zawsze była w domu;
nastawiała konfitur na białej serwecie
i mówiła: To dla was dzieci. Jedzcie... jedzcie!“*

A takich wierszy moc w każdym zbiorze Iłakowiczówny, a zwłaszcza w ostatnim jej tomie „Pióło i perły“, jednym z najpiękniejszych, jakie wogóle zna najmłodsza poezja polska.

Poetce naogół obce są zagadnienia społeczne i polityczne (wyjąwszy głosy w sprawie Wilna i Litwy) — możnaby śmiało mówić o bezprogramowości jej poezji. Nie rzuca żadnych programów i haseł — nie naucza, maluje tylko życie i ludzi tak, jak się jej przedstawiają przez pryzmat uczucia.

Dochodzimy też do zasadniczych cech jej twórczości: pełna prostoty bezpośredność uczucia — serdeczna tkliwość — liryzm, a nadewszystko... przenikająca wszystko kobiecość!

Język jej przepyszny — bogaty — niesłychanie plastyczny — nie waha się poetka sięgnąć do rzeczywistości i wydobyć z niej najpospolitszych, zna-

nych w życiu codziennem nazw (np. nazwy kwiatów ogródkowych i doniczkowych), przejmuje archaiczny — owoc lektury starych modlitewników i żywotów świętych. Świat gwarowy białoruski dostarczy jej wreszcie „owych klasycznych“ nazw: świronki, szurpaty, lebioda, kostropaty, dyrwany i t. d.

A wiersz? — cechuje go nadzwyczaj bogate i oryginalne wierszowanie. Włada poetka każdą formą wiersza — najlepiej jednak czuje się w swoistym wersecie.

Czasem zaleci nas jakby recitativo litanij i echo nabożeństw kościelnych, chwilami słyszymy jakby pieśń ludową, jakąś rzewną, a tęskną kołysankę — to owe rozlewne zawodzenie wsi białoruskiej.

Jeżeli można mówić o pełnej harmonji treści z formą — o wyrażaniu uczuć swych i myśli zapomocą słowa poetyckiego — to najwyższym owej harmonji wyrazem jest poezja Iłłakowiczówny — najszczerzej poetki — prawdziwej chluby naszej poezji — najbardziej może rodzimej!

Znajduje się poetka w pełni rozwoju.

Nieograniczone jeszcze są możliwości jej poezji!

* * *

Jak nad bracią apollinową zaciążył wpływ Tuwima, tak na nasze poetki — pominąwszy już autora „Czyhania na Boga“ — oddziaływały Iłłakowiczówna i Pawlikowska.

Wpływy owe widzimy w „Domu na wyspie“ JANUSZEWSKIEJ, w „Wiośnie i le-

cie" *ZNATOWICZ - SZCZEPAŃSKIEJ*; częściowo w „Pszczółach w słoneczniku” *OBER-TYŃSKIEJ*, szczerzej i utalentowanej, pełnej wdzięku poetki (cykle: „Pszczóły w słoneczniku” — „Podwórko”), w „Niepotrzebnem sercu” i „Jarzębinach” *MORTKOWICZÓWNY* (wiersze „Depesza” — „Pogrzeb” — „Zaduszki na Rossie” — „Stary kirkut”), w „Tańcach” i „Wstęgach” *ROSCISZEWSKIEJ* (piękne cykle: „Tańce” — „Modlitwy” — „Moje dzieciństwo”).

Czasem mimowoli nasuwają się na pamięć nazwiska inne. Tak „Rok Boży” *MILASZEWSKIEJ* (liczący 12 poemacików), przypomina nam „Mały Świątek” Lenartowicza (!), również poświęcony miesiącom roku.

Nader ciekawym debjuten poetyckim był tomik „Któregoś dnia” *HALINY KONOPACKIEJ*, głośnej zawodniczki olimpijskiej.

Tematem jej wierszy sprawy zgoła nie sportowe, lecz najbardziej osobiste, a więc: miłość, żal za minionym bezpowrotnie rajem szczęsnego dzieciństwa, tęsknota, rojenia młodzieńcze...

Wolne od wszelkiej niezwykłości i przesady, uczucia ich najbardziej proste — „jednym rymem najprostszym własne otworzę serce” (motto poetki) — przemówić muszą do każdego serca człowieczego (wiersze: „Zazdrość” — „Skrzypce” — „Wies” — „List”).

Język bogaty, dbałość o ścisłość wysłowienia, obok daru obrazowania i muzykalności wiersza stwierdzają prawdziwy talent poetki.

Pięknie zapowiadającym się talentem kobiecym jest ANNA SŁOMCZYŃSKA, autorka zbiorku poezyj „Barwy i Dźwięki” i poematu o Chrystusie „Niebieski Gość”.

W szranki poetyckie wkracza cały szereg kobiet. Ilość ich mnoga, a stale się powiększa.

Obok już renomowanych przedstawicielek starszego pokolenia, jak: WOLSKA, CZERKAWSKA, SZPYRKÓWNA, RABSKA, KASTERSKA, SAWITRI, DICKSTEIN-WIELEŻYŃSKA, GROSSEKORYCKA... mamy już młode i najmłodsze poetki w osobach LIGOCKIEJ, ALBERTI, KRUSZEWSKIEJ, JABŁONSKIEJ, ŻYTOMIERSKIEJ, ZAWADZKIEJ, LEWICKIEJ, STAWARSKIEJ, WOKULSKIEJ, FONBERG-LUNIEWSKIEJ, ROGOSZ-WALEWSKIEJ, ŁAZAWERTÓWNY...

Tak bujnie rozkwita twórczość kobiet-poetek. bogacą one walnie poezję polską, wnosząc swemi dziełami do literatury kobiecość we wszelakich jej objawach!

NOWE RYMY (ASONANSE)

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

(ESKIMOS) AMAN AMON

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

błędy w wersyfikacji. Np. w „Bogurodzicy” mamy rymy podobne: głosy — myśli; boży — zbożny. W innych pieśniach: poczęła — porodziła; poselstwo — bóstwo; radości — boleści; radość — gość; dokonał — posłał; żywot — kłopot; i t. d.

Liczne asonanse znajdziemy u Reja: w Egipcie — obficie; mieć — pomścić; — widzę — idzie; poruczam — żegnana...

U Bielskiego: uciekać — lękać; siostrzyczko — wszystko; kinęła — mówiła... *).

Asonanse takie są bardzo częstymi rymami w poezji ludowej, np.: zielona — jedyna; bawic — zabić; czynię — żyję; służyła — sadyła; dwanaście — staroście; krótka — kradał... **).

Na popularność asonansu u nas w pewnej mierze mógł oddziaływać i przykład poezji rosyjskiej, w której Błok i Siewierianin, porzuciwszy tradycyjne rymy, stali się wyznawcami asonansu.

W najmłodszej poezji polskiej na szeroką skalę posługiwał się asonansem pierwszy *JAROSŁAW IWASZKIEWICZ* w najwcześniejszym swym zbiorze „Oktostychy”, wydanym w Warszawie w roku 1919-ym, oraz w „Siedmiu wierszach”, pisanych w tym samym czasie (a wydanych dopiero w r. 1925 p. t. „Kasydy zakończone siedmioma wierszami”).

Przykład Iwaszkiewicza oddziaływał na innych poetów.

*) Według Łosia.

**) Według Bystronia.

Posługują się asonansem *TUWIM, SŁONIMSKI, PAWLIKOWSKA, IŁŁAKOWICZÓWNA, PODHORSKI-OKOŁOW, BRZOSTOWSKA, KOZIKOWSKI...*, by pominąć już innych Skamandrytów, Czartakowców, Kwadrygowców i licznych poetów niezrzeszonych.

Oto kilka przykładów asonansów:

IWASZKIEWICZ JAROSŁAW.

S P O T K A N I E.

*W baldachimy altany, kędy stoją rzęde m
Rozwiane złote chmury w paciorkach jarzębin,
Gdzie winogron purpura namioty ci sprzęgła,
Wychodzisz na spotkanie z małw płomiennych
grędy.*

*Promień przez winne sploty i liście opuncji,
Jak w aureole, w złote ozdabia cię punkty,
A ja najśodsze votum przed twój wizerunek
Składam na twoich uśmiech koral pocałunku.*

TUWIM JULJAN.

F L E C I S T A.

*Był piegowaty mały flecista
W wielkiej słonecznej orkiestrze.
Grzmiące symfonje targwały przestrzeń,
A on w swój flecik świstał.*

*Oczki kaprawe błogo przymykał
I mdlał w łkającym spazmie.*

Burzą huczała groźna muzyka
 W szalonym entuzjazmie.
 Grał piegowaty mały flecista
 Dla pani w trzecim rzędzie.
 Była to pani modro złocista,
 Jak mgława dal w Legendzie.
 I dał płucami i piszczał o tem,
 Że płacze nocą i tęskni!
 Niech jej opowie straszną tęsknotę
 Ten pisk, ten pisk zwycięski!
 Niech ona wstanie i świętą dłonią
 Z ust pocałunek mu przesyła!
 Patrzcie — powstaje, wstaje na krzesła
 Flecista nad symfonią!
 Patrzcie — on krzyczy w natchnionym szale
 I pięści zaciska w gniewie,
 Że jego fletu nie słyszą wcale,
 Że ona o niczem nie wie!
 I jeszcze ryczą trąby, puzony,
 Wiole zanoszą się szlochami,
 A już do krzesel zamęt skłębiony
 Runął spiętrzonego echem.

IŁŁAKOWICZÓWNA KAZIMIERA.

JEDYNE WYJŚCIE.

Jedyne wyjście z matni — śmierć wygląda jak ople-
 ciona czerwoną różą,
 a na niej śpiewa rajski ptak o miłości, której żadna
 żądza nie znaczy,
 o głębokości serca, której żadna cisza nie uspokoi...
 ... o mnie, o tobie ...o matce mojej.

KOZIKOWSKI EDWARD.

BRACIOM POKUTNYM.

*Braciom pokutnym, idącym po traktach
w nędzy żywota wznioślejszej nad radość
świadomość cnoty towarzyszy zradka,
jak pól śpiewakom i nieba sąsiadom.*

*W pokorze twarzy przyklękiej po łanach
snuje się przędza szarej codzienności,
w której żarliwe uwielbienie Pana
przymierzem łączy, wyrasta z miłości.*

*Może promienie modlitewnych blasków
obudzą czasem uśmiech zrozumienia,
gdy pokutnicy napelnieni łaską
gną rzeczywistość ciężarem marzenia.*

Utalentowana poetka *BEATA OBER-
TYŃSKA* w ten sposób charakteryzuje
asonans:

ASONANSE.

*Wiersz, dawniej bywało, swój żupan papuzi
Zapinał sumiennie na ostatni guzik.
Dziś, tak się spieszy okropnie,
Że nawet pyjamy nie dopnie!..
Taka moda!... Gdy minie, napowrót wypukle,
strofę na guzy rymów pozapina szmuklerz.*

W dziedzinie rymów asonansowych możnaby wy-
szukać kilka grup.

Najliczniejszą grupę stanowią asonanse, które
polegają na pełnej zgodności samogłosek i spółgło-

sek, z wyjątkiem spółgłoski, która, jako wygłosowo słaba w jednym z rymujących wyrazów, nie spotyka się ze współdźwiękiem w drugim (Thule — amulet; marynarza — twarzach; zażarta — tartak).

Wyraz kończący się na zgłoskę otwartą rymuje się z wyrazem zakończonym na zgłoskę zamkniętą, przyczem końcowa spółgłoska jako wygłosowa jest słabo artykułowana, skutkiem czego dla ucha oba „rymujące“ wyrazy robią wrażenie rymu prawidłowego.

W drugiej grupie ostatnia samogłoska lub spółgłoska, jako najslabiej artykułowana w jednym z rymujących wyrazów odpowiada w drugim nie identycznej, jak w rymie prawidłowym, lecz pokrewnej, lub całkowicie różnej (wieczór — przeczuł; żalem — Magdalen).

W dalszej grupie asonans polega w pierwszym rzędzie na zgodności wokalicznej w końcowych zgłoskach rymujących wierszy — podobnie jak w pieśni ludowej.

Poeci używający tego rymu, nie ograniczają się do wyłącznej zgodności samogłoskowej, lecz tu i ówdzie, w środku lub na końcu wyrazów dają częściwo zgodność konsonantyczną, aby nie zacierać wrażenia rymu (desce — ze chce; księżycą — zazwyczaj; nakarmić — sieczkarni*).

Wymienione trzy grupy asonansowe są najczęściej spotykane i używane przez najmłodszych.

W poetyce „Najmłodszej Polskiej“ asonans odgrywa wybitną rolę — stanowi on dalszy etap

*) W pewnej mierze opierano się na artykule Adama Szczerbowskiego (patrz bibliografia).

w poszukiwaniu nowych dróg, celem oddania przeżyć
nowoczesnego człowieka i rytmu współczesnego życia.

Nadaje też on oryginalne piętno utworowi po-
etyckiemu. Wzbogacił dźwięczność wiersza, a kryjąc
w sobie mnogie możliwości w dziedzinie rymowania,
stał się nowem, nie wyzyskanem jeszcze w pełni źró-
dłem uroku i piękna!

Jesteśmy na przełomie. Odeszli już poeci okresu „Młodej Polski“, lub też za życia na stałe zamilkli. Nieliczni tylko z nich od czasu do czasu rzucają jakiś tomik, wiersz jakiś, jakby na zamknięcie dotychczasowej swej twórczości. Spoczął więc u stóp Tatr *KASPROWICZ*, odszedł *LANGE*, *SŁOŃSKI*, ucichli *MIRIAM*, *TETMAJER*, (by już pominąć innych).

Nie wypuścił jeszcze lutni z dłoni *STAFF* — a i „Biblioteka poetycka Hoesicka“ zawiera jeszcze nazwiska starego pokolenia poetyckiego: *WROCZYŃSKI*, *MORSTIN*, *MŁASZEWSKI*, *OSTROWSKA*) — wspomnieć jeszcze *PAWLIKOWSKIEGO*, *WOLSKA*, *ROSSOWSKIEGO*, *PIETRZYCKIEGO*, *ZBIERZCHOWSKIEGO*, *KLESZCZYŃSKIEGO*, *WAŚKOWSKIEGO*, *OR-OTA*, *RUFFERA*, *MAKUSZYŃSKIEGO*, *LEMAŃSKIEGO*...

Są to już jednak ostatni!

Rodzi się zaś nowa poezja, przychodzą do głosu nowe hasła, programy, nowe zagadnienia — związane z dobą współczesną i wypływające ze zmienionych warunków politycznych — wszak istnieje Polska wskrzeszona!

Narazie stwierdzić należy ogromny rozkwit poezji. Rozkwit to jednak raczej ilościowy niż jakościowy! Wprost zalew poetycki ogarnął Polskę!

Niezmierna zaiste mnogość poetów! Niekończący, zdaje się, potop utworów poetyckich!

Nie będzie przesadą, jeżeli ilość „zbiorków poetyckich” z okresu dwunastoletniego (1918—1930) określimy na przeszło 2000 pozycji!!

Poetów tych znajdziemy we wszystkich miastach i miścinach Polski, a z każdym niemal miesiącem ilość ich wzrasta!

Piękny to byłby objaw, gdyby w większości wypadków nie była owa twórczość zwyczajną grafomanią, najgorszego — niestety — rodzaju!

W chaosie tym jednak nie zanikło prawdziwe piękno, nie zaginęła prawdziwa poezja!

Pojawiają się wielkie talenty — poeci szczerzy — których twórczość staje się błogosławieństwem — prawdziwi mistrze formy.

Początkowo, ulegając wpływom obcym, przejmując się pięknem Zachodu czy Wschodu, stopniowo otrząsają się z owych naleciałości, zdobywając się wreszcie na własny wyraz, na własną formę.

Ciekawym zjawiskiem doby współczesnej są liczne szkoły i grupy poetyckie, skupiające poetów w imię pewnych haseł.

Czasem trudno się w nich wyznaczyć — programy ich są tak do siebie zbliżone — a czasem tak niejasne i pełne frazeologii, a pozbawione własnego oblicza.

Grupy owe często znikają bez śladu — liczne dezercje poetów, na porządku dziennym secesje — nie pozwalają stworzyć sobie jasno skryształowanego obrazu.

Odczuwamy jednak, że w tym chaosie i okresie wrzenia, prawdziwego „Sturm und Drangperiode” wyłania się nowa liryka Polski, budzi się twórczość Polski Niepodległej — wolnej od jakichkolwiek tonów niewoli — zgrzytów zaborów.

Takie nazwiska, jak: *TUWIM*, *IWASZKIEWICZ*, *SŁONIMSKI*, *PODHORSKI*, *IŁŁAKOWICZÓWNA*, *PAWLIKOWSKA*, *LECHOŃ*, *WIERZYŃSKI*, *ZEGADŁOWICZ*, *MAŁACZEWSKI* byłyby ozdobą każdej literatury.

A obok tych świetnych nazwisk nie wolno nam zapominać o dziesiątkach innych rzetelnych talentów, których tomiki poetyckie mieszczą prawdziwe arcydzieła.

Obejmują oni w swej twórczości szerokie horyzonty myślowe, poruszają całą skalę zagadnień współczesnego życia, stają się odbiciem epoki we wszystkich jego objawach.

W liryce tej rozbrzmiewają wszelakie tony: i nuta patriotyczna — religijna — społeczna i ogólnoludzka. Poeci potracają o wszelkie struny duszy ludzkiej. Piewcy człowieka, jego trudu życiowego i uczuć, malarze haseł i dążeń zbiorowych, umiłowaniem swem obejmują również przyrodę, która jest dla nich ukojną przystanią po zgiełku i wrzawie miasta rojnego.

Poeci ci wchodzą już w swój wiek męski, w okres talentu dojrzałego.

A równocześnie zjawiają się liczni „najmłodsii” — nieraz rokujący wielkie nadzieje.

Jeden z krytyków literackich nazwał słusznie obecny okres poezji polskiej „przedwiośnią”!

W rzeczywistości mamy to przedwiośnie!

Twórczość obecną uważamy za podglebie, na którym dopiero wyrośnie wielki poeta Polski Odrodzonej — stanowiący syntezę wszelkich uczuć — myśli i pragnień współczesnego wolnego Polaka!

CZĘŚĆ TRZECIA

1. Jednostki, z których...

- 1) Inżynieria i architektura, warszawa 1921.
- 2) ...
- 3) ...
- 4) ...

CZĘŚĆ TRZECIA

2. Członkowie

- 1) Almondy i inne...
- 2) ...
- 3) ...

СЪЕЗДЪ ЛВЪЕСІУ

ORGANY POSZCZEGÓLNYCH GRUP.
POETYCKICH.

1. *Jednodniówki, manifesty poetyckie.*

- 1) *1a Jednodniówka futurystów*, manifesty futuryzmu polskiego — czerwiec 1921.
- 2) „*Nuż w bżuhu*” 2-a jednodniówka futurystów — listopad 1921.
- 3) „*Tak*” ulotka futurystów warszawskich 1918.
- 4) „*Niebieskie pięty*” jednodn. futurystów warszawskich 1920.
- 5) *Gga* — pierwszy polski almanach futurystyczny 1920.

II. *Czasopisma.*

- 1) *Almanach Nowej Sztuki*, redaktor Stefan Gacki, Warszawa 1924—25 (3 zeszyty).
- 2) *Awangarda*, red. Jasiński, Stern. Warszawa 1924 (1 num.).
- 3) *Błok*, red. Hen. Stażewski, Edm. Miller, Miecz. Szczuka, Warszawa 1924—26 (11 zesz.).
— organ najsłabszych konstruktywistów, wyrosłych z kubizmu.

- 4) *Czartak*. Organ zboru poetów grupy; red. 1-go num. J. N. Miller i E. Zegadłowicz, 2-go tomu J. N. Miller, Edw. Kozikowski i E. Zegadłowicz, 3-go rocznika Emil Zegadłowicz, Warszawa—Kraków. 1922, 1925, 1928 (3 num.; 2-gi i 3-ci rocznik stanowią wielkie tomy), organ grupy „Czartaka“.
- 5) *Formiści*, red. Leon Chwistek, Tytus Czyżewski, Kon. Winkler; organ formizmu polskiego, Kraków 1919—1920 (6 zesz.).
- 6) *Hiperbola*, Kraków 1922 (1 num.).
- 7) *Katalog formistów krakowskich*, Kraków.
- 8) *Kadra*, czasopismo literackie, Warszawa—Lublin—Łódź, od 1-go stycznia 1930 (dot. 3 num.).
- 9) *Kwadryga*, miesięcznik literacki, red. Władysław Sebyła, Warszawa, rok trzeci (od 1928); organ grupy poetyckiej „Kwadryga“ (wychodzi w odstępach nieregularnych).
- 10) *Lucifer*, miesięcznik poetycki, Lublin 1922 (2 czy 3 zesz.?).
- 11) *Meteor*, miesięcznik poetycki, Warszawa—Łódź 1928 (2 num.).
- 12) *Miesięcznik literacki*, Aleksander Wat, Warszawa, od grudnia 1929—1930 (doł. 13 zeszytów), organ pisarzy proletarjackich.
- 13) *Nowa Sztuka*, miesięcznik artystyczny. Jar. Iwazkiewicz, An. Stern. Warszawa, listop. 1921 — luty 1922 (2 zesz.).
- 14) *Ponowa*, red. Emil Zegadłowicz, Jan Nep. Miller, Warszawa 1921 (5 num.).
- 15) *Praesens*, red. Stażewski, Warszawa 1926 (1 zeszyt), kontynuacja Bloku.

- 16) *Pro arte et studio* (następnie tylko „Pro arte”), czasopismo literackie, red. Edw. Boyé, Wład. Zawistowski, Warszawa, marzec 1916—1918, organ Picadorczyków.
- 17) *Quincunx*, miesięcznik literacki, Warszawa 1922 (2 num.).
- 18) *Reflektor*, Czasopismo literackie. Lublin 1926.
- 19) *Skamander*, miesięcznik literacki (poetycki), Warszawa, stycz. 1920—1928 (56 zeszytów), organ grupy „Skamandra” — kontynuacja „Pro arte”.
- 20) *Współczesność literacka*, dwutygodnik artystyczny. Warszawa 1930, organ grupy „Kadra”.
- 21) *Zdrój*, red. Wit. i Jerzy Hulewiczowie, Poznań, październik 1917—1922 (79 zeszytów), organ ekspresjonistów polskich.
- 22) *Zwrotnica*, red. Tad. Peiper, Kraków 1922—1927, organ formistów (grupy „Zwrotnica”) (12 zeszytów).

B I B L J O G R A F J A

I. Czasopisma.

- a) *Gazeta literacka*, dwutygodnik, Kraków 1926—1928.
- b) *Głos literacki*, dwutygodnik, Warszawa 1928.
- c) *Pamiętnik Warszawski*, kwartalnik, Warszawa, 1929 (od 1 kwietnia 1930 r. miesięcznik).
- d) *Przegląd współczesny*, miesięcznik, Kraków 1922 — przegląd poetycki prowadzi K. W. Z. (Karol Wiktor Zawodziński).
- e) *Przegląd warszawski*, miesięcznik, Warszawa 1921—1925 (razem 51 num.) — przegląd poetycki prowadzili: Ostap Ortwin, Stefan Kołaczowski, K. W. Zawodziński.
- f) *Wiadomości literackie*, tygodnik, Warszawa od 1924 r.
- g) *Dział Kultury i Sztuki*. Stała rubryka Kurjera Poznańskiego.
- h) *Europa*. Miesięcznik, red. St. Baczyński, Warszawa od r. 1929.
- i) *Kwadryga*.
- j) *Kadra*.

II. Książki i ważniejsze artykuły.

- 1) *Bergel Rajmund*. Współczesny Kraków literacki — lirycy, Kraków 1924.
- 2) *Bergel Rajmund*. Wśród poetów na krakowskim bruku. Dział kultury i sztuki Kur. Poznańskiego 1930, Nr. 116.
Najnowsi debiutanci krakowskiej poezji (Zechenter, Rusinek, Czuchnowski). Dział kultury i sztuki Kur. Poznańskiego 1930, Nr. 511.
- 3) *Chwistek Leon*. Tytus Czyżewski i kryzys formizmu. Kraków 1922.
- 4) *Czachowski Kaz.* Zegadłowicz, dod. literacko-naukowy II. Kurjera Codziennego, Kraków 1929, Nr. 190.
- 5) *Czachowski Kaz.* Marja Pawlikowska. Dodatek literacko-naukowy II. Kurjera Codziennego, Kraków 1929.
- 6) *Czachowski Kaz.* Poeci Kwadrygi. Tygodnik ilustrowany, Warszawa 1929, Nr. 51.
- 7) *Dębicki Zdzisław*. Laureatka Wilna — Kaz. Iłłakowiczówna. Kurjer Warszawski 1930, Nr. 35.
- 8) *Dobrowolski Władysław*. Ostatnia szkoła poetycka w Krakowie. II. Kurjer Codzienny. Dodatek literacko-naukowy. Kraków 1930, Nr. 5.
- 9) *Feldman Wilhelm*. Współczesna literatura polska, tom III (1907—1918). Warszawa.
- 10) *Feldman W.* Współczesna literatura polska. (Uzupełnił okresem 1918—1923 Władysław Lam. Lwów 1923).
- 11) *Wyd. VII.* Okresem 1919—1930 uzupełnił Stef. Kołaczkowski, Kraków 1930.

- 12) *Grzegorzcyk Piotr*. Rymy stare i nowe (o asonansach Kozikowskiego i Iłakowiczówny). *Gazeta Warszawska* 1929, Nr. 217.
- 13) *Horzyca W.* Karmazynowy poemat (Lechonia). „*Dzieje Konrada*”. Warszawa 1930, str. 113—136.
- 14) *Hulewicz Witold*. Iłakowiczówna Kazim. „*Źródła mocy*”. Wilno 1930, Nr. 6.
- 15) *Iwaszkiewicz Jar.* Słonimski jaki nam nie wróci. *Wiadomości Literackie*. 1930, Nr. 35.
- 16) *Kozikowski Edward*. O grupie literackiej „*Czartaka*”. *Głos Prawdy*, tygodnik. Warszawa 1929. Nr. 312—14.
- 17) *Lam Władysław*. Współcześni pisarze polscy. Warszawa. (Instytut wydawni. „*Placówka*”).
- 18) *Łoś Jan*. Wiersze polskie w ich dziejowym rozwoju. Warszawa.
- 19) *Napierski St.* Matematyka natchnienia (o „*Poranku goryczy*” Czachnowskiego). *Wiadomości Literackie* 1930, Nr. 35.
- 20) *Peiper Tadeusz*. Nowe usta. Odczyt o poezji. Lwów 1925.
- 21) *Peiper Tadeusz*. Tędy (artykuły ogłaszane w *Zwrotnicy*). Warszawa 1930.
- 22) *Piechal Marjan*. Współczesne poetki polskie. *Głos Poranny*. Łódź 1930. Nr. 242.
- 23) *Rzymowski Wincenty*. *Kazimierz Wierzyński*. *Pamiętnik Warszawski* 1930, zes. 3-4.
- 24) *Rzymowski Wincenty*. Elan vital na greckim pomniku. *Kazimierz Wierzyński w nowych granicach świata*. *Wiadomości Literackie*, 1930, Nr. 38.
- 25) *Skiwski E. J.* Sprawa Zegadłowicza. *Wiadomości Literackie*. 1929. Nr. 51.

- 26) *Sobeski Michał*. To idzie oporem (o organach poszczególnych grup poetyckich). Dział Kultury i sztuki Kurjera Poznańskiego. 1929. 30 listopada.
- 27) *Stur Jan*. Na przełomie. O nowej i starej poezji. Lwów 1922. (Poezja nowa Polski Zmartwychwstałej. Dalszy rozwój Piccadorczyków. Tuwim. Słonimski. Lechoń. Wittlin. Czyżewski. Skamander. W trzecią rocznicę Zdroju. Zegadłowicz. Ekspresjonizm).
- 28) *Szczerbowski Adam*. Dziesięciolecie asonansu. Ruch literacki. Warszawa 1929 Nr. 7.
- 29) *Szykowski Marjan*. Współczesna literatura polska (1863—1923). Poznań. 1923
- 30) *Szykowski Marjan*. Poezja. Dziesięciolecie Polski Odrodzonej. Księga pamiątkowa 1918-28. Kraków. 1928, str. 651—657.
- 31) *Wasilewski Zygmunt*. Poeci i teatr (...Kaz. Iłakowiczówna. Wyobraźnia ekscentryczna). Warszawa 1929.
- 32) *Wal Aleksander*. Wspomnienia o futuryzmie. Miesięcznik Literacki. Warszawa 1930. Nr. 2 i 3 (w num. 5-ym dał pewne sprostowanie).
- 33) *Winkler Konrad*. Formiści polscy. Warszawa. Monografie artystyczne. XIV.
- 34) *Wojciechowski Konstanty*. Dzieje literatury polskiej, wyd. II. Lwów. 1926.
- 35) *Wojciechowski Konstanty*, wydanie III, str. 379-403. Lwów. 1930.
- 36) *Zegadłowicz Emil*. W obliczu gór i kulis. Poznań. 1927. (O kształtowaniu się idei. W obliczu gór i kulis. O legionie czartakowskim...).

ALFABETYCZNY SPIS AUTORÓW wymienionych w literaturze

Alberti	376
Andre	357
Baliński	296, 322
Balmont	263, 295
Bandrowski	296
Bąkowski	357, 358
Baudelaire	284
Bederski	267, 284, 285—286
Berent	281
Bergel	258
Bielski	380
Birkenmajer	340, 345
Błok	263, 331, 380
Bogusławski	358
Boyè	289
Braun M.	266, 319—320
Braun Jerzy	347, 348
Briusow	265
Broniewski	296, 330, 331
Brucz	277
Brzechwa	296
Brzęczkowski	277
Brzękowski	275
Brzostowska	340, 345, 346, 381
Brzozowski	326
Bystron	380
Capek	281
Carducci	281
Ciesielczuk	327
Chwistek	273, 281
Claudel	281
Czechowicz	329
Czereśniewski	334
Czerkawska	376
Czuchnowski	366

Czyżewski	271, 273, 274, 277, 281
Dickstein—Wieleżyńska	376
Dobrowolski	327
Ejmond	289, 296, 325
Eminowicz	258, 265—266
Feldhorn	347, 348—349
Flukowski	327
Fonberg—Łuniewska	376
Fryde	334
Gańczyński	327
Gałuszka	347, 350—352
Gembarzewski	359
Godlewski	364—365
Grossek—Korycka	376
Hanys	340, 342
Heine	284
Hełm—Pirgo	376
Homer	285
Hryńkowski	271, 273
Huelßenbeck	260
Hulewicz Jerzy	284, 286
Hulewicz Witold	281, 284, 287
Hłakowiczówna	349, 366—374, 381, 382, 388
Irzykowski	295, 296
Iwaszkiewicz	262, 281, 289, 296, 297—299, 380, 381, 388
Jabłońska	376
Jankowski Jerzy	267
Janowski	347, 349
Januszewska	374
Jasieński	271, 273, 274, 277
Jastrun	296
Jesienin	263, 291, 295, 331
Karski M. Gabr.	296, 322
Karski Zyg.	289, 296, 322
Karpiński	327
Kasprowicz	258, 263, 285, 291, 295, 358, 386
Kasterska	376
Kleszczyński	289, 296, 386
Kochanowski	379
Kończkowski	299
Koloniecki	332

Konopacka		375
Konopka		359
Kozikowski	281, 336, 340, 345, 346, 381,	383
Koźmian		320
Kraśniński		361
Kruszewska		376
Kurek		275, 276
Lange		379, 386
Lechoń	289, 296, 297, 300—333	326, 388
Lenartowicz		375
Leśmian	263—265, 295,	379
Lewicka		376
Ligocka		376
Liebert	296, 322—323	
Łazowertówna		376
Łoś		380
Madej		334
Majakowski	263, 291, 295,	331
Makowiecki		359
Makuszyński		386
Maliszewski		327
Małaczewski	359—364,	388
Marinetti	258, 259, 281,	291
Mączka		258
Miciński		265
Mickiewicz	282, 320,	361
Miller N. Y.	335, 336, 342, 346—347	
Miłosz		281
Miłaszewska		375
Miłaszewski		386
Młodożeniec	271, 283, 274, 277,	278
Morstin		386
Morstin-Górska	347, 349—350	
Mortkowiczówna		375
Napierski		320—321
Norwid	284, 326,	361
Nowaczyński		295, 296
Obertyńska		375, 383
Or-ot		386

Ortwin	363
Ostrowska	386
Owidjusz	325
Pawlikowska	.	296, 297, 303—305, 322, 349, 374, 381,			388
Pawlikowski	386
Peiper	.	.	.	274, 275, 277	
Piechal	327, 332
Pietrzycki	386
Pilniak	331
Podhorski - Okołów	.	.	296, 323—324, 381,		388
Prędzki	365
Przesmycki (Miriam)	.	.	.	291,	386
Przyboś	.	.	.	275—276,	277
Przybyszewski	265, 281
Przysiecki	296, 324
Rabska	376
Rej	380
Relidziński	258
Rilke	.	.	.	285, 287, 295,	358
Rimbaud	.	.	.	262, 291, 295,	315
Rogosz-Walewska	376
Rossowski	386
Rościszewska	375
Ruffer	386
Rusinek	365
Rydzewska	327, 328
Rytard	296, 320
Sarbiewski	325
Sawitri	376
Sebyła	327, 328
Siewierianin	380
Skiwski	365
Słobodnik	327—328
Słoneczyńska	376
Słonimski	.	289, 296, 297, 305—308, 320, 381,			388
Słoński	386
Słowacki	.	.	.	365, 284, 320, 322,	361
Sołogub	263
Sowiński	332

Staff	263, 291, 295, 319, 386
Stande	296, 330, 331
Stawarska	376
Stern	276, 277
Stur	282, 284, 296
Stycz	296
Swinarski	366
Szantroch	258, 340, 345, 346
Szczawiej	334
Szpyrkówna	376
Sztaudynger	366
Tagore	291, 295
Tatlin	260
Teslar	258
Tetmajer	386
Timofiejew	333
Tiutczew	315
Tuwim Jul.	262, 289, 290, 296, 297, 309—315, 320, 326, 349 374, 381—382, 388
Tuwimówna Irena	296, 321, 322
Tzara	260, 281
Verhaeren	262, 285
Vincenz	262
Wandurski	330, 331
Waškowski	386
Wat	276, 277, 296, 330
Wazyk	276
Wernic	334
Werfel	281
Whitman	262, 283, 291, 295, 315
Wierzyński	281, 296, 297, 316—320, 388
Winkler	273
Witkiewicz I. J.	296
Wittlin Józef	284, 285, 296
Wittlin Tadeusz	296
Wojtkiewicz	277
Wokulska	376
Wolica	327
Wolska	376, 386

Wołoszynowski	296, 322
Wroczyński	386
Wyspiański	.	.	263, 265, 284, 291,	.	295
Zawadzka	376
Zaruski	348
Zawodziński	.	.	.	302,	369
Zbierzchowski	386
Zechenter	.	.	.	347,	350
Zegadłowicz	.	281, 325, 326, 336, 338, 340, 341—345,	.	.	388
Znatowicz-Szczepańska	375
Żeromski	.	.	263, 265, 295, 320,	.	348
Żytomirska	376
Żytomierski	334

SPIS TREŚCI

Przedślowie

5—6

I. Poeci obcy

- | | | |
|-----------------------------|-----------------------|-------|
| 1) Whitman Walt: | Trumno wędrujesz | 9 |
| | O, cóż zawieszę | 10 |
| | Śpiewaj dalej | 10—11 |
| 2) Rimbaud Artur: Jan | Paryż się budzi | 11—14 |
| | Mistyka | 14 |
| | Ślady kół | 14—15 |
| 3) Marinetti T. F. | Teatrzyk miłości | 15—18 |
| 4) Balmont Konstanty: | Biała panienka | 19 |
| 5) Błok Aleksander: | Jesienna Miłość | 20 |
| | Rozpętała się wichura | 21 |
| 6) Briusow Walery: | Ofelja | 21—22 |
| 7) Jesienin Sergiusz: | Tabun | 22—23 |
| 8) Majakowskij Włodzimierz: | Lewą marsz | 24—25 |
| 9) Sołogub Teodor: | Czarcia huśtawa | 25—27 |

Poeci polscy

- | | | |
|-------------------------------|----------------------------------|--------------|
| Leśmian Bolesław: | | 31—33 |
| | W polu | 31—31 |
| | W malinowym chruściaku | 32 |
| | Powrót | 33 |
| a) Futuryzm, — formizm | | 34—50 |
| 1) Czyżewski Tytus: | <u>Powrót</u> | <u>34—35</u> |
| | Kolenda w olbrzymiem mieście | 35—37 |
| 2) Hryńkowski Jan: | Szpital | 37 |
| 3) Jasiński Bruno: | Śpiew maszynistów | 37—39 |
| 4) Kurek Jan: | <u>Pochwała nart</u>
i śniegu | 39—40 |

5)	Młodożeniec Stan.:	Ziabia ballada	40—41
		Nie mów dziecinie	41
		Wieś	41—42
6)	Peiper Tadeusz:	Ulica	42
		Kwiat ulicy	43
7)	Przyboś Julian:	Śruby	44—45
		Pokój	45
8)	Stern Anatol:	Słońce w brzuchu	46—47
		Kołysanka	47
		Czcielowi maszyn	48—49
9)	Ważyk Adam:	Niedziela	49—50
	b) Zdrój		51—58
1)	Bederski Adam:	Impromptu erotyczne	51
		Spleen	52
2)	Hulewicz Witold (Olwid):	Do duchów przyjaciół	52—54
		Biblijofil	54
3)	Stur Jan:	At patria?	54—56
4)	Wittlin Józef:	Lament	57
		Intermezzo nocy wiosennej	58
	c) Pro arte — Skamander		59—124
1)	Baliński Stan.:	Elegja o ziemi rodzinnej	59—60
2)	Boyé Edward:	Rybak	60—61
3)	Braun Miecz:	Rzemiosła	61—62
		Łódź fabryczna	62—63
4)	Brzechwa Jan:	Odejście Jana Kasprowicza	63—64
5)	Ejsmond Julian:	Przeszłość i terażniejszość	65—66

	Moja pieśń poranna	66—67
	Wieści czarnoleskie	67—68
6)	Iwaszkiewicz Jarosław:	
	Lipiec	68—69
	Noc w polu	69
	Piosenka dla zmarłej	69—71
7)	Jastrun Miecz.:	
	Szklane domy	71—73
8)	Karski Zygmu:	
	Ludwik Spitznagel	73—74
9)	Karski Gab. Michał:	
	Kwiat akacji	74—76
10)	Lechoń Jan:	
	Mochnecki	76—79
	Piłsudski	79—81
	Śmierć	81
11)	Liebert Jerzy:	
	Ptaszki św. Franciszka	82—83
	Boża noc	82—84
12)	Napierski Stefan:	
	Poemat	84—85
	Słota	85
13)	Podhorski Okołów:	
	W wieczór wigilijny	85—86
	O ty — daleka	86—87
	Do Adama	87—88
14)	Pawlikowska Marja:	
	Historja	
	o kowalach	88—89
	Kobieta w morzu	89—90
	Marina	90—91
	Wieczorem	91
	Inkub	92
15)	Przysiecki Feliks:	
	Poeta bez twarzy	92—93
16)	Rytard Miecz:	
	Ogrody dobroci	94
17)	Stonimski An.:	
	Na śmierć Konrada	95
	Mgła na morzu	96
	Do poetów bolszewików	96—101
	Do córki pisarza	101—102
18)	Stycz Jan:	
	Nie będzie nikt chodził	102
19)	Tuwim Irena:	
	Ręce	102—103
	Wyznanie	103

20) Tuwim Julian: Dzieciństwo	104—106
Nad Cezarem	106—107
Tęsknota	107—108
Siódma jesień	108—109
O chorym synku	110
Hokus — pokus	110—112
Pogrzeb Słowackiego	112—114

21) Wierzyński Kazim.: O rozłożyste	
pola	114—115
Filozofja	115—116
U nas na Litwie	116—117
Pieśń	
o Amundsenie	117—119
Kawiarnia pod	
Picadorem	119
Rozmowa z puszczą	119—120

22) Wołoszynowski Jul: Monotonne za-	
śpiewy Marji	121—124

d) Kwadryga 125—142

1) Czechowicz Józef: Zautek	125—126
2) Dobrowolski Ryszard Stan.: Chwała	
hiściom	
dębowym	126—128
3) Rydzewska Nina: Tragarz	128—129
4) Sebyła Władysław: Fabryka	130—132
5) Słobodnik Włodzim.: Praca	132

e) Poeci proletarjaccy 133-137

1) Broniewski Wład.: Pionierom	133
Elegja o śmierci	
Ludwika	
Waryńskiego	134—135
2) Stände R. St.: Nadzwyczajne	
wydanie	136—137

3)	Wandurski W.	Agitator	137
		f) Meteor	138—143
1)	Kołodziecki Roman:	Kosodrzewina	138
		O listonoszu	
		wiersz prosty	138—140
2)	Piechal Marjan:	Nauczycielka	140—141
3)	Sowiński Kazim.:	Robotnicy	141 142
4)	Timofiejew Grzegorz:	Na Podolu	142—143
		g) Kadra	144—145
1)	Czereśniewski Wawrz:	Święci	144—145
2)	Szczawiej Jan:	Miłość tworząca	145
		h) Czartak	146—160
1)	Birkenmajer J.:	Żniwo	146
2)	Brzostowska Janina:	Wschód — z szczytu Babiej góry	147
		Cmentarz	
		w Mucharzu	147—148
3)	Kozikowski Edward:	Mokry staw	148—149
		O świcie	149—150
4)	Szantroch Tadeusz:	Wnętrze gór	150—151
5)	Zegadłowicz Emil:	Ballada o pow- sinodze beskidz- kim, druciarzu kuternodze, o duszkach gar- czych i lipowem kwieciu	151—157
		O krzyżach łążegach	157—158
		O ptakach i miłości	158
		Powsinoga wieczny	159
		Im większe umiłowanie tem cięższe jest brzemię!	160
6)	Miller Nep. Jan:	Sokrates	161—162

i) Heljon 163—173

- 1) Braun Jerzy: Na pełnym morzu 163—164
Sen ślepeca 164—165
- 2) Feldhorn Jul.: Wieczór w zagrodzie 166
- 3) Gałuszka Al. Józef: Słupy telegraficzne 166—167
Wieś polska 167—168
Na granicach Tatr 168—169
- 4) Janowski Jarosław:
Krzyż w stokrociach 169—170
- 5) Morstin Górska Marja: Ślub 170—171
Pochwała miłości 171
- 6) Zechenter Witold: Zielone Święta 172—173

j) Poeci niezrzeszeni

1. Poeci 174—212

- 1) Andre Lucjan: Przed północą 174—175
- 2) Bąkowski Stan.: Ja mam swój świat 175—176
Ścieżka polna 176—177
- 3) Bogusławski Antoni:
Szopen u Radziwiłła 177—180
- 4) Czuchnowski Marj.:
Mickiewicz Paryski 180—181
Kobiety i konie 181
- 5) Gembarzewski Miłosz: Kwiat paproci 182—184
- 6) Godlewski Stefan: Szarża 184
- 7) Kleszczyński Zdzisław: Studenterja 185—187
- 8) Feliks Konopka:
O Michałku Mędali 188—189
- 9) Małaczewski Eug.: Mogiłom Archan-
gielskim i mur-
mańskim 190—191
Czasy idą 192—194
O wiosnie i słowikach 194—201

- | | | | |
|-----|------------------------|----------------------------|---------|
| 10) | Morstin Hier. Lud | Hymn do poetów | 201—203 |
| 11) | Prędski Artur: | Hymn do Madonny | 203—204 |
| 12) | Rusinek Michał: | Bunt szyn | 205—206 |
| 13) | Skiwski Emil Jan: | Beethoven | 207 |
| 14) | Swinarski Marja Artur: | Święty Franciszek z Asyżu | 208—209 |
| 15) | Szlaudynger Jan: | O burmistrzance i topielcu | 210—211 |
| 16) | Wittlin Tadeusz: | Pochwała narciarstwa | 211—212 |

2. Poetki 213—234

- | | | | |
|----|-----------------------|-------------------------------|---------|
| 1) | Hełm Pirgo Janina: | Lecą śniegi białe | 213 |
| 2) | Itakowicz K. J.: | Czy pamiętacie? | 214—215 |
| | | Urszula | 216—217 |
| | | Święta Magdalena w podróży | 217—218 |
| | | Ojczyzna | 218—219 |
| | | O polskim żołnierzu | 220 |
| | | Dom nasz | 221—222 |
| | | Pogrzeb lata | 222—223 |
| 3) | Jabłońska Zofja: | Po nabożeństwie | 223—224 |
| 4) | Januszevska H.: | Ali Baba | 224—225 |
| 5) | Konopacka H.: | Wieś | 225—226 |
| 6) | Kruszevska Felicja: | Trzy parki —
Święta Joanna | 226—227 |
| 7) | Miłaszewska Wanda. | Maj | 227—228 |
| 8) | Mortkowiczówna Wanda: | Stary Kirkut | 228 |
| 9) | Obertyńska Beata | Ulewa | 229—230 |

10) Rogosz-Walewska Józefina: Śpiew	żywiółów	230
11) Rościszewska Zofja	Radjo	231
	W Monasterze	231—232
12) Słonczyńska A.:	Na Łące	232—233
13) Szczepańska-Znatowicz M.:		
	Dwunastolatka	233—234

Wykaz bibliograficzny poetów 235—247

Spis alfabetyczny poetów obcych i polskich 248—251

II. Rozdział pierwszy 255—268

Na pograniczu dwóch literatur	257—258
Na Zachodzie i Południu	258—262
Wpływy rosyjskie	262—263
Młoda Polska i Najmłodsza Polska	—
— Bolesław Leśmian	263—265
Pierwsze odgłosy nowej poezji w Polsce	265—267
Uwagi ogólne	268

Rozdział drugi

Grupy poetyckie 269—353

Futuryzm jego losy i przemiany	271—280
a) Kraków	271—276
b) Warszawa	276—280
Ekspresjonizm	281—287
Picadorczycy	288—296
a) Pro arte (et studio)	288—292
b) Skamander	292—296

Najwybitniejsi poeci Skamandra 297—325

1) Iwaszkiewicz Jar.	297—299
2) Lechoń Jan	300—303
3) Pawlikowska Marja	303—305
4) Słonimski Ant.	305—308
5) Tuwim Jul.	309—315
6) Wierzyński Kaz.	316—319
7) Inni poeci grupy	319—325
Kwadryga	326—329
Poeci proletarijacy	330—331
Meteor	332—333
Kadra	334
Czartak	335—341
Zegadłowicz Emil	341—345
Inni poeci Czartaka	345—347
Heljon	447—350
Gałuszka Al. J.	350—352
Inne grupy	352—353

Rozdział trzeci**Poeci niezrzeszeni 355—376**

a) Poeci	357—366
Małaczewski Eugenjusz	359—364
b) Poetki	366—376
Iłakowiczówna Kazim.	366—374
Inne poetki	374—376

Rozdział czwarty

Nowe rymy	377—385
Zamknięcie	386—389

72,

